

Łętowski Julian

NOWOCZEŚNI BOHATEROWIE

Nowele i opowiadania:

Ciężkie Czasy.
Imieniny Marcinka.
Bieda.
Wawrzyńcowie.
Josek Gesundheit i S-ka

CIEŻKIE CZASY

Oto zima na koniec na dobre się zabrała... A to dmie! No!... Nielada chyba bies —
Panie odpuść! — wesele wyprawia; mało mi komina nie rozwali...
Snieżysko zasypie
drogę ze szczętem, że i psa trudno będzie wygnać z domu...
Wszystko przepadło! Nie można już spodziewać się dziś nikogo w taką zawieję... A
mnie ten reumatyzm uwięził, lichy wie, na jak długo... I ten kaszel
nieznośny na
dobitkę — och! ten kaszel!...
Dobrze mówią: starość, nie radość...
Boże jedyny! gdziebym to był dawniej dał się tak zasypać i oddzielić
od
świata... Ho, ho! koniem, na przelaj, a byłbym sobie poszukali drogi i
ludzi... A teraz co? siedź grzybie, aż cię kto zdybie... Ładna
historia!...
A to sypie i sypie, aż się ściemniło!.. O!., i zimno się robi... A ten mój
stary
Filip i ta Szymonowa, jakby się zmówili, wiecznie mi tego ognia na
kominku

skąpić muszą... Bodaj to!... Szczególnie ten Filip!... Szwenda mi się pod nosem i gdera wtedy właśnie, kiedy go nie potrzeba. A teraz oto zdałoby się odsunąć nieco od tego okna a przybliżyć z fotelem do pieca — więc go właśnie nie ma... Tak zawsze!.. A powiedzieć co — to dopiero sypią się narzekania na mnie, żem zręda, że mi wiecznie czegoś brakować musi, że potrzebuję się wygadać, czy jest o co, czy nie ma; że nawet pono czasami gadam z samym sobą, byle gadać... Ot, co to być na opiece służby, chociaż, Boże odpuść! — trafiłem jeszcze na najlepszych. Nie ma i co gadać — takich sług, jak ten stary Filip i Szymonowa, już dziś nie znajdzie łatwo... Ale, co ja tu będę przez wieczór robił w tym moim starym fotelu?... Moznaby posłać po rządcę na folwark... Byłaby choć pikietka... Ba! ale choćby się tu i dostał, toby nie mógł wrócić do siebie na noc — a żona jego, dzieci? Byłoby im markotno... Trzeba mi było po proboszcza posłać zawczasu. On mógłby i zanocować... Teraz już zapóźno... stało się... Oto życie! Co tu robić? Jeszcze się ku zmrokowi nie ma — a zresztą przespałem ranekcały przez ten reumatyzm — nie usnę więc tak prędko — ani myśleć!... Ano, ładnie zacznę siedmdziesiąty drugi rok mojej wędrówki ziemskiej! Nie ma co mówić — ładnie! Oto i gotówbym na wzór mojego kochanego proboszcza zacząć narzekać na ciężkie czasy... A tak mnie zawsze te narzekania gniewają... tak się. zawsze spieram, gdy je słyszę... No, co prawda, to z proboszczem nie o śniegu mowa, gdy zawodzi

nad ciężkimi czasami — ani nie o gnijących kartoflach lub zarazie,
wybierającej
co przedniejsze sztuki inwentarza...
Ale ja tak i mam swoją rację... Cóż bo, u licha, kiedyż to nie czuliśmy
owego
ciężaru? Któryż to z żyjących, choćby nawet moich rówieśników z
roku komety,
lżejsze czasy pamięta? A cóż takiego stało się na nowo lub stać ma,
coby owego
ciężaru przyczyniło lub przyczynić mogło?...
Otom się postarzał przecie nie przy wiecznie świecącym słońku
Bożem — i nie przy
nieustannym śpiewie majowych ptasząt, którym święty Wit gardziolki
— jak mówią —
zamyka... Przeleciała i nademną z osobna i nad tym moim starym
dworem ojcowskim
niejedna burza — wył koło mnie nie taki, jak dziś, wicher —
porywałem się i
padałem podcięty cierpieniem nie raz jeden, nie razy dziesięć...
A czy zresztą sam tylko cierpiałem?...A jednak... czasami... przecie
myślę, że i proboszcz ma także swoją rację... Bo
ja też miałem jedną swoją mękę wielką, serdeczną — swój ciężki czas
— swoją
Golgotę — i tę mi chyba Bóg policzy przy ostatnim rozrachunku...
Wiem, że to
niedługo nastąpi — przypomina mi o tem nawet za często ten
nieznośny kaszel...
O! znowu!... o!... o!...
A nie powiem, żebym pragnął jak najprędzszego nadejścia tej chwili, z
tego niby
powodu, jakoby mi. tu bardzo źle być miało... Cóż bo, u kaduka!
Człowiek, jak
pies, przylgnie do swego kąta, tem więcej, gdy tego kąta trzymać się
musiał w
ciągu żywota, — jak to powiadają — rękami, zębami!
Ale tam, gdzie — Boże dopomóż! — tak i odejdę sobie niedługo —
będzie mi lepiej,

choć doprawdy, trudno byłoby wybierać, i dobrze, że wybór sam przyjdzie — z
musu! Bo tu oto mój stary dwór litewski, gdzie pierwszy dzień ujrzał — i moja
ziemia kochana, święta — i każda ścieżka przez ojców moich wydeptana — tam zaś
tylu moich bliskich, najbliższych!... Towarzysze, przyjaciele — i ten dzielny
chłopak — i moje kobiecisko poczciwe, i... i... moja pieśczołka najmilejsza —
Anulka! Wszyscy oni odbiegali mię po kolei, jako te bociany pod jesień, tylko
nie powrócili jak one, i zostawili samego, gorzej kołka w płocie, albo i kamienia przy drodze...
A to co?... Ot, Boże odpuść, małom się nadobre nie rozłzawił! Ano, to ze starości... Choć i to prawda, że gdy wspomnę o mej dziecinie kochanej, zawsze się tam jakaś reszotka leż z pod serca wyciśnie...
No, dość już, dość!...
A przecież po tej dziewczynie nie wstyd płakać i nie dziw żaden, że moje złote
kobiecisko zapłakało mi się za nią na śmierć...
O! co to była za dziecina! Boże — Boże!
Takiego kwiatuszka nie znalazłby pono drugiego od Grodna po Sandomierz i dalej.
A chowało się to, jakby wedle przykazania. Zabijcie, a nie pamiętam, żeby z tem
kiedy była jaka męka — jakie zmartwienie — jaki kłopot najmniejszy, a szczęścia,
a rozkoszy — w bród — i dla mnie, i dla matki, i dla wszystkich dokoła...
Nigdy też pono nieboszczki żony więcej nie miłował, jak gdym patrzył na tę
jedyną dziecinę, którą mi dała — jedyną, ale jaką!
Ona to, Bóg świadkiem, zrobiła ze mnie dopiero człowieka prawdziwego...
A przyznam się, że w one czasy, żeniąc się, byłem jeszcze trochę paliwodą... Cóż

bo żądać! Miałem lat trzydzieści — a przytem... jakąż to dobę dano
nam
przeżyć?... Już przy narodzinach każdego z nas, z owych czasów,
grały trąby
bojowe małego kaprała, więc też i z piersi matek naszych drogich
ssaliśmy już
wraz z mlekiem jakiś wicher, co miotał wtedy światem całym, a i nas
później miał
tu i owdzie zapędzić... Jako młode chłopię zażyłem żołnierki, choć to
niby swojej, a po niej przyszła
włóczęga zagraniczna i wycieranie kątów po świecie przez całych lat
dziesięć...
No, a to przecie nie wyrabia z człowieka zacisznego i porządnego
hreczkosieja,
jakim po powrocie trzeba było zostać i mnie i tylu innym.
Przywykliśmy do lekkiego, trochę awanturniczego żywota. Fajka,
kieliszek, karty
— czasem koń lub fuzya — aby dzień zeszedł i tyle... A jutro? —
fraszka! "Więc
też i żeniłem się w takiż sani sposób — najlekkomyślniej...
Wkrótce po powrocie, podczas gdy sobie dni spędzałem bez troski, w
gronie
różnych starych i nowych znajomych i koleżków, poczęto mi suszyć
głowę zewsząd:
"ożeń się, ożeń!" Najwięcej zaś namawiały mię do tego dwie moje
stare ciotki.
Nie miałem od nich chwili spokojnej. Myślę tedy: ano, tego jeszcze
nie
próbowałem — dobrze! ożenię się!...
Upatrzone niebrzydkie młode dziewczę w sąsiedztwie, kazano mi się
zgrabnie
zawinąć, w stosownej porze oświadczone mi, i wkrótce, bo coś w
cztery miesiące
od uczynienia pierwszych kroków, wyprawiono huczne weselisko.
Wszystkiego tego
dokonały obie moje ciotki; one się też nawet i o posag panny młodej
układały, i

do wyprawy jej pomagały. Ja stałem sobie prawie na uboczu, jakby to nie o mnie chodziło. Polowałem, grałem w karty, i z teściem moim przyszłym i z innymi — słowem, bawiłem się nie najgorzej. Przypominam też sobie, że dopiero w sam dzień ślubu uczułem pewną bojaźń i jakowąś skruchę.

— Cóż, u kaduka! — mówiłem sobie, — a kochasz-że ty tę swoją przyszłą?

Sumienie odpowiadało mi na to tak jakoś niewyraźnie, że wcale sprawy z tego zdać nie umiał.

I zamiast do samego siebie, uczuwałem wówczas nawet pewien wyrzut do niej, za to, że za mnie wychodzi.

— Widocznie robi dobrą partyę — mówiłem sobie. — Jestem wprawdzie niczego, a nawet wcale przystojnym, ale czyż inna poszłaby za mnie tak bez żadnych zachodów, nie znając mię prawie i usłyszawszy odemnie, bodaj czy nie raz jeden tylko — dalipan! popijanemu — że ją kocham! Tak, bezwątpienia, musi być w tem jakaś rachuba. Już to te cioteczki ładnie mi się przysłużyły. Pewnie nie dadzą za nią ani czwartej części tego, co obiecano. Dałem się złapać i koniec!

Boże mój jedyny! Dopiero to później danem mi było zrozumieć, jak nie wiele potrzeba, ażeby młodemu dziewczęciu zawrócić główkę — jak jedno "kocham", choćby tak lekkomyślnie, jak moje, rzucone, wyrasta w marzącem serduszkum dziewczątka do rozmiarów jakiegoś hymnu archanielskiego — jak młode dziewczę z własnej duszy wybiera co najcudniejsze kwiaty uczucia i bezwiednie stroi w nie swego wybranego; przedewszystkiem jednak

zrozumiałem, jakimi to oczętami patrzyła na mnie wtedy moja przyszła żona.

Wracałem z wędrówki dalekiej — i takiej wędrówki — byłem więc w jej oczętach

poświęconym. Oddawała mi się z ufnością bez granic, bo nie mogłem być złym, nie

mogłem mieć żadnej skazy, jeśli był swego czasu tam, gdzie było wielu, wielu...

Taki to anioł czysty, święty, znalazł się w cichym litewskim zaścianku, a ja

tego anioła nie mogłem odrazu zrozumieć.....

W miesiąc po ślubie żona moja już płakała na mnie — Boże mój! — na mnie!...

Nigdy tych łez i tej sceny nie zapomnę!

Mało się to ku zimie, jak dziś, tylko w onym roku przybywała o wiele wcześniej.

Śniegu mniej było, ale mróz większy. Po hałasach i trudach wesela, które,

wyprawiane w domu mojego teścia, po zwyczajowi, trwało blisko tydzień i suto było

skraplane winem, przenieśliśmy się we dwoje tu, do tego starego dworu. Nikt,

prócz służby, z nami nie przybył. Nawet obie ciotki moje, choć urodzone

ciekawskie, pozostały dyskretnie, w dalszym ciągu, w gościnie u teściostwa. Zełgałbym, mówiąc, że już przez pierwszych parę dni po ślubie żona moja, dziecko

prawie jeszcze, nie umiała mię ku sobie pociągnąć i przywiązać. Toż człowiek

przecie nie ludojad, ani smok jakowy — i gdy widzi obok siebie takie drobne,

potulne, a milutkie stworzonko, jakim ona była, trudno nie popatrzeć na to

łaskawiej.

Ale przecie, gdyśmy przybyli w te progi, było mi jakoś nie swojsko.

— Trzeba się będzie teraz hamować i z niejednym upodobaniem pożegnać! — mówiłem

sobie z cicha, spoglądając z boku na moją młodą magnifikę,
rozglądającą się z
uśmiechem po nowej siedzibie.

Tymczasem, oto, nazajutrz po przybyciu, ten sam mój Filip, tylko
dużo młodszy w
one czasy, jako i ja, przynosi mi rano kawę po zwyczajowi do łóżka.
Już miałem rękę do tacy wyciągnąć, gdy wtem przypominam sobie, że
teraz przecie
zgoła co innego.

— Cóż to, gamoni! rządysz się, jak szara gęś! — mówię, kontent,
że mam

przynajmniej na kim pomścić owo moje pohamowanie. — Po
jakimże to znowu? Cóż

to, zdaje ci się, że i teraz może być tak, jak dawniej?

— A tak, proszę pana — Filip na to. — Pani kazała!

Wytrzeszczam oczy, nie mogąc ochłonąć z podziwienia. A potem na
Filipa jeszcze: — To po coś gadał, że tu u nas był taki zwyczaj?

Świerzbiał cię język? Obejdę
się bez twojego defensorstwa i opieki!

A Filip znowu:

— Ale, uchwaj Boże! jako żywo! Gdzieżbym ja znów takie rzeczy!

Pani wstała od

godziny i sama o tem z kądcis wiedziała... Uczciwe słowo!

— Sama, powiadasz? — pytam.

— Sama! Myślałem ano, na mój rozum, że sobie to pan z góry
wymówił.

— E! głupis ano, na twój rozum! — odparłem z gniewem, choć mi
się z onego

"wymówienia" Filipowego szczerze pośmiać chciało.

Skąd? co? jak? — w głowem zachodził...

Gdy wtem Filip staje oto w pozycyi (bo i on żołnierki zażywał), a z
progu

dolatuje mnie w tejże chwili głosik:

— Dzień dobry panu porucznikowi! (Dawano mi czasami ten słuszny
zresztą

stopień). O cóż to taka wojna?...

Nasrożyłem twarz umyślnie i milcząc, kręciłem węża, chcąc gniew
mój niby

wyrazistszym uczynić.

Filip zrejterował za drzwi, jak należało, a ona tymczasem przysunęła się od

progu ku mnie, wesoła i uśmiechnięta, a przecież jeszcze trochę nieśmiała.

— Pan porucznik nie odpowie nawet na dzień dobry? — zaczęła. — A! dzień dobry, dzień dobry! — rzekłem niby z roztargnieniem. — Ale bo oto

ten gamoń, Filip, zawsze musi mnie zirytować — dodałem.

— Czemże takim? — pytała z uśmiechem.

— No, tą kawą! Czemu bo nie ma być po ludzku, jak należy. Co dawniej, to

dawniej... Ale teraz... przezwycięzę się... pohamuję...

— Ale kiedy ja nie chcę, aby się mój pan krepował! — zawołała z żywością. — W

niczem, w niczem!... Co innego przy gościach, ale gdy nie ma nikogo... Mój Boże!

Przecież nie nadaremnie obie poczciwe ciocie uczyły mię przez dwa miesiące

wszystkiego... co... co... ty... (owo "ty" zawsze jej dotąd z trudnością przychodziło)... lubisz, a czego nie lubisz...

— A! więc to ciotki! — zawołałem.

— Tak... poczciwe!... Gdyby... gdyby nie one, to... to... nigdybym może nie

została panią... twoją żoną...

Mówiła to prawie zażenowana, a przytem taki jakiś żal zadźwięczał w jej głosie,

że ranie nagle rzewność za serce chwyciła. Uczułem się winowajcą w obec tego

czystego kwiatuszka, a choć winy mojej nie pojmowałem na razie, wiedziałem

przecież, że z nią dotąd, mimo wszystko, czułym wcale nie był.

Uchwyciłem ją za rękę, pociągnąłem ku sobie i usadowiwszy obok, na krawędzi

łóżka, pocałowałem nie po raz pierwszy wprawdzie, ale pierwszy raz tak szczerze,

z duszy, z serca... — No, no! — mówiłem przytem z łagodnością, jakiej się nigdy dotąd po sobie nie

spodziewałem — dlaczegoż to, dlaczego, nie miałbym cię był
pozyskać? W czymże
ciotki przysłużyły mi się u ciebie?
Milczała chwileczkę, jakby się namyślała, a potem zaczęła:
— W czym? Czyż o to trzeba pytać? One ciebie tak kochają! One cię
zawsze
broniły przedemną, gdy się skarżyłam czasem — ale to dawniej,
dawniej — że... że
ty mnie może wcale nie pokochasz... O! bo tak ci nigdy nie pilno było
zagadać
coś do mnie... czasem nawet nie spojrzales wcale! Ale one, na
szczęście,
wytłumaczyły mi, że wy wszyscy, którzyście tyle wycierpieli na
tułaczce, nie
możecie być dziećmi i że ja sama przecie dzieckiem być przestanę...
Tatuś mój
kochany nie chciał mię niewolić — i pytał: "Powiedz, chcesz pójść za
niego, czy
nie?..." Odpowiedziałam tatusiowi, nie sarna, ale przez ciocię Stefcie,
że chcę,
choć to jeszcze było przed tym wieczorem nad stawem, kiedy mi to
powiedziałeś: "kocham cię, panno Jadwigo!"... O! odtąd z ciociami
rozmawialiśmy
już tylko po całych dniach o tem, co ty lubisz, a czego nie lubisz... O!
nie bój
się, ja wiem nie o samej tylko kawie!... Znam wszystkie twoje
upodobania... Ja
sobie to wszystko zapisywałam i uczyłam się na pamięć... tak... tak!...
Ja cały
ten dwór znałam dobrze z opowiadania ciotek, za-nim tu weszłam...
Wiedziałam, gdzie jaki sprzęt stoi, gdzie jaki obraz wisi... o
wszystkiem wiedziałam...
Tak mówiła, a mówiła najszczerzą prawdę!
O! któż zrozumiał kiedy zupełnie miłość i kobietę!
Ale to dziś tylko myślę o tem... Wówczas nie zastanawiałem się nad
tem wcale,
tylko po prostu uścisnąłem moją Jadwisię czule, a sobie w duszy
powiedziałem,

żem nie wart wcale takiej żony, takiego szczęścia...
Bo oto istotnie, co chwilę, na każdym kroku, przychodziło mi ją
podziwiać. Nie
przechwalała się zgoła. Wiedziała o wszystkich moich nawyknieniach,
znała
doskonale, niby ortografię, wszystko, co mnie dotyczyło — czem
można mnie było o
zły humor przypawić, czem znów ze złego wyleczyć — i do tego
wszystko w domu
stosowała.
Uczułem wtedy, że naprawdę jestem szczęśliwy. Jak to powiadają:
chuchano na
mnie, obchodzono się, jak ze szkłem, dogadzano we wszystkim. No,
toć przecie do
smaku każdemu przypaść musi, zwłaszcza, gdy jest nowiną, jako
zwykle kawalerowi.
Więc też i ja chodziłem zadowolony, pyszny, niby król jaki.
Ale to właśnie źle, że chodziłem tylko i plątałem się z kąta w kąt. Na
wizyty
sąsiedzkie było jeszcze zawczasie, a zresztą mieliśmy je zacząć
wtedy, gdy i
dom cały przygo-towany zostanie, według rozporządzeń mojej
Jadwisi, na wzajemne przyjmowanie
gości. W zimie zaś w ogóle roboty na wsi nie wiele, a cóż dopiero dla
kogoś, kto
jak ja, wcale od wszelkiej roboty odwyknął i nic nigdy robić
porządnie nie
umiał. Toż przecie w niespełna ośmnastym roku mego życia zacząłem
wojować, a
później w Paryżu robiłem to, co i wielu naszych, czyli nic, a żyłem,
wprawdzie
nie zbyt hucznie, z fundusików, nadsyłanych przez opiekę,
ustanowioną po śmierci
ojca. Przez cały rok, po powrocie, gospodarowano za mnie i zdawano
mi niby
ciągle rachunki z opieki, a ja zbijałem bąki nic więcej.
— Niech sobie tam, biedaczysko, odpocznie po tułaczce —
mówiono.

Więc też odpoczywałem, a właściwiej nie miałem chwili wytchnienia.
Polowańka,
schatzki sąsiedzkie, gry i wysuszanie butelek — oto co mi czas
zabierało.

Nic dziwnego zatem, że teraz, obok żony, zostawiony samemu sobie,
nie wiedziałem
co z sobą począć i że dwór mój, pomimo kochanej Jadwisi, wydawał
mi się jakiś za
obszerny i za pusty. Przy żonie ciągle siedzieć nie mogłem, bo zresztą
ona
samaby przy mnie ciągle nie siedziała. A jakkolwiek ukazywała mi się
co chwilę
prawie, to jednak zawsze czemś zajęta, pracująca ciągle. O! bo ona
umiała
pracować — jej próżnować nie nauczył ni los, ni ludzie...Parę razy
zabierałem się do wglądnięcia w to i owo w gospodarstwie.

Przypominam
sobie, że byłem nawet raz przy ładowaniu sprzedanej pszenicy i raz
przesiedziałem parę godzin w mieszkaniu rządcy, nad rachunkami.

Ale to wszystko
jakoś mi nie szło. Poziewałem też dość często ukradkiem.
Właśnie raz, podczas takiego poziewania, w tym samym oto pokoju,
zjawił się
Filip. Zauważyłem odrazu, że miał jakąś tajemniczą minę i był czegoś
zakłopotany.

— Proszę pana porucznika — zaczął.

On jeden przyznawał mi mój stopień tylko w wyjątkowych razach.

Poznałem więc

zaraz, że to coś ważniejszego.

— No, gadaj! cóż tam? — rzekłem niecierpliwie.

— Oto, niby nic... tylko pani ukrywa się przed panem... zakazała
mówić... a ja

tak i na mój rozum powiem... trochę oto chora...

Odepchnąwszy Filipa, zastępującego mi drogę do drzwi, w dwóch
susach wybiegłem z

pokoju.

Jadwisia moja kochana siedziała na foteliku, z główką opartą na
rączce,

bledziuchna jak płótno, a obok niej stała zaufana pokojowa, którą z domu ojca z sobą zabrała.

— A to co?... cóż tobie... moje dziecko drogie? — zawołałem zdyszany, jakbym milę przebiegł. Podniosła się i pokraśniała.

— Ach! niedobry ten Filip!... Musiał ci donieść... To nic... głowa mię boli...

sama nie wiem... jestem cała trochę — ale tylko trochę — słaba... To nic,

przejdzie!

Zabrakło mi słów, począłem tylko obsypywać jej drobne paluszki pocałunkami.

Jak przedtem Filip, tak znów po chwili pokojowa wygadała się przedemną, że

"panienka" pozapominała wszystkiego w domu, że nie ma nawet ulubionych swoich

kropli, które jej zawsze na ból głowy pomagały.

Tak to! Pamiętała o wszystkim, co mnie dotyczyło, ale zapominała o sobie samej.

— Pojadę sam! — rzekłem po chwilce namysłu — przywiozę wszystko! Tylko mi

wytłumaczcie, gdzie i u kogo się o to pytać?

Naturalnie Jadwisia zaczęła najgoręcej protestować.

— Ja nie chcę, nie chcę... Ja już nie chora... Pierwszy raz mię odjedziesz....

nie, nie... mój złoty, mój śliczny... poślij Filipa lub kogo ze służby... Ale byłem niezwruszony.

— Sam! sam pojadę! To bagatela! Wszak to dla ciebie. Za dwie godziny będę z

powrotem. Udam się do ciotek, aby tatusia twego nie niepokoić.

W istocie, w parę chwil później, siedziałem na dobrym koniu i pędziłem galopem,

z temwiększą ochotą, że dalipan, czułem już potrzebę wyprostowania kości na

powietrzu.

Pocziwy, stary koń, za młodu ulubieniec nieboszczyka ojca mego, jakby rozumiał

cel podróży; wyrzucał nogi przed siebie tak rączo i żwawo, że drzewa przydrożne

zdawały się w tył za nas uciekać i skracać nam drogę. A przytem dzielne zwierzę

z taką wprawą omijało wszystkie przeszkody, że do przebycia większej połowy

zamierzonej mety raz tylko się potknęło na zasypanym przez śnieg rowie; poczem

znów dalej pędziliśmy, wprawdzie ostrożniej już nieco, ale niemniej śpiesznie.

Dla tem większego zyskania na czasie, puściłem się nie zwykłym traktem, lecz

gościńcem, ciągnącym się przez wioskę pana Rafała, którego dom zwano w całej

okolicy "sąsiedzkiem zajazdem". Nigdy bo w nim gości, ruchu i życia nie

brakowało. Gościniec ten wiódł po pod samym dworem, który, zwrócony frontem ku

drodze, już przez to samo zdawał się na jakowąś gospodę przeznaczonym.

Widocznie też dojrzano mię z okien, zanim jeszcze pod dwór się zbliżyłem, bo i

sam gospodarz i paru z gości wybiegło przed ganek.

Nie gniewałem się o to wcale. Najprzód bowiem pochlebiało mi to, że mnie cała

kalwakada zobaczy na koniu, pędzącego zgoła inaczej jak dla zabawki lub za

szarakiem z chartami... Muszą mi przyznać, że nie darmo chleb żołnierski w pułku jazdy naszej spożywałem. A przytem, jak się dowiedzą później, że

to dla żony mojej młodej tak konia i siebie nie szczędził, powiedzą sobie:

— Fiu, fiu! Kocha ją, panie, nie na żarty!

A ja, dalipan, Jadwisie już wtedy naprawdę kochałem i radbym to był pokazać

całemu światu.

Nie chcąc jednak na razie zatrzymywać się i przed kimkolwiek tłumaczyć,

zjechałem z gościńca i w poprzek przez pole sunąłem, udając, że nikogo w zapale nie widzę.

Dostrzeżono ten mój manewr.

— Hej, hej! Jasiu! a gdzie to tak skoro? — począł wołać pan Rafał, zwinąwszy dłonie w trąbkę koło ust.

Podniosłem rękę do czapki i nie zatrzymując się, odkrzyknąłem:

— Pilno mi! pilno!

Poczem spałem konia ostrogą i przesadziwszy zawadzający mi w drodze krzak

jakiś, wpadłem znów, jak wicher, w dalszym ciągu na gościniec.

Byłem pewny, że wszystkie oczy wyteżone były na mnie w tej chwili i rosnę na

siodle. Zdawało mi się nawet, że słyszę, jak z podziwieniem czynią moi

spektatorowie uwagę:

— A to pędzi! Niechże go!

I zachodzą w głowę nad tem, co mnie tak gnać może?...Zziajany, z wypieczonemi od wiatru policzkami, wjechałem kłusem w środek zabudowań gospodarskich mego teścia.

Od nadbiegłej żywo służby dowiedziałem się zaraz przy wysuwaniu nogi ze

strzemion, że ojciec mojej Jadwisi wyjechał właśnie na cały wieczór na plebanię.

Nie byłem z tego kontent. Jakkolwiek bowiem przyrzekałem go nie niepokoić, to

przecież raz obudzona próżność zaczynała brać we mnie górę nad wszelkiemi innemi

uczuciami.

— Niechby widział — myślałem — że dbam o jego dziecko i zgoła niem nie

poniewieram.

Tymczasem już w pierwszej izbie obkoczyły mnie obie moje ciotki: jedna, dusząc

ulubionego kota pod pachą; druga z jakąś książką nabożną w ręce.

— Jasiu, kochanie! A to co! wszelki duch! W dwóch słowach wytłómaczyłem, po com

przybył.

Obie ciotki podskoczyły, jakby je kto ukropem oblał. Posypały się na mnie setki

całe pytań:

— Jakto, chora? Kiedy zachorowała? Co takiego?... i tam dalej.

Zmęczony, upadłszy na krzesło i ciężko oddychając, nie miałem ochoty szeroko się

rozwódzić. Zbyłem więc te wszystkie pytania krótko: "nic nie wiem" i prosiłem

tylko o żądane krople na ból głowy. Obie ciotki milczały przez chwilę, spoglądając z pod oka, to na siebie, to na

mnie. Zdawało mi się, że mają jakąś skwaszoną minę, co mnie zresztą nie wiele

obchodziło.

Wreszcie starsza z nich zaczęła z powagą, choć i z jakimś tajemniczem

zaambarasowaniem:

— Widzisz, mój Jasiu... dopust Boży!... My się tam na tem nie rozumiemy i

rozumieć nie możemy... Ale, cóż robić... chrześcijański obowiązek...

— Tak, chrześcijański! — dodała z przyciskiem druga.

— Nakazuje nam nie opuszczać Jadwisi...

— Biedne dziecko!

— Nie ma się co namyślać!

— Stało się!

— Pojedziemy zaraz!

Nie wiele zazwyczaj przywiązywałem wagi do gadaniny ciotek, znanych z tego, że

jako stare panny, dużo mówić lubiły. Teraz jednak podniosłem się zadziwiony.

— Gdzie ciotki pojedą? — pytam, nie rozumiejąc nic zgoła.

— A do ciebie, kochanie, do Jadwisi...

— Do tego biedactwa!

Teraz mnie się znów słabo zrobiło.

— E! e! nie wiem, czy znów jest po co? czy potrzeba? — począłem, z nietajonem

wcale niezadowolaniem. — Czy potrzeba? Dobry sobie! Naturalnie, że potrzeba! Już to zdaj na nas,

rybeńko! Nic się nie bój, tylko wracaj sobie, a my tu spakujemy się
wkrótce i za
kwadransik zabierzemy się sankami, jeszcze przed zmrokiem...
Począłem być coraz więcej niekontent z całego obrotu sprawy.
Zgoniłem się jak
wyżeł po to, aby wrócić bez niczego, a nadto sprowadzałem za sobą
dwie ciotki,
acz poczciwe z kośćciami, ale gadatliwe — ach, jak gadatliwe! A
przytem cała
zasługa wspomżenia mej biednej Jadwisi, ani chybi, im znowu
przypadnie w
udziale...
Zgoła też nie z takim, jak w tę stronę, animuszem, zabierałem się w
chwil kilka
później do powrotu na moim dzielnym biegunie.
— Spiesz się! Uspokój Jadwinie! My zaraz za tobą jedziemy! —
wołały za mną obie
ciotki.
Nie miałem już wcale chęci pędzić na łeb i szyję, a i konisko mocno
jeszcze było
spienione, puściłem go więc wolnego kłusa, obliczając się tylko z tem,
aby
stanąć w domu przed za padnięciem zupełnej nocy.
Przecież, gdym na nowo zbliżał się pod dwór pana Rafała,
poskoczyłem raźniej
nieco, dla zachowania pewnego decorum i nie sprawienia zbyt
wyraźnego kontrastu
z poprzednim moim wyścigiem. Nie skręcałem też już teraz z
gościńca przez pole,
alem sunął po pod same wrota Rafałowe. Dostrzeżono mnie i tym
razem.
Pomimo świszczącego mi około uszu wiatru, usłyszałem dudnienie
pięści, o szyby w
oknach, poczem też natychmiast i sam Rafał i inni wysypali się z
sieni.
— Hej, hej! Bywajno, Jasiu! Panie Janie! — poczęto wołać.
Powstrzymałem konia, ale nie mając wcale zamiaru zeń zsiadać,
począłem zdaleka

eksplikację:

— Nie mam czasu! Żona mi trochę zasłabła!

— Głupstwo! — wołał pan Rafał. — Patrzajno, a dobrze, jakiego to tu mamy

gościa! Nie poznajesz? Towarzysz twój, pocziwina Korejkot Niby chleb prosto z

pieca, wraca świeżo aż pono z Anglii!

Istotnie, z pomiędzy grona mężczyzn, zalegających sionkę i ganek, przedarł się w

też chwili jakiś rosły, ale dość zbiedzony człeczyna i przypadł do mego konia.

— Jasiu! rybeńko! Góra z górą! Mahomet! Kopę lat! — wykrzykiwał bez ładu, choć

z prawdziwym ukontentowaniem.

W samej rzeczy był to Oleś Korejko, towarzysz mój z żołnierki i później z

Paryża, a przytem jakoś tam ze mną, choć zdala, spowinowacony.

Postarano mu się

o wolny powrót, jako i mnie przedtem, tylko że ja wracałem do swego i zastawałem

prawie wszystko na miej-scu, prócz ojca — a on gorzej wychodził, bo miał dopiero odbierać ojcowiznę,

która za jego niebytności wpadła, jako wiele innych, w wilcza, paszczę i w

zatrącenie. Na dalekiej wędrówce naszej tylko też z początku żył

Korejko dosyć

dostatnio, potem biedę łykał nie żartem, pókiśmy go między siebie, ja i paru

innych, nie wzięli. W końcu zniknął nam z oczu zupełnie i mówiono, że się nawet

ożenił z jakąś strasznie bogatą margrabianką francuską. Znałem go jeszcze z

dziecięcych moich czasów, lubo nieco starszy był odemnie, i zawszem go dość

lubił, bo zresztą było to z gruntu pocziwe chłopczysko.

— No, no! Dalej poruczniku! na komendę! nogi ze strzemion! — wołał na mnie pan

Rafał, którego nigdy złoty iście humor nie zwykł opuszczać.

— Usłuchaj rybeńko! bracie! Zrób mi ten honor a fawor... Pierwszy
oto
krewniaczek, mości sąsiadowie, jakiego napotykam! — lamentował
skory zawsze do
rozczulenia Oleś.
Ale i ja byłem nieco wzruszony. Nagłe spotkanie druha moich
młodzieńczych a
niezwyczajnych lat, żywo mi całą przeszłość w oczy rzuciło.
Miałem już ochotę pogawędzić z przyjaciółmi, alem jeszcze zastawiał
się żoną.
— Jasiu! kochanie! A toż i ja mam i żonę i dziecko, a zostawiłem ich
nie o
miedzę, jak ty, ale o mil setki, aż na bruku londyńskim, oj! na bruku,
dalipan!
— Wrócisz sobie zresztą za parę chwil, gdzie zechcesz! — dodawał
pan Rafał, a
inni w namowie dopomagali.
Istotnie, czegoż mi się trapić? — myślałem. I tak leków nie wiozę, a
ciotki
wkrótce tam zjadą, zresztą i ja zaraz pojedę.
I oto wyjąłem nogi ze strzemion, a tymczasem gościnnie pan Rafał
przygotował
kolejkę, tak, że już zaraz na progu do mnie przypito.
A pito tam nie po dyletancku. Za wejściem do izby ujrzałem stosy
porozstawianych
wszędzie butelek. U Rafała bowiem, w jego "zajeździe sąsiedzkiem",
mogło braknąć
żyta do siewu, ale, broń Boże, wina w piwnicy. Często też, jak
mawiano, zagon
niejeden leżał przez lato odłogiem, ale piwnica była zawsze szczelnie
zaopatrzona. Takie bo to już były czasy desperackie jakieś. Zresztą,
znana to
historia, że jedna bieda nauczy rozumu każdego, ale nie nas. Nam
potrzeba na to
dwóch lub trzech bied z kolei.
— No! jeszcze! na rozgrzewkę! — wołano nademną.
Postanowiłem jednak trzymać się ostro.

— Zaraz wracam! — odpowiadałem. — Przed nocą muszę być u siebie, muszę!

Przestano mnie też na razie przymuszać, a zabawa potoczyła się dalej wesoło, jak w to-warzystwie, w którym kobiet nie ma, a u Rafała, prócz starej klucznicy, nie było ich na lekarstwo nawet.

Najwięcej jednak uszczęśliwiony był krewniak Korejko. Usadził mnie przy sobie i podczas gdy cała kalwakada, jak to zwykle pod koniec biesiady, rozbita była na kółka i pary, począł mi losy swoje pokrótce opowiadać.

Ożenił się tedy rzeczywiście z najprawdziwszą margrabianką francuską. Ale, o ilem z jego dość oględnej mowy wyrozumiał, przy ożenku tym zaszło fatalne dla obu stron nieporozumienie. Margrabianką, lubo wiedziała, że Korejko jest od kraju swego odcięty, brała go przecież co najmniej za jakiegoś udzielnego księcia. Pocziwinie Olesiowi zaś sprzykrzyło się patrzeć na nasze ręce, dostarczające mu środków do życia, postanowił więc także w bogatym ożenieniu poszukać sobie lepszej i samodzielniejszej egzystencji. Po ślubie dopiero wykryło się, że wzajemnie na siebie polowano i wzajemnie przeceniono własne zasoby. Rodzina margrabianki była zrujnowana i goniła resztkami magnackiej fortuny; nasz Korejko zaś błyszczał także za pożyczane pieniądze i pozbawiony był wszystkiego w kraju, nawet w znaczniejszym stopniu, aniżeli się sam domyślał. Rozczarowane, choć na szczęście sprzyjające sobie młode małżeństwo, przygarnął do siebie jakiś stryj w Londynie, alemu się wkrótce świadczenie dobrodziejstwa cudzoziemcowi — jak mawiał —

sprykrzyło i Oleś wraz z żoną i małym dzieckiem pozostał na bruku.
— Tak, bracie! — kończył opowieść — biedaki! w takim Londynie!
Jak oni sobie
tam dadzą radę!... Ha, może też swoje uda mi się tu odebrać — może!
Po tom
przyjechał! Sąsiedzi obiecują oto dopomóc w staraniach. Nie miałem
innego
ratunku... Co było robić?... A żebyś wiedział, jakiego mam synka! A
zdrow, choć
przy biedzie, a śliczny!... I żona poczciwa, choć to niby
cudzoziemka... Och, co
ona tam teraz robi, biedna?...
I rozplakał się.
Mnie również przypomniła się moja Jadwisia kochana, więc
porwałem się z
miejsca. Ale spojrzawszy na zapłakaną twarz druha, przez
współuczucie i dla
pocieszenia go, przypilem do niego. Potem on przypił do mnie i
począł mię
całować; potem znów ja przypilem do niego i począłem mu oddawać
pocałowania, aż
szyby dźwięczały. Aż nakoniec zaczęliśmy obadwa płakać i nad
nieszczęsnym losem
i nad naszymi kochanymi kobietami. Małośmy uważali na to, co się w
koło nas
działo. Od czasu do czasu tylko budziły nas z wzajemnego zatopienia
głośne
wybuchy hałasów i ochoty, panującej w domu. Wiem też, że
pomagał wynosić do
alkierza któregoś z braci kompanów, co od wina zdrzemnął się na
stole. Wiem i to jeszcze, że potem był znów dzień widny i że leżąc,
niby
nie u siebie, sprzeczałem się przecież tak jakoby z moim własnym
Filipem,
stojącym czegoś nademną. A mówiłem przytem:
— Nie pójdę domu, bo mi się nie podoba!
A gdy ten niby Filip począł mi się sprzeciwiać, rzuciłem nań poduszką
z pod

głowy, krzyząc:

— Nie mam żadnej żony! Wynoś się swoim kosztem!

Wiem, że te słowa moje powitane były wybuchem śmiechu przez jakąś wielką cizbę głosów. A ja wołałem znowu:

— Dajcie mi tu Olesia Korejkę!

I Oleś istotnie skądś wziął się przy mnie, a więc całowałem się z nim na nowo.

Potem miałem jeszcze naprzemian wiele przyjemnych bardzo i bardzo niemiłych snów

i przywidzeń, aż nareszcie nastąpiła jakaś ogromna i długa cisza. Wtedy otwarłem

oczy naprawdę, i począwszy je przecierać, rozglądałem się dokoła.

Dzień był. Uczulem, że głowa cięży mi trochę, co zaś do nóg, to jakby mi kto

wedle nich koła młyńskie poprzywiązywał.

Leżałem na łóżku, ale gdzie? u kogo? i z kąd się tu wziąłem? — niczego na razie

przypomnieć sobie nie mogłem.

Dokoła zalegała cisza, a w pokoju byłem sam jeden... Nie była to jednak wcale moja własna sypialnia — chyba, żeby mi ją kto z czarował, odmienił...

Cóż u licha ciężkiego?...

Zwlokłem się z pośłania i ruszyłem do pierwszych drzwi, jakie mi wpadły w oko, a

były one zresztą jedynym z tego pokoju wyjściem.

Zaledwim je roztworzył, tuż z pod nich, z krzeselka, zerwała się na szelest

jakaś postać ludzka i stanęła wyprostowana przedemną.

Patrzę — to znowu mój Filip...

Tak, to on... Nie marzy mi się już wcale... widzę jego twarz osowiałą, jakby

niewyspaną, i smutne oczy, oglądające mnie od stóp do głowy.

Z oszołomienia, nie mogę jeszcze słowa nawet przemówić.

Ale za to Filip, kiwając nademną głową z politowaniem, mówi:

— Oj, panie poruczniku! panie poruczniku!

Cóż to znaczy? Rozglądam się po sąsiednim pokoju i oczy moje padają na wielki

portret Napoleona. U mnie jest on także, ale dużo mniejszy, a ten — największy
może w całej Litwie — tylko w "zajeździe sąsiedzkim" — u pana Rafała...

Nagła jasność oświeciła moją biedną głowę. Zrozumiałem rzecz całą.
Przypomniałem
sobie wszystko naraz!

— Oj, panie poruczniku! — powtarza raz jeszcze Filip, niby echo, tonem
ubolewania. Rany Chrystusa! Co ja zrobiłem najlepszego? Co ja
zrobiłem!... Po com ja tu
wstępowałem, po co!... Ach, ten Korejko nieszczęsny! Ten pan Rafał! Ta
pijatyka!...

— Całą noc tu przespałem! — mówię upokorzony.

— Dwie noce! — poprawia Filip. Roztwieram szeroko oczy.

— Dwie? Jakie dwie? — wołam.

— Ano, wyjechał pan porucznik w poniedziałek, a dziś oto, na mój
rozum,
najsprawiedliwiej środa.

Chryste! Prawda, w poniedziałek... Ale po com to ja wyjeżdżałem?...

Aha! Jadwisia

była chora! I złapałem Filipa za ramiona.

— Co się stało? — wołam.

— Ano, gdzie niby?...

— Gdzie?... tam, tam, w domu?... Pani!... Co z panią słyhać?

— Z którą niby?...

— Z którą?... A cóż to? Dziesięć żon mam? co?

— Ale czemu się pan gniewa? Są przecie teraz u nas i dwie starsze
panie ciotki

— rzecze Filip.

Prawda! Przypominam sobie... Są ciotki... Sam ich przecie mimowoli
sprowadziłem... I gniew mój opada nagle, a wraca znów pokora i
zakłopotanie.

— Widzisz... ja pytam o moją żonę — mówię. — O młodą panią?
Ano, zdrowa, powiadają...

— Zdrowa? Jako, zdrowa, zupełnie?

— A niby zupełnie. Tak mówiła sama i starszy pan także powiadał...

— Pan Konstanty? Mój teść? Więc on jest tam także?

— A tak... Wpadł, jak wichur, zaraz prawie za starszemi paniami...
Otożem się spisał! Ładnie się jego dzieckiem opiekuję!... Gwałtu! Jak
ja teraz

oczy na ludzi podniosę? jak?...

— Więc ciebie tu starszy pan przysłał? — pytam Filipa.

— Tak... On zaraz zgadł, że pan porucznik pewnie o ten dwór
zawadził.

Ani słowa! — ładny ze mnie mąż! Będę ja teraz mieć za swoje,
będę!... Ha! nie ma

radę!... Trzeba wracać po krzyż pański...

— Dalej — mówię do Filipa — ubierajmy się!

— E! ja tam od wczoraj ubrany... Całą noc oto w tym pokoju pode
drzwiami

przedrzemałem, czekając, rychło - li pan się nareszcie zbudzi...

— A gospodarz, pan Rafał, gdzie? — pytam, chcąc zagadać niemiłe
uwagi Filipa. —

A ten Korejko nieszczęsny? A inni?...

— Nie chcieli pana porucznika budzić, bo pan najwięcej pono
wojował. Oni

wszyscy dziś już dobrze trzymali się na nogach i całą kupapojechali
zaraz zrana, podobno do powiatu, z tym panem, co to świeżo przybył.
Ano, Oleś czasu nie traci — pomyślałem. Może też i co pomogą jego
zachody...

I ja teraz czasu nie traciłem. Począłem ubierać się zwawo, a podczas
tego Filip

opowiadał w dalszym ciągu, jak na mnie w domu czekano — jak pani
w głowę

zachodziła, co się ze mną stać mogło — jak wreszcie ojciec jej
przybył i odrazu

ją uspokoił, mówiąc, że wilcy mnie nie zjedli, ale dom Rafała
zagroził mi

drogę.

Począłem nieznacznie badać Filipa, czy dużo było rwetesu i czy teść
zły bardzo.

A Filip mi na to, że zgoła nie zły.

— Owszem — powiada — wcale wesoły; zajął się gospodarką,
zawołał do siebie

rządęcę na sprawę i uśmiecha się ciągle, a taki czegoś kontent, jakby go
kto na
sto koni wsadził.

— Aha! — myślę — licha on tam kontent. Chowa się z wybuchem.

No, zjeść mu się
nie dam. Ale dużo gadać także chyba nie będę mógł, bom
przeskrobał... tak,
trudno zaprzecć... przeskrobałem...

Ale będę się trzymał ostro... Cóż bo u licha, dzieckiem nie jestem...
wolno mi

przecie robić, co mi się podoba, tak, wolno!...

Tylko z Jadwisią głupsza sprawa... Co jej powiem? Ona taka
poczciwa... tak mię

kocha prawdziwie... Opuścić chorą żonę i spać się bez pamięci, to
przecie się

nie godziło... Ale trudno! Jeśli Jadwisia mię kocha, to właśnie powinna
przebaczyć łatwo... rozumie się, że

powinna. A jak się będzie dąsać, to niech się dąsa!

I zrezygnowany już na wszystko, wołam do Filipa:

— No, dalej! Każ - no podać mojego kasztana!

— Jakiego kasztana? — rzecze Filip po swojemu.

I w dalszym ciągu zaczyna mi opowiadać, że kasztana już
odprowadzono do domu, że

pani przysłała po niego chłopaka ze stajni, bo mówiła: "Wtedy
dopiero uwierzę,

iż panu nic się nie stało". Mnie zaś kazała przywieść karetką, która tu
już od

wczorajszego południa czeka w pogotowiu.

Rozgniewało mnie to znowu.

— Cóż, u kaduka, nogim połamał, żeby mnie miano przywozić?

Nie pomogła jednak irytacja i rad nie rad, osowiały, zabrałem się do
powrotu,

nie tknąwszy śniadania, jakim mnie służba Rafała, według rozkazu
pana, chciała

uraczyć przed drogą.

Tym razem nie śpieszyło mi się wcale. Chciałbym był owszem, aby
droga do domu

przeciągała się była w nieskończoność. Nieszczęściem jednak,
wypoczęte konie
gnały, jak szalone, i karetka posuwała się, jakby ją kto popędzał.
Nie wyszła też godzina, gdy oto poczęliśmy już dojeżdżać do dworu.
— Filip, mówię, trafimy może na sam obiad?
— A tak, prawie na obiad...
Tymczasem i psy podwórzowe i ogary poczęły już ujadać. Tak zawsze
chwaliłem im
tę czujność, ale w tej chwili byłbym chętnie wydusił jednego po
drugim.
Nie wiedziałem: co z sobą począć, gdzie pochować głowę, ręce, oczy,
nogi —
wszystko to bowiem zawadzało mi teraz. W ciągu drogi
postanawiałem sobie
nadrabiać miną i nie tracić fantazyi. Teraz jednak miałem ochotę przez
jaką
mysią dziurę wcisnąć się do domu i usiąść gdzie w kącie, w cichości.
Niechby mię
tam już siedzącego znaleziono, jak zwyczajnie bywało po wyplataniu
jakiego
figla, w dniach dzieciństwa.
Nie omyliłem się oto!... Przeklęte psiska!... Zanim karetka podjechała
pod
ganek, już znajdowali się w sionce — na moje powitanie — i teść i
obie ciotki —
i służba, a po za tem wszystkim i ona — Jadwisia moja kochana,
bledziutką, ale
uśmiechnięta szczęściem.
Trudno... trzeba było wysiąść...
Gdym postawił nogi na zaśnieżonej ścieżce, zdawało mi się, żem
włożył je w
ukrop.
Głuchy szmer zmieszanych głosów doleciał mię z sionki, po za
gankiem.
— On, on! Pan! Przyjechał! przyjechał! Zupełnie, jakbym wracał
gdzieś z połowy
świata...

Na pierwszy ogień wypadło powitanie z te- ściem, on bowiem najwięcej naprzód był wysunięty. Nadstawił mi też zaraz swoją pocziwą twarz, którą jaw milczeniu, ale z ogromną ochotą, po dwakroć ucałowałem. On zaś, całując mię na przyczynę, po zwyczaju, w czoło, przemówił pierwszy:

— No, cóż? Jakże tam kochany Rafałek, zdrów? Powiedział to wesoło, bez przekąsu, ale łatwo zrozumieć, że ja byłem jak ów, na którym to ongi czapka gorzała.

— Aha! zaczyna się! — pomyślałem. Nic jednak nie odrzekłszy, postąpiłem ku żonie i sięgnąłem do jej rąk, chcąc takowe ucałować. Byłem pewny, że będzie mi tego bronić, że się nadała i tam dalej, jak to kobiety potrafią. A tu nic — zupełnie nic. Położyła mi tylko swoją uśmiechniętą główkę na piersiach i zręcznie pociągnęła mię sama do pierwszego pustego pokoju.

— Mój drogi, mój złoty! — mówiła, przytulając się do mnie — tak się bałam o ciebie!...

I więcej nic — nic. Tylko, gdym zdziwiony, ale i ośmielony nieco, posunął usta do jej czoła, wybuchnęła cichem łkaniem.

— Wybacz, daruj! — wołałem upokorzony. Chciała coś przemówić, ale nie mogła. Odważyłem się wtedy spojrzeć w jej oczęta i wyczytałem w nich bez trudności, że albo wcale się nie gniewała, albo dawno już przebaczyła. Tem też więcej nie pojmowałem: dlaczego łkania swego nie może ukoić. Bo oto prawie że usteczka jej układały się już do uśmiechu, a oczy jeszcze ciągle płakały.

Na moje szczęście, teść stanął we drzwiach I dalej naganiać nas do obiadu.

— No, pójdźcie! — wołał — później się nagadacie! Teraz jeść!
Zobaczysz — dodał,
zwracając się do mnie — jak ci będzie dziś barszczyk nasz smakował!
Za teściem weszły i obie ciotki, przypominając mi, żem się z niemi
nawet jeszcze
nie przywitał. Ucałowałem je pierwszy raz z taką ochotą.
W milczeniu zasiedliśmy do stołu. Barszcz istotnie był wyśmienity,
zmiałem go
też z talerza, jak nigdy. A w przerwach całowałem z jednej strony rękę
mojej
Jadwisi, a z drugiej teścia po lewym policzku.
Przy piątem coś takim pocałowaniu, teść mój zagadnął nagle:
— Cieszysz się, co? Poczciwe chłopczysko! I pocałował mię ognięcie
w czoło.
Nie odpowiedziałem nic, bo coraz więcej byłem zdziwiony. Nikt mi
słówkiem nawet
nie wymówił mojej dwudniowej birbantki. Owszem, wszyscy jacyś
uszcześliwieni, a
najwięcej teść? Co to znaczy? Przy pieczystem znowu któraś z ciotek
odezwała się:
— Winszowali ci pewnie wszyscy? Wybałuszyłem oczy zakłopotany.
— Ba! — podchwycił teść w tejże chwili — naturalnie! Aleście tego
tę radość
oblewali! Tak zawsze Rafałek. Byle okazyjka! Ale w to wierzę, że go
to szczerze
uradowało.
Cóż u licha ciężkiego? Jaka radość? — myślę. Co oni mi ciągle z tą
radością
wyjeżdżają? Drwią sobie, czy co?
Zimny pot wystąpił mi na czoło.
Wolałbym był najokrutniejsze piekło, niżli to — jak rozumiałem —
dogryzanie.
Odezwałem się też zaraz:
— Mój kochany panie Konstanty! Zawieruszyłem się, prawda, ale na
takie znów
szykany nie zasłużyłem.
Wszyscy zdziwieni spojrzeli naraz na mnie.
— Na coś nie zasłużył? — pyta teść.

— No, na to dokuczanie tą jakąś radością. Korejko pocziwe
człowieczysko i było
się z czego radować.

— Co ten plecie? Jaki Korejko?
W tej chwili Jadwisia upuściła nagle nóż na talerz i o ilem dostrzegł,
zapłoniona cała, wybiegła z pokoju.

— No, no! mała! nie rób głupstw! — wołał za nią ojciec. Ale to jej
nie
zatrzymało.

W tej chwili dopiero, myśli moje, płatajacesię dotąd ciągle około
nieszczęsnego domu Rafała, w innym poszły kierunku. A
więc tu chodzi o Jadwisię, o moją żonę?...

Spojrzałem po obecnych i uderzyłem się w czoło.

— Więc tyś niczego się nie domyślał? — zawołał teść.

— Toście wy z czego innego aż przez dwa dni się cieszyli? —
mówiła jedna z
ciotek.

— A niechże cię w ramki oprawia! — dodał teść, zanosząc się od
śmiechu.

Ale ja już tego wszystkiego prawie nie dosłuchałem i pędem
wybiegłem za
Jadwisią.

Zdawało mi się, że dotychczas kochałem ją już tak, iż nie można było
więcej, a
teraz poznałem, że znów dopiero od tej chwili naprawdę zacznę ją
kochać.

Zastawszy ją w sąsiednim pokoiku, uśmiechniętą, uszczęśliwioną,
choć niemniej
zapłonioną, pocałem, nie mówiąc już ani słowa, obsypywać jej rączki
i główkę
pocałunkami, bez miary i liczby.

Dopiero też nawoływania, że obiad dzisiejszy nie skończy się chyba

—
utemperowały mię nieco.

Ledwie jednak Jadwisię namówił, że wróciła do stołu.

Przyprowadziłem ją
przemocą.

Teść powstał i stanąwszy między nami, począł naprzemian mnie i ją całować.

— No, teraz mi ją szanuj! — mówił. Ciotki obcierały załzawione oczy, a co prawda, to i ja jakąś wilgoć na rzęsach uczułem.

— A od jutra zaczniesz się uczyć gospodarki pod mojem okiem — dodał ojciec

Jadwisi. — Teraz już nie żarty!...

I w ten dzień żadne z nas nie dokończyło obiadu, bo szczęście, wiadoma rzecz,

syci...

Długo jednak jeszcze byłem przedmiotem pocisków i docinków, zarówno obydwu

ciotek, jak i teścia, za moją ówczesną niedomyślność.

— Otóż to mężczyźni! Albo wy się. znacie na czym! — odzywała się często

później, przy lada sposobności, jeśli nie jedna, to druga z ciotek.

Naturalnie Jadwisia brała mię zawsze w obronę, ale ja zgola już na to nie

zważałem. W życiu mojem nastał teraz stanowczy przełom. Miałem znowu cel, dla

którego żyć mi się godziło nie po hajdamacku, ale z kredką, zabiegliwie...

Przed rządcą nie śmiałem się przyznać, że młodość nauczyła mnie dobrze tylko

szablą wywijać, czwórki z szeregów a z czwórek znów szeregi formować —

gospodarki zaś, nie przesadzę, gdy powiem, że prawie ani w ząb; tyle, że tam

czasem czemuś przyjrzałem się w dzieciństwie z amatorstwa, a i to już z głowy

wywietrzało. Przed teściem zaś i do tego przed takim, jakim był ojciec mojej

Jadwisi, nie grałem już pod tym względem komedyi, ale

wyspowiadałem się szczerze

ze wszystkiego. Nie zadziwił się wcale, jak gdyby dawno i dobrze o tem wiedział, lecz ab ovo, po

kolei, łagodnie, począł mi wszystko objaśniać, doradzać i niby
dziecko prowadzić
za rękę po tej nowej dla mnie drodze. A słygał sam, na całą okolicę,
jako
zawołany gospodarz.
Nie trudno też pojąć, że pod takim nauczycielem i przy szczerej
ochocie z mej
strony, nauka szła mi dość zwawo. A i rządcą, poczciwe człeczysko,
nie wiem, czy
namówiony przez teścia, czy też z wrodzonej delikatności, widząc i
oceniając
moje chęci, dopomagał mi w nauce tej nie mało. Jeślim się kiedy
pomylił i źle
zrozumiał jaką informację teścia, nie dawał mi tego poznać na razie, i
nie
wytykał, aby mnie nie upokarzać, lecz nibyto zgadzając się na moje
rozkazy, w
toku rozmowy, naprowadzał mię zwolna na właściwą drogę. Zdawało
mi się też
nieraz wówczas, że to ja sam dobrze odrazu gadałem, tylko że rządcą
chciał
inaczej zrobić — i dopiero znacznie później zrozumiałem całą
szlachetność i
dobrą stronę tego postępowania z takim, jako ja, starym nowicjuszem.
Nauka moja odbywała się częścią u mnie, częścią w majątku teścia.
Dojeżdżaliśmy
do siebie w tym celu wzajemnie. Gdy wiosna nadeszła i rozpoczęły
się roboty w
polu, byłem już dobrze poduczony, a gdy przyszło lato i ujrzałem
pierwsze,
naprawdę już własne plony, radowałem się jak dziecko, a radość tę
podzielała z zemną w zupełności moja Jadwisia. Gdym wieczorem, po
całodziennej krzątaniu,
wracał pod dach, wypytywała o wszystko, interesowała się każdym
zyskiem, każdą
stratą. Słowem, zasmakowałem w porządku, w ładzie, w pracy i
spokoju i zacząłem

nawet dziwić się, że w takim zakątku można być tak prawdziwie szczęśliwym.

Nie powiem, żebym już odtąd żył, jak święty lub jako odludek, i żeby nie

przychodziła mi czasami jeszcze ochota ujrzenia tego lub owego ze znajomych i

pochulania z nimi. Nie żałowałem wprawdzie niczego ani sobie, ani drugim;

odwiedziłem nieraz później "sąsiedzki zajazd" pana Rafała, ale się już strzegł

zawieruszenia, niby ognia.

Nieszczęsny Korejko przeszło już od pół roku między nami się uwijał.

Jeździł po

rozmaitych urzędach, i sam, i z sąsiadami, zbierał świadectwa

przeróżne i

stylizował coraz to nowe podania, supliki i rekursa — wszystko dotąd nadaremnie.

Nie zanosił się jakoś na to, ażeby mógł co wskórać; on jednak, choć lamentował,

był przecie w gruncie pełen dobrej myśli i nie tracił nadziei, że ojcowiznę

odzyska.

Najdłużej i najczęściej przesiadywał u Rafała, bo tam była największa swoboda i

najprędzej trafić się mogła jaka nowa głowa do rady. Rad tych zaś nie brakowało,

choć częstokroć były one wręcz sobie przeciwne. Co jeden uważał za główny

warunek powodzenia, na to drugi ma-wiał zwykle: "furda!" A

dobroduszny Oleś każdemu wierzył, każdego słuchał.

Ostatnie zawsze było dla niego na wierzchu, tj. ten, kto ostatni radził, tego

rada wydawała mu się najlepszą.

W jednym tylko wszyscy doradcy się zgadzali, a mianowicie, że do przeprowadzenia

tego interesu potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

Oleś ich

nie miał, ale między nami zawsze tam coś się znalazło. I pieniądze te szły i szły i szły — znikwały niby w dziurawym worku, a interes przecież nie zbliżał się jakoś ku ukończeniu.

Nie chcąc być nikomu za długo ciężarem, zmieniał biedny Oleś co parę tygodni gościnę, bawiąc kolejno to u jednego, to u drugiego z sąsiadów.

Przyszła też i na mnie kolej, a nie powiem, żebym temu był nie rad.

Wprawdzie zanudzał mię czasami tą swoją sprawą, wywołując ją na stół. przy lada

sposobności i wracając do niej od świtu do zmroku po razy kilkanaście z rzędu.

Stało się to już jego manją, tak, że o wszystkim innym mówić zapomniał, ciągle

tylko swoją zaprzepaszczoną ojcowizną mając na widoku i myśli.

Opowiadał zazwyczaj całą historię od początku, choćby po dziesięć razy, każdemu

z osobna i wszystkim razem, kto go tylko słuchać zechciał. Ale przytem tak

wyglądał pocziwie, taki smutek przeglądał mu z oczu, gdy o żonieswej nieszczęsnej i dziecku wspominał, że trudno było mieć mu to za złe i nie

współczuć z nim razem.

Rozbrajał każdego właśnie tą swoją niezachwianą wiarą w pewność powodzenia swej

sprawy, o której zresztą wielu z nas powątpiewało. Ale zarazem czytaliśmy i to z

oblicza biedaka, że gdy on sam powątpiewaćby zaczął o wygranej, pewnieby go to

dobilo; tak wielce ta złuda potrzebną mu już była do życia.

Co do mnie zaś, rozumiałem nieszczęście Olesia tem więcej, zem sam był nad wyraz

wonczas szczęśliwy. Moja kochana Jadwisia dała mi, w sam dzień świętej Anny,

śliczniuchną i zdrowiutką córuchnę, cacane maleństwo, Anuleńkę, pociechę moją

najmilszą. Więc też tem więcej dusza mi się rwała w kawałki, gdym patrzył na nieszczęsnego mego towarzysza, oddzielonego od swych dwojga, równie może kochanych istot.

A już rześiste łzy wycisnął z oczu i mnie, i mojej młodej żonie, gdy wpadł raz

nad wieczorem z listem, jaki świeżo otrzymał od swej margrabianki.

— Oto biedactwo! — wołał, całując wymięty papier i biegając, jak szalony, po

pokoju. — Wróciła do Paryża z synkiem moim kochanym. Oto pocziwa! Nie założyła

rąk, daje sobie radę! Uczy oto dziatki jednej ze swych dawnych a bogatych

koleżanek po angielsku i żyje! Biedactwo! A oto i synek mój, cherubinek złoty,

szó-sty rok ledwie rozpoczął, a już przypisuje się do listu do swojego tatusia: "Mon

trés cher papa... " Aniołek!...

Stanął na środku pokoju i zamyślił się.

— Pisz ano po francusku! — rzekł. — Szkoda! Ale to pewnie matka go wyuczyła...

Cóż robić! Jabym go był wyuczył po naszymu! Ale jeszcze nie zginęło. Jeszcze się

wyuczy. Musi wyuczyć...

Usiadł pod oknem i otarłszy łzy rękawem, począł znowu wpatrywać się w pismo.

— Przypomina małeństwo o swych imieninach! — mówił. — O! nie zapomnę! nie!

I znowu, ocierając łzy, począł się zaklinać: "Tak mi Boże dopomóż" — i

zapewniać, że wynagrodzi tym swoim biedakom całą ich mękę terazniejszą; że

ozłoci obydwójce; że będzie jak pies u nóg ich leżał... Tylko przedtem musi

wydostać wszystko swoje z zatracenia i wydostanie...

Patrzyłem na tę postać zbiedzoną a rozmarzoną z prawdziwym współczuciem.

Porozumiawszy się też spojrzeniem z Jadwisią, piastującą
przebudzoną właśnie
córuchną naszą, wydobyłem jakieś kilkaset złotych i mówię Olesiowi:
— Masz! Poślij twemu małemu na imieniny!
Naturalnie Oleś dopóty się ceremoniował, pókim mu nie
zapowiedział, że jeśli nie
przyjmie, to sam wyślę to w jego imieniu. — No, zresztą pożyczasz
mi tylko — dodał przekonany. — A ja oddam, jak tylko
swoje odbiorę; święcić oddam!
— Dobrze, dobrze! — rzekłem — wiem, że oddasz, dlatego też
pożyczam!
W tydzień później, Korejko, po odbyciu podróży do powiatu, gdzie —
jak mówił —
naradził się z jakimiś dobrze świadomymi wszystkiego osobami,
zapowiedział mi,
że wyjeżdża do Petersburga.
— Dawno mi już tak trzeba było zrobić, a nie u gęsi owies kupować!
Na miejscu
wszystkiego dokona się z łatwością. No! teraz już wierzę, że wszystko
wkrótce
się skończy! — wołał uradowany.
Miałem go wstrzymywać? Sam zresztą, widząc jego ukontentowanie,
nabrałem
niejakiej otuchy.
— Ha! może istotnie coś tam wskóra! — myślałem.
Wyekwipowałem go więc na drogę, pożegnałem czule i wyprawiłem.
Zajęcia moje w domu i po za domem mnożyły się teraz z dniem
każdym. Teść począł
narzekać, że coraz więcej niedołęźnieje i że wkrótce zapewne trzeba
mu będzie
pomyśleć o należytych wypoczynku.
— Powiadam ci — mówił — że tylko Bóg łaskaw jakoś na mnie.
Trzymam się jeszcze,
jakby właśnie po to, abyś ty dokończył onej edu-kacyi swojej. A
spiesz się, bo czuję, że słabnę i że się już po części wynoszę!
Naturalnie uspakajałem go, zbywając żartami każde jego odezwanie
się podobne. Z

Jadwisią też oboje odsuwaliśmy od siebie nawet myśl wszelką
złowrogą, ufając i w
miłosierdzie Boskie, i w siły pocziwego starego.
Na siłach tych, na oko, wcale mu nie zbywało; czerstwość bowiem
przeświecała z
jego twarzy; w gruncie jednak sił onych rzeczywiście nie miał i
skarżąc się, że
mu coś oddech tamuje, przypominał, że w jego rodzie wszyscy
zwykle dobrze
wyglądali, a przecież zawsze po pięćdziesiątce wkrótce umierali, to na
serce, to
na krótki oddech.

Istotnie też, w zimie i następnej wiosny, zapadał kilkakrotnie na owo
zatykanie
w piersiach i musiałem go wyręczać w gospodarce.
Cieszył się z tego niezmiernie.

— Otóż to! — mówił — próba w sam raz! Ano, widzę, mój Jasiu
kochany, że sobie
dasz radę w obydwu majątkach, i tu, i u siebie, i nie zmarnujesz nic,
chwała
Bogu!

A przytem zwykle dodawał:

— Tylko przed Jadwisią, w każdym razie, ani mru — mru! Nie trzeba
jej
zasmucać!...

Tymczasem w domu mała Anuleńka chowała nam się prześlicznie i
zdrowo. Czekaliśmy
tylko w niepokoju wyklucia się pierwszych jejząbków, ale i to odbyło
się w swoim czasie, nader szczęśliwe i łatwo.

Pierwszy też raz wtedy, jak sobie przypominam, nie miałem wcale za
złe mej

Jadwisi, że gdy ów czas ząbków nadchodził, ofiarowała się królowej
Maryi suszyć

każdą sobotę i święcie suszyła. Owszem, byłbym ją wonczas nawet do
tego

podmawiał, gdyby była potrzeba.

— Matką jest — myślałem — najłacniej więc u Matki uprosi za
naszą dzieciną!...

Sam też, patrząc na ukochane maleństwo, jak dostawało pierwszej gorączki w onym czasie, trzepałem po kątach, pokryjomu, dawno zapomniane pacierze — i dziś, Boże ty widzisz! — nie wstydzę się tego wcale...
A czyż mógłbym zapomnieć o pierwszym uśmiechu mego robaczka?... Pamiętam, że formalna zazdrość mną trzęsła, gdym widział, że po dziesięć razy uśmiecha się do matki, a na mnie wcale nie zważa. Dopóty też około kołyski drogiego bębna kręciłem się i manewrowałem, aż raz i dla siebie uśmiech taki zdobyłem...
Ach, jakżeśmy się wtedy z Jadwisią z tego cieszyli!...
Później przysły i te pierwsze powitania: "tata" — "tata" — a jeszcze później i owe piewsze kroki na ręczniku i około sprzętów! Boże mój drogi! jakżem ja był wtedy szczęśliwy!...
Dla gospodarstwa jednak, rok ten, w którym Anuleńka pierwsze kroki stawiać poczęła, nie był wcale pomyślny. Najprzód miałem grad, potem i pożar na folwarku, następnie wichur niebywały, który mi nawywracał w lesie mnóstwo starych drzew, a wreszcie zatoneły mi na Niemnie, przez niedbalstwo służby, dwie berlinki ze zbożem. Słowem, nie bardzo się jakoś wiodło.
Naturalnie, gryzłem się tem nie mało. Tylko teść pocziwy, a dziś już "dziadzio"
— ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, bardzo prędko odżałował każdej z tych strat i nawet zacierał ręce z pewnym rodzajem ukontentowania.
— To trudno! to trudno! — powtarzał. — Nic nie szkodzi, że spotykasz się i z przeciwnościami... Klęski w gospodarstwie muszą być... Jużci lepiej, gdy ich nie

ma... Ale trzeba się ze wszystkim otrząsać... Nic nie
szkodzi...Łatwo pojąć,
że w obec tych wszystkich kłopotów z jednej strony, a znów
niewyczerpanego
źródła rozkoszy z drugiej, wywietrzył mi z głowy biedny Oleś i jego
wszystkie
biedy. Zapomniałem o nim ze szczętem, a on mi się też i niewiele
naprzykrzał.
Za całe pół roku miałem od niego z Petersburga jedną tylko
wiadomość. Donosił,
że nie ustaje w staraniach; że znalazł pono drogę aż do samego
ministra; że
nadto spotkał się tam przypadkowo z jakimś zamożnym krewnym,
który mu wiele
dopomódz obiecuje w tych zabiegach. Korzyści jednak istotnych nie
było dotąd widać. On atoli nie tracił fantazyi i
po swojemu był ciągle dobrej myśli.
Z niemniejszą też fantazyą wpadł do mnie, niespodzianie, jakoś
następnej wiosny.
Nie wskórał jeszcze nic, ale zapewniał, że sprawa na najlepszej
drodze. Zostawił
tam właśnie, dla czuwania nad nią, owego krewnego, który mu też, à
conto
mającego się ubić "interesu", zaliczył nawet trochę mamony.
— Jadę więc teraz co tchu do Paryża — mówił — do moich
kochanych biedaków! Och,
a stęsknił-żem się za nimi, stęsknił!
Pieniądze, które czuł przy sobie, nadały mu więcej nieco pewności
siebie,
rozprostowały go; wyglądał i pokaźniej i butniej.
— Bóg łaskaw! wszystko dobrze się skończy! — powtarzał.
Naturalnie, chciał też zaraz obliczać się ze mną i spłacić pozaciągane
u mnie
długi, choć w części.
Znając jednak jego lekkość i brak zastanowienia, a domyślając się, że
uzyskana
zaliczka nie musiała znowu złotych gór dosięgać, nie pozwoliłem na
to.

— Nie z pożyczek miałeś mię spłacać — mówiłem — ale wtedy dopiero, gdy wszystko odzyskasz. Nic teraz nie przyjmę...
Dał się przekonać, zwłaszcza, gdym mu począł obliczać same koszta dalekiej podróży. — Poczciwyś, poczciwyś! — wołał.
Moja Anuleńka bardzo mu się spodobała. Brał ją na ręce, przez cały wieczór bawił rozmaitemi figlami, prawie że kozły dla niej wywracał. Więc też przez dziecko trafił i do serca matki, jak już dawniej do mojego.
Jadwisia namawiała go, aby żony swej nie chował za światem, ale ją nam przecie kiedy zaprezentował.
— A jakże, a jakże! — odpowiadał. — Przywiozę ją, jak tylko się moja sprawa wyklaruje... Polubi ją pani dobrodziejka, bo to także anioł szczerzy. A synek, to jakby stworzony na męża dla Andziulki waszej...
Kandydatka na żonę, o której była mowa, wdrapywała się właśnie na krzesło z wielkim mozołem. Uśmieśliśmy się więc serdecznie, a Korejko ciągnął dalej, zwracając się do mnie:
— Cóż bo chcesz? Wszakbyś go nie odrzucił? Z cudzoziemki się rodzi, prawda, ale z margrabianki prawdziwej. A toć i ja, jego ojciec, Korejko jestem, twój nawet krewniak, a choć daleki, przecie nie żaden znajda...
Ubawiliśmy się szczerze z tych projektów.
Nazajutrz rankiem odwiozłem go do Rafała, z kądem po kordylnem, choć przyznać trzeba, krótkim tym razem pożegnaniu, wyruszył w swoją daleką drogę.
Odtąd straciłem go z oczu znowu na dłużej, bo coś aż około pięciu lat ani się nie zjawiał, ani nie dawał znać o sobie wcale. Tyle, że tam ktoś czasem z sąsiedztwa, z

naszych wojażerów (a niebrak ich nigdy), wracając z Francyi,
przywiózł o nim
wieść jaką.

Mówiono tedy, że przemieszkuje w Paryżu, że jego żona także świeżo
coś tam, choć
nie zbyt wiele, po jakichś krewnych odziedziczyła, że więc żyją sobie
przyzwoicie i spokojnie, wychowując syna, którego oboje bardzo
kochają i
pieszczą.

Dodawano też, że kochany Oleś nie wyrzekł się jeszcze wcale myśli
odzyskania

zaprzepaszczonej ojcowizny, ale że trudno mu się jakoś wybrać do
kraju, choć

ciągle przybyć obiecuje i z tygodnia na tydzień wyjazd swój odkłada.

Złośliwsi powiadali:

— Zjawi on się tu znów, zjawi, tylko niech mu grosza zabraknie!
Inni, wyrozumialsii, brali go w obronę:

— To i cóż! — mówili. — Gdzież ma się udać, przecie nie do
murzynów, jeno do
swoich w potrzebie! Cóż to, zbrodnia?...

Bóg mi świadkiem, że sam, zażywszy także trochę biedy, podzielałem
całym sercem

zdanie tych drugich sędziów Olesia.

A tymczasem u mnie, przez owe pięć lat, dużo się zmieniło. Anuleńka
już teraz

nietylko "tata" i "mama" wołała. Wyrastała nam z niej dziecina
rozkoszna, mądra

i miła, kochana przezwszystkich, a przez "dziadzię" aż do zbytku
prawie! Już teraz chodziła z

"tatusiem" często i w pole, a z "mamusią" jeździła do kościoła i
modliła się tam

już ze swojej własnej książeczki, podarowanej przez "dziadzię" na
imieniny, a

przywiezionej z Wilna.

Ach, tylko owego kochanego "dziadzi" właśnie nam w owym piątym
roku zabrakło!

Zaczawszy raz swoje narzekania na ów krótki oddech, narzekał już
ciągle i słabł,

ale się przecież trzymał, i chodził, i pracował, ile mógł. Przywykłszy też do jego biadań, dość jednak oględnych, myśleliśmy oboje z Jadwisią, że przy swoim nieszczęsnym krótkim oddechu, wieki z nami jeszcze przeżyje. Tymczasem, raz się położywszy, już więcej nie powstał. Chorował wszystkiego zaledwie tydzień, ale przez ów tydzień postarzał się i zmienił prawie do niepoznania. A śmierć swą niemal przeczuł i przepowiedział. Przeniósłszy się bowiem pod zimę do nas, zwierzył mi się na ucho: — No, jużem się tam z mojami kątami pożegnał ostatecznie... Już ich więcej nie obaczę... Tak się też stało... Umierając przytomnie, na rękach moich i Jadwisi, powiedział: — Nie żal mi umierać... Spracowałem się i idę spocząć... A idę spokojny i o was i o ten kawałek ziemi... Właśnie jakoś wówczas, na świeży jeszcze smutek po zgonie teścia, zjawił mi się Korejko. Przybywał, jak mówił, tym razem już na stałe, z żoną i dzieckiem. Naturalnie, zarówno z wiadomej zaliczki krewniaka, jak i z owej schedy żoninej, nic już nie posiadał. — O mnie furda! — mówił — bo ja tak i jadę zaraz nad Nową, dla ostatecznego ubicia mej sprawy... Ale żonie, dziecku, nie odmówcie gościny tymczasem, nim się urządzę... Oczywiście, przyjęliśmy ich z otwartymi rękami, a ja z tem większą ochotą, że właśnie dla mojej Jadwisi, nie mogącej się utulić po stracie ojca, potrzebowałem jakiegoś towarzystwa, rozrywki. Ciągle mi bowiem jeszcze na cmentarz się

wykradała pokryjomu, sama lub z dzieckiem, a ja, zajęty podwójną
obecnie
gospodarką, nie mogłem jej upilnować.
Przybycie więc Korejkowej stało się dla mnie prawdziwą w tym razie
opatrnością.
A była to kobieta, w całym tego słowa znaczeniu, niepospolita. O ile
Oleś
pociągał ku sobie tą swoją poczciwością, która mu przez skórę
zdawała się
przeglądać, o tyle znów jego żona imponowała dziwną godnością i
spokojem.
Na pierwszy rzut oka znać było, że istotnie z dobrego gniazda się
wywodzi. Nie
było jednak w niej wcale jakowejś dumy wielkopańskiej, nie
zadzierała — broń
Boże! — głowy, przeciwnie, odznaczał ją wdzięk jakiś wrodzony, słod-
czyz i naturalność. Była o parę lat starszą od mojej Jadwisi, ale
jeszcze zgoła
piękną kobietą. Bieda, jakiej w życiu zaznała i zmienność losu,
przystroiły ją w
jakaś przedwczesną powagę, a przybycie w obce strony, między
nieznajomych,
napoiło ją pewnem zaambarasowaniem, z którym jej tak jednak było
do twarzy, że
mimowoli zmuszała patrzącego na nią do wyszukanej delikatności.
Miałem sposobność przekonać się później naocznie, że była to kobieta
prawdziwie
wielkiego serca i umysłu, i pod tym względem o całe niebo
przewyższała swego
męża.
Z Jadwisią polubiły się odrazu, rzeczby można: od pierwszych słów
paru, jakie
wzajemnie zamieniły. Zbliżył ich ku sobie smutek, który Jadwisią
miała w sercu,
a z którym Korejkowa znała się już zdawna i dobrze, choć, o ile
pamiętam, nigdy
skarga żadna pospolita z ust jej nie wybiegła.

Zresztą musiało tak być. Obie matki, kochające czule swe dzieci,
musiały się
prędko porozumieć i przyłgnąć do siebie.
Wprawdzie porozumienie owo miały trochę utrudnione, Jadwisią
bowiem niezbyt
biegle mówiła po francusku, zaś żona Olesia zgoła mowy naszej nie
posiadała.
Radziły sobie jednak z początku, jak mogły, póki ambitna Jadwisia,
przy mojej po
wieczorach pomocy, wprawy onej nie nabrała. Cały też dom mój odtąd
przepełniony był nawskróś francuzczyzną, albowiem i obie
ciotki moje, chcąc się popisać, rade tego języka używały, a nadto,
mimo zakłęb i
obietnic Olesia, chłopiec jego, dziesięcioletni Ludwik, prawie że
słowa jednego
z ojczystej mowy swego rodzica nie rozumiał. Co gorsza, widocznem
było, że
poznać onej mowy nie miał nawet najmniejszej ochoty.
Zauważyłem, że krzywił się i dąsał, gdy się przy nim odezwano w
innym, niż
francuskim języku. Gniewało mnie to naturalnie.
Byłbym też wymówił to Olesiowi, jako rzecz zgoła nieprzystojną,
gdybym nie był
wkrótce poznał, że on w tej sprawie, przy swoim wrodzonym
safandulstwie, prawie
że nie mógł nic zrobić.
Chłopak, kochany przez matkę aż do zaślepienia, psuty był przez nią
na każdym
kroku. Biedna kobieta, mając w tem dziecku jedyne prawie źródło
swojej pociechy,
ani się domyślała, że kochając je w ten sposób, buntuje nawet przeciw
ojcu.
Tak, tak. Widziałem bowiem, że chłopak, rozwinięty nad wiek i
niezmiernie
bystry, odgadł doskonale wszystkie słabe strony ojca, ocenił go
należycie i
prawie że go lekceważył.

Z natury już jakiś pochmurny, mrukliwy i milczący, tylko matce odpłacał ślepem istotnie posłuszeństwem i przywiązaniem za jej miłość, na ojca zaś nie zważał wcale. Parę razy nawet, przy nas, starszych, gdy była mowa o ojcu, odezwał się pogardliwie:

— Ah! mon papa, ca ne compte pas!... Pierwszy raz sądziłem, że się przesłyszał, za drugim jednak zburczałem go za to, zaraz z miejsca, łagodnie, ale należycie.

Lecz to nie wiele pomogło, był bowiem dumny i uparty zarazem, a wiedział, że

matka ostatecznie wszystko mu wybaczy.

Oleś jednak tego jakby nie spostrzegął. Zaślepiiony był w chłopcu na równi z

matką. Obydwoje umieli kochać, ale nie chować swego syna. Gdym zaś czasem zlekka

wspomniał ojcu, że należałoby chłopca wziąć nieco w karby, składał ręce i

odpowiadał:

— Przypatrz-no się, przypatrz, jaki on ładny!

Na tem się też wszystko kończyło, dzieciak bowiem istotnie był ładny i podobnie,

jak matce z jej powagą i olimpijskim spokojem, tak jemu z ową dumą i

pochmurnością było wcale do twarzy...

Znając ówczesną chwilę, łatwo się domyśleć, że nieszczęsny Korejko i tym razem

nic nie wskórał w swej podróży nad Newę.

Było to właśnie jakoś w połowie pamiętnego -go. Ruszało się dokoła wszystko,

co żyło. Już nie cząstki, ale świat cały zdawał się pochylać i wywracać...

Wszędzie wrzało; więc też i uwaga sfer, do których się Korejko zwracał, zupełnie czem innem była

zajętą.

Co gorsza, trafił nawet teraz tak jakoś nieszczęśliwie, na innych już ludzi, że

mu prosto powiedziano, żeby nie nudził i wybił sobie tę sprawę z głowy, a nadto poradzono, aby lepiej siedział spokojnie w kącie i starych grzechów nie podnosił, bo zamiast czegoś lepszego, może go przy bliższym rozpatrzeniu zgoła coś gorszego spotkać.

W rozpacz biedaczysko odezwał się podobno, że czemu on najciężej ma pokutować, dlaczego wielu innych nie spotkało to, co jego? Odpowiedziano mu, że co inni, to inni i — że niema reguły bez wyjątków.

Krewniak ów, który to niby tak wiele obiecywał mu dopomódz, odsunął się też teraz jakoś. Wróciło więc biedne chłopisko zrozpaczone, przybite, na pół żywe prawie...

Pozwoliłem mu ochłonać nieco i wyzalić się, poczem upatrzwszy chwilę, w której pozostaliśmy we cztery oczy, jałem mu przedstawiać, że ostatecznie do czegoś wiaść mu się trzeba, że przy stosownem zajęciu łatwiej mu będzie i rozpacz tę poskromić i pogodzić się z losem.

— Broń mię Boże! — mówiłem — abym ci miał żałować gościny, lub jakiej łyżki

strawy! Owszem! siedź sobie, póki tylko sam chcesz — lata całe!

Będę ci zawsze

rad!... Ale widzisz, mój Olesiu, chciałbym, abyś obok owej strawy i gościny, jeszcze coś zyskał dla żony swojej — dla dziecka!... Chcę właśnie

zapropozować ci wspólną ze mną pracę, na jednym zagonie...

— Ach! — począł z lamentem — więc ty już straciłeś wiarę w to, abym kiedyś, w

stosowniejszej porze, mógł osiąść tam napowrót, na swoim!... O! jeżeli mam się

z tą nadzieją na zawsze pożegnać, to odrazu w grób mi pójść lepiej — w grób!...

— Ale czemu masz się z tą nadzieją żegnać na zawsze, czemu? —
perswadowałem. —

Czekaj sobie tej sposobniejszej pory, owszem, jeśli wierzysz, że ona
kiedyś
nadejdzie...

— A ty już zupełnie w to nie wierzysz! zupełnie! O! jakżem ja
biedny! — wołał.

— Ale wierzę i ja, wierzę! — uspakajałem, kłamiąc zresztą ową
wiarę. —

Tymczasem jednak, zanim to nastąpi, cóż będziesz robił?

— A więc mnie już wyganiaasz! — począł. — Nie dziwię ci się; już i
tak za dużoś

dla mnie zrobił... za dużo miałeś ze mną kłopotów...

Słowem, nie mogłem się z nim dogadać. Ta zaś jego teatralna jakaś
patetyczność,

poczęła mnie nawet irytować na dobre...

— Cóż to u licha! — myślałem — żeby znów być taką babą, żeby tak
opuszczać ręce

— wstyd!

Począłem też wcale już sprawy nie obwijać w bawełnę, ani nie
dobierać słów, ale

ostro i po prostu wypowiedziałem całą prawdę, że obecnie potrzebuję
pomocy; że

jakkolwiek dałbym sobieradę z gospodarowaniem w obydwu
majątkach, ale z biedą i wysiłkiem; tymczasem na
dwóch możemy sobie w miarę wspólną pracę rozdzielić.

— U kaduka! — kończyłem — nie chcę cię przecie brać za ekonomę,
choć

ostatecznie żadna praca nie hańbi... Kobiety nasze nawykły do siebie i
dobrze im

razem; chciałem więc, abyśmy żyli wspólnie, spokojnie i abyś się
powoli

dorabiał... Nie chcę ci liczyć wcale tego, co zjesz, bo o to fraszka, a do
zysków chciałem cię przypuścić prawie do wspólki, w zamian za
twoją pomoc i

pracę... Odrzucasz ten projekt, postaram się o kogo innego... Ty zaś
chcesz czas

trawić na daremnem lamentowaniu, lamentujże sobie... Siedz gdy
chcesz — idź
sobie, jeśli ci się spodoba i gdzie ci się spodoba... co mi tam! Tylko
żony nie
dam ci włączyć za sobą, gryźć jej i martwić. Zostanie u mnie, a
możesz być
pewny, że jej na niczem zbywać nie będzie... Rób, co chcesz; nie
jesteś
dzieckiem!
Ostra ta przemowa wyborny odniosła skutek. Wprawdzie nie rzucił mi
się zaraz w
ramiona, jak rzucał się ciągle jeszcze pierwszemu lepszemu z tych,
którzy choć
słówkiem stawali po stronie jego złudzeń. Widziałem jednak, że
zrobiłem na nim
wrażenie... Zwykle tak bywa z pantoflem, którego nie na rozum brać
trzeba, ale
siłą...
Wypowiedziawszy zaś raz to wszystko, da-łem mu już spokój i
umyślnie przez pewien czas począłem niby stronić od niego i
nie widzieć go wcale. Wiedziałem bowiem, że najlepiej będzie, gdy
on sam już,
przetrawiwszy to wszystko w sobie, przypomni mi się z owym
projektem.
Jakoż, wywzdychawszy się i poobdzielawszy wszystkie kąty swoją
zgryzotą, a
widząc, że żona jego istotnie zasmakowała już w spokoju, swobodzie i
towarzystwie mojej Jadwisi, począł coraz bliżej ku mnie się
przysuwać i włązić
mi w oczy.
Wytrzymałem go jeszcze czas jakiś, aby nauczka lepiej skutkowałą.
Wreszcie,
zafrasowany, zdecydował się odezwać nieśmiało:
— Jasiu! duszko... uważasz... jakby tu zrobić z tym twoim
projektem...
— Jakim projektem?
— No, z tym niby... Miły Boże! tyś już widzę, zapomniał, a ja biedny
waryat

ciągle nad tem myślałem...

Nie dręczyłem go już dłużej. Uściskaliśmy się i ułożyliśmy rzecz całą w tym

sensie: Stałą siedzibą naszą miał być mój własny dwór, jako obszerniejszy i

bliżej nieco miasta. Kobiety nasze polubiły się, nie trzeba więc ich rozdzielać,

niech żyją razem, dopóki same zechcą i czuwają nad swemi dziećmi.

Do mnie należy

ogólny nadzór i kierunek, ze stałą — o tyle o ile — siedzibą w moim majątku; do

Korejki zaś wszelka możliwa pomoc, z siedzibą w majątku pozacnym nieboszczyku teściu moim. Zresztą będziemy ciągle wzajemnie do siebie

dojeżdżać i znosić się, boć przecie setki mil obydwu majątków nie dzielą.

Lamentował jeszcze trochę Oleś kochany, ale na warunki te zgodził się i wkrótce

zabrał się do roboty z animuszem, większym nawet, niż się spodziewałem.

Jako starszy odemnie, więcej też daleko umiał, aniżeli ja w owych dniach, gdym

pod okiem nieboszczyka ojca mej Jadwisi naukę rozpoczynał. Mniej za to miał

energii i na nią nigdy się nie zdobył, bo to nie była jego rzecz. Ale w końcu

włożył się w robotę i przy pomocy pewnej dozy rutyny, wcale nieźle się sprawiał.

Więcej nawet; wkrótce bowiem (zawsze jednak z flegmą i po swojemu) zaczął mi się

zwierzać powoli, że w gospodarstwach w Anglii i Francyi to lub owo lepszego

widział — a widział rzeczywiście dość wiele. Mnie zaś nie było trzeba dwa razy

powtarzać jednego; chwytałem więc w lot te jego od niechcienia rzucane

wiadomostki i starałem się, po zastanowieniu, wprowadzać je w praktykę. Stało

się więc nawet tak, że dzięki właśnie Olesiovi, w majątkach moich,
jeżeli nie
jedynie, to zawsze najpierw w całej Litwie wprowadzane były różne,
dość
korzystne inowacyjki, o których się dziadkom naszym nie śniło. Dziś,
naturalnie — Boże drogi! — znowu to wszystko posunęło się
znacznie
naprzód; ale naówczas to, cośmy robili, było już dość wiele...
Oto i ułożyło się nam wszystkim życie nie najgorzej. Raz było lepiej,
raz trochę
gorzej, w jednym roku mieliśmy mniej kłopotów, w drugim więcej —
summa summarum
jednak wypadła zawsze na naszą korzyść, przynosząc nam spokój i
zadowolenie
wewnętrzne, zwyczajne przy życiu znojnem a pracowitem.
Pozwalaliśmy też sobie czasem na niektóre ekscesiki. To ułożyło się
przejażdżkę
do Warszawy, to znów u siebie w karnawale wyprawilo jakiś balik,
lub pojechało w
sąsiedztwo, aby się kobiecieńta trochę rozerwały; to nareszcie latem
wyprawilo
się je wraz z dziećmi raz do Eger, raz do Karlsbadu dla zdrowia,
przyczem
zwiedziły sobie kawałek Niemiec, Drezno i Kraków — słowem, choć
bez zbytków, nie
żyliśmy przecież wcale jak zamurowani...
Czasami, miałem jeszcze nieco kłopotu z moim współnikiem. Nawet i
po paru
latach, obudzała się w nim jeszcze co jakiś czas jego manja co do
owych
daremnych starań. Wysłany na jarmark (a znał się wcale niegorzej na
koniach),
lub też za innemi interesami, skręcał jeszcze nieraz do urzędów i jak
się potem
dowiedziałem, topił tam nawet swoje oszczędności, obracając je na
koszta nowych
zabiegów.. Zwykle zaś, po każdej takiej wycieczce, wracał znowu
zafrasowany, zamyślony i przez dni parę plątał się tylko przy robocie.

Poczem przychodziła znów rezygnacya i równowaga wracała, chociaż do śmierci
niemal myśli owej się nie wyrzekł...
Nie mogę jednak skarżyć się na niego... Był mi druhem prawdziwym, szczerym, a
przywiązał się do mnie ze zwykłą jego naturą, psią niemal, uległością.
Wspomnienie też jego jest mi miłym zawsze i takim już pozostanie.
Zaopiekowawszy się w ten sposób ojcem, zwróciłem też rychło uwagę i na syna,
owego chmurnego i dumnego Ludwisia.
Ciężki to był orzech do zgryzienia, ale przecież jakoś się go zgryzło.
Zacząłem naturalnie od tego, że starałem się pozyskać sobie chłopca figlami, ku
którym miał wrodzoną żyłkę. Ponieważ jednak wszystko nudziło go dość prędko,
musiałem więc wysilać się ciągle na coś nowego. Najlepszą przynętą okazał się
ostatecznie koń, oraz fuzya i pistolety, jako rzeczy zupełnie prawie dotychczas
obce dla chłopca, chowanego w mieście i trzymającego się, jak to mówią, fałdów
matczynej sukni. Z początku bojaźliwie i z niedowierzaniem, potem jednak coraz
śmieiej, zaczął się Ludwiś oswajać z tą nowością i wielce w niej na razie
zasmakował.
Wyjeżdżając więc z nim pewnego razu na ów konny spacer i chcąc go tem więcej
zachęcić, odezwałem się, że oddam mu młodego gniadosza na własność, jeśli się prędko
jeździć nauczy.
Ambitny malec odparł mi na to krótko: "Merci, monsieur!" — potem namarszczył
czoło po swojemu i dodał, że takich prezentów nie godzi mu się przyjmować od
nikogo, co zaś do nauki, jeśli tylko zechce, będzie wkrótce jeździć tak, jak

ja...

Zagryzłem wargi na ten nowy wybuch nieokiełznanej dumy i powstrzymawszy w porę

złośliwa uwagę, jaka mi się na język cisnęła, podchwyciłem żywo:

— Owszem! dokaż tej sztuki! Ja niczego więcej na teraz nie pragnę!

— A potem? — zapytał z szyderczym uśmiechem.

— Zrobię cię jeszcze polakiem!

— Jamais! — zawołał i szarpnął konia, który też wyrwał się z nim naprzód, jak

oblany ukropem.

Wściekłość przygwoździła mię do miejsca. Byłbym tego bębna rozerwał chętnie w

kawałki. Miałem jednak jeszcze tyle przytomności, że kazałem stajennemu pogonić

za nim i strzedz go, sam zaś zawróciłem zły do domu.

Doznałem też nawet pewnego złośliwego zadowolenia, gdy mi później ów stajenny

doniósł, że "ten młody francuz" niedaleko za opłotkami przewalił się gniadoszowi

przez łeb. — Szkoda, że karku nie nakręcił! — pomyślałem w pierwszej chwili gniewu,

słuchając tej relacji.

On sam jednak nie przyznał mi się do tego wypadku, ale też i nie zraził się do

konia, czego się obawiałem. Tylko nazajutrz wydawał mi się jakiś potulniejszy.

— Czy dziś pojedziemy? — pytał, nie patrząc mi w oczy.

— Jedź sam! — rzekłem niechętnie. Widząc jednak, że się nie rusza, dodałem

przystępniej już nieco:

— Nie mam czasu! Weź Aleksego... (Był to ów chłopak stajenny).

Począł miąć czapkę w rękę, przygryzać wargi i spoglądać na mnie z pod oka.

— Vous... vous... pan... pan gniewa się na mnie! — wykrztusił, przekręcając

jednak te polskie wyrazy tak, że nawet nie odrazu go zrozumiałem.

Było to pierwsze jego — z własnej woli — odezwanie się do mnie w naszym języku.

Zwykle bowiem dotąd ja przemawiałem do niego po polsku (z wyjątkiem, gdy czegoś zupełnie nie mógł zrozumieć) on zaś zawsze odpowiadał w rodzinnym języku swej matki.

Zdziwił mię tedy i rozbroił zupełnie.

— Ma więc serce — myślałem — i rozumiał o co mi chodzi! Nabrałem też nowej otuchy. Ale za parę dni wszystko wróciło znów do dawnego. Stał się napowrót impertynencjom, gniewliwym, czupurnym i ani rusz było namówić go do odzywania się inaczej, jak po francusku.

Chwilowy zapał do konia i fuzyi ustał też w nim nagle, a natomiast rzucił się znów z gorączką do nauki. Ślęczał nad książkami po całych dniach. Zauważyłem, że głównie wpłynął na to jego nowy nauczyciel, francuz, którego mu matka sprowadziła; trzeba bowiem było wyrastającemu chłopakowi dać jakieś wykształcenie, a o posłaniu go do szkół naszych ani można było myśleć, bo i niewieleby z nich skorzystał.

Z owego zwrotu ku nauce byłem rad, ale i to widziałem, że francuz psuje mi szyki, buntuje chłopaka przeciw "polszczyźnie" i przewraca mu w przewróconej już i bez tego głowie. Byłbym go też z ochotą odpędził, ale trudno było o nowego nauczyciela, a zresztą ów nowy mógł być jeszcze gorszy. Natarłem więc tylko uszu panu francuzowi.

Ale samemu zaczęły mi już opadać ręce, zwłaszcza, gdy widział, że stary

Korejko, choć ojciec, przyjmuje to wszystko dość obojętnie, powtarzając ciągle swoje: "Cóż robić!?" — i wzruszając ramionami.

— W domu jest względny spokój, na co mi go zakłócać i dręczyć się!
— myślałem.

Mech się dzieje, co chce... Byłbym też niechybnie zwątpił w możliwość
zrobienia z chłopca Korejków tego, co
zrobić chciałem — i byłbym zniecierpliwił się ostatecznie, gdyby mi
po paru

miesiącach tej męki nie przyszła nowa, niespodziana pomoc, już tym
razem wcale

nie ze strony matki, ani ze strony Jadwisi, lub któregośkolwiek z nas
starszych.

Z pomocą tą pośpieszyła mi teraz moja droga Anuleńka, wyrastająca
na śliczną

dzieweczkę. Ona to, wesoła i figlarna, jak ptaszyna w dzień
słoneczny,

napełniająca dom całym swoim milutkim szczebiotem, dokonała — Bóg
sam jeden wie

jak — tego, czego bym może ja nigdy nie był w stanie dokonać.

Z początku, jak zwykle dziecko, poczęła przedrzeźniać każdego grymas
wychuchanego

"kuzynka" — tak bowiem dzieciom kazaliśmy się wzajemnie
tytułować, raz ze

względu na istotne jakieś tam dziesiątej wody pokrewieństwo moje z
Korejką, a

właściwie dla zbliżenia obu rodzin ku sobie.

Ludwik za to przedrzeźnianie nie cierpiał też przez długi czas
wesolutkiej

dzieciny. Ale ona śmiała się tylko z tego, i dalej robiła swoje, jak
gdyby

powiedziała sobie: "Zobaczmy, komu się pierwszej sprzykrzy"...

Oto i sprzykrzyło się chłopakowi. Unikał jej, jak ognia, ale i
wystrzegał się

przy niej fochów i dąsów, jakie lubił dawniej okazywać przy byle
jakiej

sposobności. Że zaś obok wszystkichwad swoich był bardzo ambitny,
potrzeba mu więc było koniecznie kogoś z

rówieśników, któremu mógłby czemś zaimponować. A rówieśników
tych właśnie mu

brakło.

Zwracał się przez jakiś czas do młodszej służby dworskiej, ale towarzystwo to prędko go znudziło, zwłaszcza, że nie mógł się z nimi dogadać, a widział, że często śmieją się w kułak z jego wymowy. A w owym czasie zacząłem też i dziecinę moją uczyć konnej jazdy. Ludwikowi w to graj! — jak to mówią. Umiejąc bowiem już teraz wcale dzielnie trzymać się na siodle, zapalił się znowu obecnie do jazdy i wybierał się z nami z ochotą, aby się przed "kuzynką" popisać. I doprawdy, musiałem go wówczas nieraz upominać i wstrzymywać, gdyż bęben szalał formalnie, lekceważąc sobie każde niebezpieczeństwo, byle tylko nie dać się zawstydzić. Ponieważ zaś i Anuleńce nie brakowało śmiałości i była bardzo pojętna, wkrótce więc począłem ich nawet puszczać samych, posyłając tylko za nimi dla bezpieczeństwa Aleksego. Chłopak, mając sposobność podczas tych przejażdżek ambicyę swoją i próżność zadowolnić, wracał zawsze weselszy, mniej pochmurny, jakby zgoła inny. A już radość biła mu z twarzy, gdy dziewczyna, w formie niby skargi, poczęła opowiadać o jego wybrykach podczas drogi, przeskakiwaniu płotów itp. — Niech mu tatuś zakaże tego! — prosiła. Począłem go naturalnie burczeć, a Korejkowa w płacz. Całował nas wtedy wszystkich porękach, a Anuleńce przy obiedzie nadskakiwał aż do przesady; podsuwał jej z wyszukaną grzeczością potrawy, słowem, szalał z radości. Taki bo to już był na pochwały czuły. Ambicya ta jego napędziła nam raz nawet niemałego strachu. Oto wyjechali oboje z

Anuleńką rankiem, jak zwykle, konno i przepadli, jak kamień w wodzie. Na nieszczęście., Aleksy dnia tego za nimi nie pojechał. Czekamy dwie godziny, trzy, cztery — w domu lament — płacz — sądny dzień!... Rozsyłam służbę na wszystkie strony — pędzę wreszcie sam, aż tu od strony drugiego mojego majątku wpada na mnie z gościńca trzech jeźdźców. Oto, bez opowiedzenia, pojechali do starego Korejki dla popisu — i on to z nimi właśnie Wracął. Naturalnie, stary zachwycony był synem. Co? jak? kiedy? kto go tak jeździć nauczył? Nie chciał oczom wierzyć i nie mógł mi się nadziękować, choć, dalipan, teraz już było to wszystko dziełem mojej dziewczyny kochanej. Ta mała despotka, odgadłszy swą siłę, robiła odtąd z dumnym chłopakiem, co chciała. Aniśmy się też spostrzegli, jak ów niesforny Ludwiś codzień więcej po polsku zaczął się odzywać. Naturalnie przekręcał jeszcze często dziwacznie wyrazy, ale się silił i mówił. A przytem, widząc, że Anuleńka uczy się i z matka i z Korejkowa, nie zaniedbywał też i swojej nauki. Nieraz, bywało, wpadł do mnie, jak szalony, pytając o jakąś rzecz z historyi lub czegoś podobnego, czem nawet niemałego mi czasem kłopotu napędził, bo co do mnie, nigdy tam w tych szczegółach bardzo mocen nie był. Chyba, że to dotyczyło naszej historyi, zwłaszcza z ostatnich czasów. Wtedy opowiadał chętnie i umiałem opowiadać, a chłopak słuchał coraz pilniej. Losy mojej żołnierki ogromnie go zainteresowały. Gdy mu zaś zwracał uwagę, że

przecież ojciec jego jeszcze więcej odemnie dokazywał, dziwił się, że
dotąd to
jakoś w ustach jego ojca nie tyle mu się podobało.
Zmieniał się, nie wiedząc o tem... Krew odzywała się...
I oto znowu parę lat przeleciało nad naszym spokojnem gniazdem,
ledwie człowiek,
jak to mówią, miał czas się obrócić.
Niemają też byłem zdziwiony, gdy Anuleńka moja przybiegła do
mnie pewnego dnia,
jakaś bardzo zafrasowana i po długich wstępach poczęła ze mnie
zręcznie wyciągać
odpowiedź na zapytanie: "Czy krewni mogą się z sobą żenić?"
Byłem czemś zajęty bardzo, odpowiedziałem więc obojętnie, że
prawie zawsze, bo
nawet dla bardzo bliskich krewnych można wyrobić dyspensę. —
Ach! drogi, dobry tatuleńku! — zawołała rzucając mi się na szyję i
wybiegła
jak strzała do ogrodu.
Teraz dopiero to mnie uderzyło.
Przyjrzałem się tedy uważniej przy obiedzie dwojgu młodym, których
dotąd jako
dzieci przywykliśmy traktować.
Chłopak śliczny, rozrośnięty, dobiegał dwudziestki, ale przez powagę
swoją i
jakaś zadumę, która mu nieprzerwanie u czoła wisiała, wydawał się
daleko
starszy. Dziewczątka moje drogie, istna różyczka, krew z mlekiem,
piętnaście lat
właśnie kończyła. Bawili się jeszcze jak dzieci, ale spoglądali już na
siebie
zgoła inaczej...
Zaraz też dnia tego wieczorem zwierzyłem się z mego odkrycia
Jadwisi, a
przybrawszy do pomocy Korejkową i obie ciotki (które się zresztą
same
nastęrczyły, jak zawsze) zrobiliśmy formalną naradę.
Pokazało się, że tylko ja byłem dotąd ślepy i zarówno Jadwisi, jak i
Korejkowej,

nie powiedziałem nic nowego. Obie matki już od dłuższego czasu
oczu z dzieci nie
spuszczały, nie chciały mnie jednak niepokoić. Korejkową poczęła
mię nawet ze
łzami przeproszać i oświadczyła chęć wyjazdu i zabrania syna jak
najdalej z tych
miejsc, choćby zaraz, jeśli rozkażę.
Naturalnie uśmiełem się z tego i uspokoiłem biedne kobiecisko. —
Gorszy byłem, dalipan! gdym zwrócił oczy na ten mój skarb! —
mówiłem,
wskazując na żonę. — Sto razy gorszy od Ludwika! Znalazł się
jednak człowiek
zacny — jej nieboszczyk ojciec — który ze mnie zrobił oto
porządne go człowieka!
Niech się więc dzieje wola Boża!... Cicho! sza! Uważać na nich, a
jeśli się
pokochają naprawdę, wtedy potrafimy z Anuleńką zrobić z Ludwika,
co będziemy
sami chcieli.
Kobiety popłakały się z radości i szczęścia, wynosząc pod niebiosa
mój rozum i
"anielską dobroć" — ja jednak czułem, że tylko wypłacam dług,
zaciągnięty
względem nieboszczyka pana Konstantego.
Narada była zrobiona w cichości i byłaby tajemnica się utrzymała,
gdyby nie sam
stary Korejko, którego o tem zawiadomiono i również gdyby nie obie
ciotki.
Korejko wygadał rzecz całą przed synem, zaś ciotki przed Anuleńką i
oto pewnego
dnia, gdyśmy właśnie mieli siadać do stołu, uszczęśliwione dzieci
padły nam do
nóg z płaczem...
W pierwszej chwili chcieliśmy udać, że o niczem nie wiemy i
wyprzeć się
wszystkiego. Na nic się to jednak nie zdało, gdyż dzieci powołały się
na

świadczenie ciotek. Ostatecznie też skończyło się na tem, żeśmy i Ludwika i

Anulkę uściskali wśród ogólnego rozczulenia i obiecali im wyprawić sute

zaręczyny, odkładając jednak wesele na lat parę i stawiając mnóstwowarunków, z pomiędzy których najgłówniejszy: dobre sprawowanie się Ludwika.

— Musisz być przedewszystkiem polakiem! — mówiłem do niego — inaczej od

Anuleńki za się!

— On już jest polakiem — wołała dziewczyna — on już prawie zapomniał po

francusku, bo my zawsze tylko po polsku z sobą rozmawiamy!

— O! to nie dosyć! — odpowiedziałem. — Nie ty jedna, ale wszyscy naokół muszą

mu to przyznać. Wtedy dopiero zobaczymy!.. Przytem, musi się dobrze wyuczyć

gospodarki, inaczej także nic nie będzie z tych wszystkich projektów.

Uszczęśliwiony chłopak zgadzał się na wszystko, wszystko obiecywał. Istotnie

też, z właściwą jego naturom gorączką, zabrał się pilnie do nauki, którą ja

rozpocząłem zupełnie według pamiętnych mi wzorów nieboszczyka ojca Jadwisi.

Cała historia powtórzyła się więc znowu jota w jotę! A przecież, ileż to w tem

powtórzeniu było odmiany!...

Wszelkie informacye wsiąkały w niego, jak w gąbkę. Nie było dnia, w którymbym go

nie mógł być pochwalić, chyba, że zapomniał lub umyślnie pochwalić nie

chciałem. A chłopak nie miał widocznie przed dzieciną moją żadnych tajemnic i

spowiadał się jej ze wszystkiego. Zwycie bowiem, w razie takiego zapomnienia z

mej strony, zjawiała się u mnie wieczorem za-frasowana Anulka, chcąc mnie wybadać lub gwałtem wymódz ową pochwałę dla

Ludwika.

— Tatulku — pytała pewnego razu nieśmiało. — Ludwisiowi pewnie ciężko idzie nauka?

— A tak, dosyć ciężko! — odpowiedziałem umyślnie, chcąc ją podrażnić.

— Ale ty, tatulku, nie zrażasz się tem, nieprawdaż? — ciągnęła dalej.

— Ha! cóż robić, moje dziecko! Biedzę się z nim, jak mogę!

— Widzisz, mój tatuleńku! — poczęła tłumaczyć — przecież początek zawsze

trudny... Sam to mówiłeś nieraz... A nie każdy znów może być taki zdolny, jak ty

tatulku. Ludwiś chciałby zawsze cię zadowolnić, a że mu się to czasem nie uda,

to cóż on biedny winien?...

— A! winien, winien, moje dziecko! — odpowiedziałem. — Gdyby był pilniejszy....

gdyby więcej cię kochał... kto wie... możeby mu tam łatwiej szło to wszystko...

Pobladła jak płótno, pocałowała mię w rękę zimnemi usteczkami i nic nie

odrzekłszy, odeszła powoli, smutna, ze zwieszoną główką.

Domyślałem się, że pośpieszy z tą relacya do Ludwika, wysunąłem się więc za nią

cichutko, na palcach.

Zmrok wieczorny zapadał. Na ganku, przed domem, siedział chłopak, zmęczony

całodziennem harcowaniem po polu, były to bowiem właśnie żniwa, a nauganiał się

przy tem więcej odemnie. — I cóż? — zapytał, gdy Anulka zbliżyła się i usiadła przy nim.

— Nic złego tatuś nie powiedział — zaczęła, wymijająco.

— Ale nie pochwalił?

— Był bardzo zajęty... Nie pytałam go szczegółowo...

— Oli! to już źle, to już bardzo źle! — lamentował chłopak. — Jeśli kiedy, to

dziś właśnie powinien mię by] pochwalić... Przysięgam ci, że robił wszystko,

com mógł... Kości nie czuję... ruszać się nie mogę... Oh, nieszczęście!

nieszczęście!

— No, Ludwisiu! — prosiła dziewczyna — nie ma znów o co rozpaczać... Jutro znowu lepiej ci się uda...

I poczęli się wzajemnie pocieszać i radzić, czem-by mnie ująć, czem przebłagać

za dzisiejszy dzień, w którym Ludwiś nie zasłużył na pochwałę.

— Wiem, co zrobię! — mówił wreszcie chłopak. — Mam rachunki, które dopiero na sobotę miałem wykończyć. Siądę zaraz... będę robił całą noc i oddani ojcu jutro

rano... Przecież to go chyłą przekona, że pilny...

— Ale tyś już taki zmęczony...

— To nic! Idę zaraz!

— Ja ci pomogę!

— Dobrze! Chodźmy! Podniósł się z trudnością, i nawet zatoczył się ze zmęczenia, jak pijany.

Ale i ja teraz wysunąłem się z za drzwi, za którymi słuchałem tej całej rozmowy.

— Małe waryaty! — zawołałem, przytulając ich oboje. — Ja umyślnie tak mówiłem,

aby was pomartwić trochę! Ludwik wyśmienicie się dziś sprawował!

Nie można

lepiej! A że gonie chwaliłem, to dlatego, aby nie psuć pochwałą! I

teraz psuć go

muszę przez ciebie, ty, mała opiekunko!

Poczęli mię całować po rękach, zdumieni, oszołomieni niespodzianem szczęściem.

A ja, strojąc poważną minę, wołałem:

— No, a teraz nie do żadnych rachunków, tylko do spania... do spania! Na jutro

zapowiada się pogoda... Trzeba będzie tak jak dziś popracować... No, pożegnajcie

się i spać!

Ale teraz mała psotnica poczęła protestować.

— O! niedobry tatułku! — wołała. — Pozwoliłeś nam smucić się i martwić, a teraz

ucieszyć się nie dasz!... Mybyśmy teraz już całą noc chętnie nie spali...

Księżyc tak pięknie wschodzi... Pójdziemy na spacer, nad staw...
pozwalasz
tatulku?

I zanim odpowiedziałem cokolwiek, zerwali się, niby spłoszona para
kuropatew, i

trzymając się za ręce, zniknęli mi z oczu w głębi ogrodu.

Naturalnie opowiedziałem to wszystko Ja-dwisi i Korejkowej.

Wkrótce też potem, ja i obie kobiety, patrzyliśmy z
otwartego okna na tych dwoje młodych, jak wsiadali właśnie w łódź i
wypływali na

staw, oświecony pełnia księżyc.

Oto młodość!... Chłopak, który upadał przed chwilą ze znużenia i
mówił, że

ruszać się nie może, wiosłował teraz zawzięcie i ani można go było
odwołać.

A co się to tam biedactwo naszczebiotało! Wśród cichej nocy letniej
aż do pokoju

dochodził nas rozhovor ich głosów, mącony czasami mocniejszym
pluśnięciem

wiosła...

O tak! młodość cuda czynić umie!

I znowu dwie wiosny przeleciały nad naszym gniazdem. I zdawało się,
że życie

przejdzie nam spokojnie, cicho, wśród szczęścia dzieci, na które
będziemy

patrzeć długo — długo, póki śmierć nie przyjdzie nam zamknąć
nasyconych oczu i

póki usta nasze chętnie same nie powiedzą: dosyć!...

Prócz zgonu jednej z moich ciotek, oraz śmierci starego Rafała i
opustoszenia

"sąsiedzkiego zajazdu", który dostał się zacnemu sąsiadowi

Narkiewiczowi — nic z

owych lat pamięć moja nie zapisała.

Tymczasem z po za domu coraz dziwniejsze jakieś poczęły
nadlatywać wieści, niby

złowróźbne ptactwo... Wichrzyło się coś znowu i psuło na nowo i
nowe zapowiadało
ofiary...

Ja i stary Korejko odczuliśmy pierwsi tewieści i ocenili je należycie.
Mając po za sobą ciężkie doświadczenie, nie
mogliśmy nowemu przedsięwzięciu wróżyć powodzenia, choć też i
nie życzyć mu go
nie mogliśmy. Nie traciliśmy jednak nadziei, że ta nowa burza
przejdzie, zażegna
się jakoś...

A tu tymczasem, po pierwszych błyskawicach, coraz wyraźniejsze
poczęły się
odzywać grzmoty, a w odgłosie ich smutnym, rozpaczliwym — Boże!
ty wiesz
najlepiej! — już od początku jakoś nie było żadnej nadziei, żadnej
otuchy w
lepszą przyszłość, ale raczej napawały one instynktową obawą o to,
aby gorzej
jeszcze być nie chciało...

Wreszcie zbierająca się burza rozlała się szerokim strumieniem —
klamka zapadła
— stało się!

Już na pierwszy odgłos onych grzmotów, Ludwik ciekawie nadstawiał
uszu na
wszystkie strony. Bywało nawet, że gdy dłuższy czas nie mieliśmy
żadnych pewnych
wieści, nie mógł usiedzieć na miejscu, rzucał wszystko i wymykał się
to do
miasteczka, to do sąsiedzkich dworów dla zasiągnięcia języka.

Powracał zawsze z
każdej takiej wycieczki coraz bardziej chmurny, niespokojny i
rozgorączkowany.

Wrzało w nim wszystko, kłębiło się i gotowało... Rwał się do czynu,
jak świeży
koń stepowy, który nie mógł dotąd zażyć biegu i zaczerpnąć pełnemi
chrapami
powietrza... Widziałem, że teraz już dziecina moja i jej miłość nie
wystarcza mu, co gorsza:

zawadza i jakby kamieniem ciężyc zaczyna.

Napomknąłem mu umyślnie o zbliżającym się terminie ślubu z Anuleńką.

— Trzeba już zacząć przygotowania — mówiłem.

Uśmiechnął się boleśnie, spojrział mi smutno w oczy i szepnął tylko:

— Ej, nie czas....

Ile też razy śliczna dziecina moja zbliżyła się do niego, jak dawniej cichutka i

słodka, nie błyszczały mu już oczy i nie zapalały się w nich płomienie, lecz

owszem ze śniadej a pięknej twarzy przeświecał żal jakiś i smutek.

Odsuwał ją od

siebie łagodnie, niby dziecko, przed którym nie chciał się spowiadać i biegł

znowu w sąsiedztwo, do zacnych Stobnickich, gdzie było dwóch takich jak on

zapaleńców, a trzeci siedział w Warszawie, z kądem też najświeższe tym sposobem

posiadano wieści...

Boże wiekuisty! Pierwszy przeczułem co to znaczy i na czym się skończy —

pierwszy, ale nie sam jeden. Bo oto i moja biedna dziecina, dręczona przecuciem, poczęła się tulić do mnie coraz smutniejsza, a ja nie mogłem dla

niej znaleźć żadnego słowa pociechy i uspokojenia, bo tego i we mnie nie było...

Nadszedł nareszcie dzień, w którym chłopak wpadł do domu, niby płomień, gorejący

cały. Odetchnął ciężko, obejrzał się dokoła i rzucił mi zcicha tylko jedno krótkie

zdanie:

— Idziemy także!

Byłem na to przygotowany. Nie rzekłem więc nic — nic zgoła.

Spojrziałem tylko na

tę twarz pełną ognia, tak niepodobną do dawnego Ludwisia i zapytałem z

rezygnacją:

— Kiedy?

— Jutro wieczorem...

Oh! ta noc okropna! ten jeden dzień nazajutrz — wreszcie ten wieczór pożegnania

— ileż one łez ten stary, cichy dom kosztowały!...

Obawiając się rozpaczy swej matki, chciał Ludwik wyjechać cichaczem, nic

kobietom nie mówiąc. Nie pozwoliłem jednak na to. Sam zawiadomiłem Jadwisię i

Anulkę. Powiedziałem im tylko: "Stało się!" ... Zrozumiały... Nakoniec wyprawiłem

konnego posłańca po starego Korejkę, trzeba bowiem było i matkę Ludwika

przygotować, a tego już sam podjąć się nie chciałem.

Byłem prawie pewny, że stary Korejko nie zniesie tego ciosu mężnie; spodziewałem

się nawet — Boże święty! — że wyrwie się, przynajmniej w pierwszej chwili, z

protestem jakim, który nic nie pomoże, a tylko rozrani nam serca.

Pokazało się

jednak, że dotąd jeszcze nie znał dobrze tego starego żubra.

Podumał, pomyślał, pobłądził chwilę wzrokiem gdzieś w przestrzeni — i wreszcie

rzekł: — Ha! taki los! stało się! Myśmy robili, co mogli... Na nich kolej!..

Tylko zawiadomienia żony podjąć się nie chciał.

— Idźcie wy! Ja nie mogę, nie mam siły! — mówił.

Poszliśmy więc Obadwaj z Ludwikiem, a przyłączyły się do nas także: Jadwisia,

Anuleńka i pozostała przy życiu staruszka ciotka.

Korejkowa długo nie mogła nas zrozumieć. Nie pojmowała i tego, o co idzie, i

tego, jakim cudem młode ptaszę, które ona wypiastrowała, mogłoby się zmienić w

orła, rozpościerającego skrzydła, i zrywającego się do szerokiego lotu...

Nieboga, była niby owa kokosz, co wywiódłszy kaczęta, staje zdumiona, widząc je,

gdy puszczają się na jezioro...

Zrozumiawszy wreszcie, zachwiała się i padła zemdlona. Ułożono ją na łóżku,

nieprzytomną, gdzie też noc całą przemajaczyła w gorączce...

A była to noc długa — ciężka — poważna, niby noc sądu ostatecznego.

Cały dom zdawał się napełniony jakimś świętem namaszczeniem.

Wszystkie pokoje poroztwierane, pooświetlane, służba kręci się około przygotowań; ja, stary Korejko i Ludwik wiemy żywą, choć półgłosną dysputę;

żona moja kochana i biedna dziecina modlą się i płaczą naprzemian

zcicha; ciot-ka czuwa nad zasypiającą i majaczącą przez sen

Korejkową; zegary wydzwanają

powoli godzinę po godzinie — we wszystkim zaś tkwi taka powaga, jak gdyby to

już duchy, a nie ludzie, dom ten zamieszkiwali...

Oto jak mi się ta noc zapisała w pamięci.

A potem jeszcze parę godzin krótkiego dnia lutowego — obiad, którego nikt nie

tknął — długa, cicha i łzawa rozmowa dwojga młodych, ujętych w czystym i świętym

uścisku — wreszcie parę krzyżyków zakreślonych w powietrzu — łez trochę — i

wszystko skończone...

Zdawało nam się też później długo jeszcze, że ta noc, ten dzień i ten wieczór

pożegnania, były tylko snem jakimś, snem ciężkim, przykrym, ale niczem więcej.

Nie! niepodobna, aby tych parę godzin mogły nam być zabrać tego chłopca, i to

zabrać tam, z kąd potrzeba było wrócić tryumfATOREM, albo i nie wracać wcale, a

przynajmniej nie tak prędko. Przypominałem też sobie moje niegdyś podobne

wyjście przed trzydziestu laty. A chociaż co do mnie, nie jedna doba, ale jedna

godzina zadecydowała o wszystkim, zdawało mi się przecież, że ja wybierałem się

wówczas lata całe!... Taka to już ludzka natura, że uwierzyć w złe trudno...

I teraz dopiero zaczęły się dla mnie ciężkie czasy!

Tak... Nie przyniosła mi ich moja własna żołądź, nie przyniosła dziesięcioletnia tułaczka na obczyźnie, nie przyniosła żadna z późniejszych chwil życia — ale przyszły na mnie teraz dopiero, gdym

musiał patrzeć na tę całą żałobę: na tęskniącą moją dziecinę, na niepokój

Jadwisi, na niemy ból matki Ludwika — ból, graniczący z jakimś oszołomieniem,

jakby przytępieniem niektórych zmysłów, i wreszcie na cichą rezygnację starego

Korejki.

Cały dom mi opustoszał; wszystkie kąty i ściany zdawały się rozszerzać coraz

więcej i coraz większą czynić pustkę, której niczem, niczem, nie można było

zapęścić, nawet tą naszą żałobą.

Nie skarżyliśmy się zresztą jedno przed drugim i nigdy nie skarżyli głośno. W

całym tym bolu i sieroctwie naszym była jakaś straszna cichość, jakiś spokój —

świętość prawie... Rzekłbyś: unikaliśmy się wzajemnie, schodziliśmy sobie z

drogi, wymijaliśmy się i tylko z oczu płynął nam jeden wielki żal do samego Boga

i — na Niego samego.

A jeśli kiedy przyszło do wspólnej rozmowy między nami — a czasami, w obec

świeżych wieści, być to musiało — wówczas każde ociągało się z wymówieniem

imienia tego, który nasz dom tak zrujnował i osierocił. Gdy zaś imię to

ktokolwiek niebacznie wymówił, wtedy kończyło się znowu na cichych łzach i na

rozpierzchnięciu się naszym na nowo, po kątach, z osobna, bez słowa otuchy lub nadziei, której nikt nie mógł żywić, bo nie było jej w

nadlatujących, nowinach.

Oh! te nowiny!... Ta myśl straszna, wracająca codzień, odzywająca się co chwilę,

jak puszczyk: "Może już po wszystkim!"... Po wszystkim, nie z Nią, bo jej

dziesięć — sto — tysiąc takich burz nie zmoże, ale z nim — z naszym Ludwikiem!... Może już od dnia dzisiejszego, od tej właśnie chwili, nie należy

modlić się za niego: "Panie, ocal!" — ale: "Panie, daj wieczne odpocznienie!" ...

Nie wiedzieć nawet tego, jakich słów do modlitwy używać — czyż mogą być większe tortury?...

"Wreszcie wszystko poczęło się kończyć — a kończyć, och, wiecie jak!!..."

Ten lub ów wyszedł cało i wy dostał się w bezpieczne miejsce — o niejednym

dowiadaliśmy się, że już nigdy wrócić nie może, o innych znów, że powędrowali

lub mają powędrować daleko, daleko...

Tylko o nim jednym — tylko o Ludwiku — nie mogliśmy się dowiedzieć nic — nic

zgoła!...

Jedna krótka wiadomość, choćby nawet trochę nie dobra, byle tylko nie taka,

która każe się modlić o światłość wiekuistą — mogła nam być dom cały — pusty

teraz — napełnić i ożywić na nowo!

Codzień powtarzaliśmy sobie: "No, już teraz wkrótce dowiemy się ostatecznej

prawdy! — takczy owak, musimy się dowiedzieć"... I dnie schodziły nam wśród tej strasznej

trwogi oczekiwania daremnego...

Wszyscyśmy się pozmieniali teraz do niepoznania. Korejko sposepniał i zdziwaczał

do reszty. Dopóki chodził około gospodarki, było jeszcze pół biedy, ale gdy po

roboty usiadł gdzie w kącie — rzekłbyś: głaz — bez duszy.

Korejkowa liczyła

dnie od wyjazdu syna i powtarzała ciągle: "Teraz wojna skończona — teraz wróci.

" Czasami jednak liczenie to uprzykrzało się jej i wówczas płakała, posądzając

Ludwika o opieszałość.

— Niedobre dziecko! — mówiła — nie spieszno mu do matki...

Może jednak największy niepokój trawił mnie i Jadwisię. Nie

spuszczaliśmy oka z

ukochanej naszej Anuleńki, która nie płakała i nie narzekała, prawie nawet nie

odzywała się wcale. Ogrom cierpienia i jakieś tajemne przeczucie nieszczęścia

zamknęło jej usta i serce — odebrało wzrok i słuch — sączyło z niej życie i siły

po kropli!...

Zeszczuplała — śliczne habrowe oczęta zrobiły się jej jakieś bardzo wielkie i

jakby szklanne, a cała, rzekłbyś, przez te parę miesięcy urosła, ale urosła tak

jakoś dziwnie, że patrzącemu na nią, płakać się chciało. Kiedy też przesuwiała mi

się przed oczyma taka cicha a smutna i wielka, tom drżał z obawy, wyglądając: rychło-li ten kwiatusek zachwieje się, opuści główkę i padnie bez jęku —

złamany...

Nie było sprawy, któraby ją mogła ożywić, zainteresować.

— Anulku, zagraj co — mówiliśmy do niej. — Dawniej, często po parę godzin nie

zdejmowałaś rączką z klawiszów...

— Teraz nie mogę... nie mogę! — odpowiadała cichutko.

— Możebyś przeszła się trochę... Siedzisz tak po całych dniach bez ruchu.

Możebyśmy gdzie wyjechali? — mówiłem.

— Nie mam sił... Mnie tu zresztą tak dobrze... zupełnie dobrze!

— Przywieziono nowe książki. Leżą już tyle tygodni nietknięte... Ja już oczy

mam słabe... Możebyś mi co przeczytała, kochaneczko?...

— Jeżeli tatuś każe...

— Nie, nie! Ja nie rozkazuję... proszę tylko... Widzisz, to i ciebie rozerwie trochę...

— Jeżeli dla mnie... o! to mi już nie każ czytać, tatulku! Ja nie wiem czemu,

ale nie mogę myśli zebrać przy czytaniu, nie mogę!

I wymykała mi się po każdej takiej zaczepce do swego pokoiku, gdzie nawet już

nie miałem odwagi pójść za nią — bo i po co? Cóż jej mogłem powiedzieć — czem

pocieszyć — ja, ojciec?... Byłbym chętnie wtedy zakopał się w ziemię, uciekł

gdzieś na koniec świata, byle nie patrząc na wszystko, na com patrzeć teraz codziennie, co chwilę, musiał.

Korejkowa, niecierpliwą się i oskarżając świat cały o obojętność, odezwała się

raz, czemu to nie znajdzie się ktoś litościwy, coby pojechał do Warszawy, a

choćby i dalej, rozpytał ludzi i przywiózł nareszcie Ludwika.

— Pewnie biedne dziecko nie ma za co powrócić i czeka okazji! — mówiła.

Było to naturalnie rozumowanie prawdziwie kobiece, matczyne.

Uchwyciłem się jednak tej szalonej myśli.

— Pojadę! — zawołałem — rozpytam ludzi! Kobiety rzuciły się ku mnie

uszcześliwione;

nawet Anuleńka ożywiła się cokolwiek i oczęta jej zabłysły iskrami nadziei.

— Och! czemużemy na tę prostą myśl już dawniej nie wpadli! — powtarzano.

Zdawało się biednym niewiastom, że teraz już powrót Ludwika nie będzie zależeć

ani od Stwórcy Przedwiecznego, ani od ludzi, lecz odemnie i od niego samego!

Wyładowałem torbę podróżną papierami i złotem — złotem prawdziwym, które

pozostało mi jeszcze z posagu mojej Jadwisi i miało znów dostać się
w posagu

Anulce, Z takim przewodnikiem mogłem być znacznie
bezpieczniejszy. Zresztą

rozpacz dodawała mi śmiałości. W tydzień też później znajdowałem
się już w

Warszawie. Com tam przeszedł — ile nieraz doznałem upoko-rzeń —
z jaką trwogą okrutną stawiałem niejedno pytanie, obawiając się, że
usłyszę beznadziejną odpowiedź — któż to pojąć zdoła?...

Zaciskałem jednak zęby, zmuszałem usta do kłamstw i wykrętów,
sypałem złoto

przed sobą i za sobą i oto — po dwóch miesiącach nadludzkich
wysileń — trafiłem

do celu.

Ludwik żył i znajdował się w drodze na Wschód daleki.

Wskazano mi szpital, leżący już prawie w połowie onej drogi; tam
biedne dziecko

zahaczyło się, nie mając sił do dalszego pochodu.

Po przybyciu na miejsce, musiałem przedsięwziąć nowe starania,
nowe wysiłki, aż

nakoniec wprowadzony zostałem do ciemnej i dusznej izby, w której
na jednym z

tapczanów ujrzałem dyszący jeszcze, obciągnięty zieloną skórą,
szkielet dawnego

Ludwisia. Gdyby mi nie powiedziano, że to on, nie byłbym go nigdy
poznał — tak

był zmieniony. Spał właśnie snem ciężkim, a niespokojnym.

— No, on już nie pójdzie dalej! — przemówił lekarz miejscowy,
widząc mnie

stojącego bez ruchu nad śpiącym.

— Dla czego? — zapytałem w roztargnieniu.

— Bo umrze! — brzmiała odpowiedź.

Po krótkiej chwili śpiący przebudził się. Teraz dopiero zobaczyłem, że
rany,

jakie miał na głowie i szyi, pootwierały mu się, a płuca z trudnością
już tylko

chwytały powietrze, wy-rzucając w zamian, co parę chwil, kawałki
spieczonej i zaskrzepłej krwi...

— Pić! — zawołał słabym głosem, a przyzwyczajony widocznie do tego, że go nie rozumiano, wskazywał ręką na gardło i usta.

Podąłem mu blaszany kubek z wodą.

Napiwszy się, począł dopiero wpatrywać się we mnie. Oczy jego powoli ożywiały

się, rozszerzały, a na twarzy odbiło się zdziwienie i niedowierzenie.

— Ludwiku! — zawołałem.

Wtedy na w pół otwartych ustach nieszczęśliwego zjawił się uśmiech, a z piersi

wydarło się ciężkie westchnienie.

Wyciągnął ku mnie w milczeniu obie straszne, suche ręce. Chwyciłem je i

zapłakałem, tak jak nigdy przedtem i jak już nigdy później nie płakałem.

— Znaleźliście mnie przecie! — szeptał z wysiłkiem. — Ach, jak to dobrze.

Myślałem, że już wszyscy o mnie zapomnieli... Cóż mama? Anulka? Ojciec?... Co

robią?... chcę wiedzieć wszystko... wszystko!...

Zaspokoilem ciekawość biedaka..

— Oczekują mnie! — mówił. — Ach! to dobrze. Teraz chciałbym jeszcze żyć... Może

też jeszcze się wyleczę... Jak pan myśli?... Jestem przecie młody i silny...

Kaszel nie dał mu więcej mówić. Schwycił się za piersi i wykrzywił usta

boleśnie. — Żle! — wyszeptał. — Żle!... Trzeba umrzeć!.. Oni będą płakać po mnie...

prawda? Bo przecież ja nie byłem bardzo złym...

Zmęczony, oddychał ciężko i ścisnął kurczowo moją rękę w swych wychudłych,

wilgotnych palcach.

Po chwili począł znowu:

— Tam u nas pewnie się już zieleni wszystko... Mama, Anulka i nasza pani

Jadwiga biegają po ogrodzie... wyglądają mnie z ganku... prawda?... A ja nie

wracam... i może nie wrócę... Żeby choć tam umrzeć... Patrzyłbym z grobu na

nich... Pochowajcie mnie tam... zawieźcie... dobrze?

Przyrzekłem, chcąc go uspokoić, ale on sam począł po chwili powątpiewać o tem.

— Nie pozwolą... wiem... napróżno!... Ale może chociaż przyjedziecie tu kiedy na mój grób? Tak mi tu będzie źle samemu... A czy daleko ztąd do domu, tam... do nas?...

— Nie bardzo daleko — odrzekłem.

— A szliśmy tu tak długo... przeziębilem się... w domu wyzdrowiałbym prędko,

przy mamie, przy Anulce... Biedna Anulka!...

Takie rozmowy wiodłem z nim przez tydzień cały — tydzień konania i męki.

Dzięki mojemu złotu, miał teraz więcej nieco wygody. Słabnął jednak z każdą

chwilą, coraz bardziej.

Po paru dniach nie mógł już ręki ku mniewyciągnąć. Począł majaczyć.

Rozmawiał z matką swoją poważnie, to znów pieścił

się i żartował z Anulką. Obiecywał jej, że będzie dobrym mężem — zupełnie "jak

twój tatuś"... Układał dalekie plany całego żywota...

W przeddzień zgonu przytomność wróciła.

— Umrę!... wiem! — mówił. — Myślałem nad tem całą noc...

Trzeba, aby mama i

Anulka nic o tem nie wiedziały... Trzeba powiedzieć, że żyję, ale wrócę dopiero

później... Będą czekać spokojnie... Przywykną do tego, że mnie nie ma w domu...

I gdy się dowiedzą o tem kiedyś... później... nie będą już płakać i żałować...

Napiszę list i uwierzą... Papieru! prędko!

I pomimo wszelkich moich próśb i protestacją począł pisać list, w którym

uspakajał matkę, Anulkę i ojca, donosząc, że trochę słaby i że wróci, jak tylko

cokolwiek wyzdrowieje.

Parę razy przerywał tę okrutną robotę i upadał bezwładny, poczem jednak znowu

dalej rozpoczął pisanie.

Patrzyłem na to wszystko jakby nieprzytomny.

"Wieczorem, po napisaniu listu tego, uspokoił, się znacznie.

— Czuję się zdrowszym — mówił. — Kto wie, może jeszcze ten list nie będzie

potrzebny... Znacznie mi lepiej... Może jeszcze wyzdrowieję... Będę teraz

spać!... Do widzenia... A proszę przyjść jutro wczas... jak najwcześniej... Gdym nazajutrz, dręczony niepokojem, przyszedł istotnie wcześniej niż zwykle,

pokazano mi pusty tapczan i trupa w kostnicy.

Czarna trumna, niezgrabnie z paru desek sklecona, drogo mnie kosztowała... Paru

stróżów, grabarz i ja, składaliśmy orszak pogrzebowy.

Należało mi teraz zabrać się do powrotu. Ale złoto, z pomocą którego przewyciężałem dotąd dosyć szczęśliwie wszelkie przeszkody, wyczerpało się.

Przyszli też i nowi ludzie, których nie miałem czem opłacić.

Skończyło się na

tem, że i sam wtarabanił się w biedę. Poczęto wodzić mię od Annasza do

Kajfasza; szczęściem, że wśród tych peregrynacyj posuwałem się przynajmniej,

choć powoli, w stronę ku domowi, a nie w przeciwną. Wreszcie w dawnej stolicy

trafiłem na znajomego kupca, żyda, który ulitował się nademną i bez żadnych

nawet rewersów wygodził mi znaczną sumą. To wyciągnęło mię ostatecznie z biedy.

Począłem dążyć znowu ku swoim. A nie oglądałem ich od kilku miesięcy i nie

miałem od nich żadnej wieści...

Wszystko, com przyszedł w tej wyprawie i na com patrzył, tak mię przygniotło i

obezwładniło, żem sobie nawet nie zdawał sprawy z tego, co uczynię
w domu za

powrotem — co powiem, gdy pytać mię będą: gdzie Ludwik?...

Szedłem, aby iść...

Byłem zresztą pewny, że teraz już coraz więcej pod memi nogami
będzie się rozpadać ziemia i będą się otwierać
mogły, aż wreszcie otworzy się jedna i dla mnie.

— Niech przyjdzie takie ryczałtowe zatracenie — myślałem — niech
mnie i moich

bliskich pozmiata owa burza z ziemi, byle nie żyć, nie czekać, byle
śmierć

przyszła prędko, jak najprędzej!

Pędziłem więc ku domowi z jakąś dziką radością, z jakimś

rozpaczliwym

pośpiechem.

Ale gdym począł zbliżać się ku ukochanemu gniazdu, rezygnacya owa
i obojętność

ustąpiły miejsca niepokoju i trosce.

— Co tam zastanę?...

Ta myśl torturowała mię przez ostatnich kilka godzin.

Wracając najętą furmanką, zatrzymałem konie tam nad rzeką, około
młyna, i sam

już, pieszo, podążyłem ku dworowi.

Był to wieczór majowy, ciemny, bez księżyca. Obszedłem

zabudowania cichaczem i z

trwogą spojrzałem na ten dom stary. W obydwu oknach od pokojów
kobiecych płonęły

światła. Wydały mi się one jakimś blaskiem z niebios, zwiastowały
bowiem, że

tam, wewnątrz, drga jeszcze życie, że jeszcze nie ma pustki, na myśl o
której

drżałem. Serce poczęło mi też uderzać tak głośno, że zdawało mi się,
iż każde z

onych uderzeń słyszę.

Pierwsze powitały mię moje dwa stare psi-ska. Przypadły mi do nóg i
rzuciły się na piersi bez głośnego szczekania i

hałasu, tylko z takim jakimś żalosnym skomleniem, jakby wiedziały
z kąd wracam

i co przynoszę.

Dopiero przy zbliżeniu się pod sam dom poczęły ujadać weselej.

Zjawił się też

wkrótce w sieni Filip, a w ślad za nim i żona moja kochana, jak sama mówiła,

przezuciem wiedziona.

Z kilku zamienionych cichaczem, na prędcę, wyrazów, poznałem, iż złe wieści

wyprzedziły mnie.

— Anulka? — zapytałem.

— Słaba trochę...

— Co jej jest?

— Wie o wszystkim...

Wtedy, w obec śmiertelnej trwogi o życie jedynej mej dzieciny, przeleciała mi

piorunem po głowie myśl umierającego męczennika.

— Ale to fałsz! fałsz! — zawołałem — Ludwik, żyje! żyje! — i ze słowami temi

wpadłem do pokoju.

Rzucono się ku mnie z krzykiem i płaczem. Przez chwilę, tylko jeszcze

spoglądano na mnie z niedowierzaniem, jakby na kogoś, co z krainy duchów wieści

przynosi. A potem nagle w całym domu rozbrzmiał jeden radosny chór:

— Żyje! żyje! Ludwik żyje!

Zbiegli się wszyscy — służba, czeladź, kto żyw. Chłopak stajenny, nie pytając o

rozkaz, popędził po starego Korejkę. Padano sobie wzajemnie w ramiona, ściskano się,

całowano; to znów klękano i modlono się wśród łez, wśród szumu i gwaru, z pośród

którego przebijał się ciągle ów krzyk: "żyje!... żyje!"...

Teraz dopiero przeląknęłam się sam tego, com uczynił. Nie byłoż to bowiem tyle, co

brać na swoje barki spokój i życie tych istot, i chcieć być mędrszym od Boga

samego, który zsyłając ten cios, wydał już wyrok swój niecofniony,
nieodmienny?

A jeśli Bóg litościwy dałby był zarazem tym ukochanym istotom siły
do zniesienia

tego ciosu, a ja teraz, Jego dzieło naprawiając, popsuję?...

Te myśli opanowały mię i przerażały tem więcej, im większą radość
wywoływały

moje zapewnienia...

Zdawało mi się też nieraz, że jestem między obłąkanymi, którzy
tańczą około

przewijającego się wśród nich trupiego szkieletu, a szkielet ten
przybiera

postać Ludwika i lada chwila może zawołać: "oszukano was!"... To
znów, gdy

padano na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem, drżałem, aby
Chrystus ten, do

którego zanoszono dziękczynne modły, nie zawołał z krzyża swego na
mnie:

"Skłamałeś!.."

Ale stało się... nie można już było cofać się... postanowiłem więc
oszukiwać

dalej wszystkich, bez wyjątku.

List, pisany zamierającą ręką męczennika, utwierdził wszystkich w
nieszczęsnem złudzeniu — do reszty! Wyrywano go sobie —

odczytywano po niezliczone razy, obsypywano pocałunkami. Jeśli był
w rękach

Korejkowej — Anulka nie opuszczała jej ani na chwilę; jeśli w rękach
Anulki —

Korejkowa chodziła za nią krok w krok.

Cały ten wieczór i później całe tygodnie, musiałem odpowiadać na
najrozmaitsze

zapytania, ratując i podpierając jedno kłamstwo drugim, większem
jeszcze.

Powiedziałem, że chorował: że sprawa jego stoi obecnie jak najlepiej,
bo umiał

się wytłómaczyć ze wszystkiego; że może nie prędko jeszcze będzie
mógł wrócić,

ale ostatecznie wróci — zdrow, cały, szczęśliwy.

Kobiety tak łatwo w takich sprawach oszukać, a cóż dopiero matkę i zakochaną,

które chcą być oszukane?... Ale i stary Korejko uwierzył, uwierzyli i sąsiedzi —

Boże wielki! — ja sam, zaprawiony do ustawicznego kłamstwa, często musiałem dopiero myśli zbierać, abym i sam sobie nie uwierzył, sam siebie nie oszukał...

— Wróci! wróci! — powtarzano z radością.

— Wróci! — zapewniałem ciągle.

Czekano więc przez lato, czekano przez jesień i zimę.

— Szkoda, że nie może znów kilku słów do nas napisać! — narzekano czasami.

A! nie może, nie może! — odpowiadałem. To mogłoby popsuć jego sprawę. Stary Korejko zaś często do mnie mawiał:

— Widzisz! łagodniejsi teraz! pomimo wszystko łagodniejsi niż dawniej, jeśli z

Ludwikiem nie źle się obeszli...

Czasami jednak dodawał:

— A tak i wolałbym, aby był sobie poszukał schronienia na jakiś czas tam, gdzie

my niegdyś... we Francji... Moznaby go choć widzieć... No, ale łagodniejsi!

Całem mojem staraniem było teraz strzeżenie domu przed obcymi, aby przypadkiem

jaka zła wieść nie dostała się pomiędzy tych, których oszukiwałem.

Łatwo mi to

jednak przychodziło, bo w onych czasach żałoby każdy siedział w swoim kącie,

rad, że może siedzieć spokojnie.

I przeszła zima i nadchodziła znów świeża wiosna.

— Nie wraca... nie wraca! — narzekano.

— To trudno! — odpowiadałem. — Takie rzeczy nie robią się tak nagle.

— A przecież to tak smutno czekać bez żadnej nowej wiadomości — narzekała

Anulka. — Rok już, jak nie mamy od niego nic, ani słówka.

— Może mu pieniędzy potrzeba? — dodawała Korejkowa.

Odpowiedziałem, że odjeżdżając, wyrobiłem mu kredyt u wiarogodnych ludzi i że mu na niczem pod tym względem zbywać nie może.

— Tylko trzeba czekać cierpliwie! — dodałem — na to nie ma rady!...Czekano więc znowu i liczono godziny, dni i tygodnie. Aż oto zauważyłem, że Anuleńka zaczyna mi przy onem czekaniu schnąć i więdnąć znowu. Przywiezione przezemnie wieści ożywiły ją, dodały jej ciała, rumieńców i sił, a teraz to wszystko uciekało od niej na nowo. Tęsknota uczyniła ją znów jakąś wielką — przeźroczystą — na pół tylko żywą.

— Anulku! — mówiłem — czego ty się martwisz? Ludwiś nie przestanie cię kochać... wróci już niedługo...

Oparła wtedy wiotką swą główkę na moich piersiach i odpowiedziała:

— Ja wiem, tatulku, że wróci... wiem... więc też nie martwię się zupełnie... A

że mi czekać trochę smutno, cóż ja winna?

— A czemu znów tak źle zaczynasz mi wyglądać? — mówiłem.

— Ja? Źle? Co też tatulek mówi? Jestem zupełnie zdrowa... wyglądam, jak róża...

— O nie! Nie jesteś zupełnie zdrowa... A trzeba się o to starać... nie podobałabyś się Ludwikowi, gdy wróci...

Przez parę dni po tej rozmowie, widziałem, że biedna dziecina przeglądała się we wszystkich zwierciadłach, jakie były w domu; radziła się kogo mogła i widocznie usiłowała się ratować.

A przecież z każdym dniem więcej mizerniała i słabła. W parę tygodni później, pewnego rana, nie zasiadła już z nami do śniadania.

— Jestem dziś trochę słaba — mówiła. — Nie gniewaj się tatulku, że nie wstanę... Poleżę, wypocznę przez dzień cały i jutro będę zupełnie zdrowa.

Ale i nazajutrz ledwie przez parę kwadransów plątała się po pokoju, poczem znów

zastąpiłem ją leżącą na szezlongu, okrytą szalem, skurczoną i jakby drżącą od zimna.

— Boże mój, Boże! — mówiła. — Pewnie nabawiłam się febry...
Przykryjcie mnie

tamtym cieplejszym szalem. Ach, gdyby Ludwiś teraz przyjechał!

Jakżeby mi wstyd

było, że taka niedołączna!

Patrzyłem z trwogą, w niemej rozpacz, na jej śliczne wielkie oczy i spieczone

blade wargi.

— Możeby posłać po lekarza? — odezwałem się wreszcie.

— Ach, nie trzeba! Cóż znowu, tatusiu! A gdyby Ludwiś na to nadszedł!

Przestraszyłby się, myśląc, że chora... a tymczasem mnie właściwie nic nie

brakuje... nic zupełnie.

I tak zawsze wszystko odposiła do nieobecnego, który zapewne z nieba patrzył na

tę mękę ukochanego dziewczęcia.

Sprowadziłem jednak lekarza, pomimo tych protestacji. Nie przestraszyła się nie

zdziwiła, owszem, ucieszyła się z jego przybycia. — Prawda, panie, że mi nic nie jest? — mówiła do niego, gdy ją badał.

Lekarz potwierdził jej słowa.

— Ale trzeba spokojnie leżeć — dodał.

— Jakto? W łóżku?

— W łóżku, koniecznie...

— Ach, mój Boże! To źle... Bo... bo... Ach! prawda, pan nie wie.. Ha, cóż

robić... jeśli trzeba... Ale co on powie, gdy przyjedzie?...

Lekarz przed matką nie wygadał się z niczem.

— Febra, nic więcej! — rzekł.

Byłby kłamał i przedemną, ale gdym wyprowadził go do ogrodu i wyznał mu wszystko

na uboczu, miał łzy w oczach.

Ścisnął mię za rękę serdecznie.

— Panie! — rzekł. — Zniosłeś pan tyle! Wytrwałeś w takiej męce, że trudno
wierzyć nawet... Wytrwaj więc i w tem... Może być źle, Bardzo źle...
Jest nawet
źle...
Wiedziałem, że taki wyrok usłyszę, a przecież, pamiętam, upadłem na
ławkę
ogrodową, jakby mi kto nogi podciął, jakby mnie złamał w pół.
— Powiedzieć jej przed śmiercią o wszystkim? — spytałem.
— Nie, nie! — zawołał lekarz. — Nie czyn pan tego! Miej litość!
Jeśli jest tam
Bóg — jeśli jest nowe życie — jeśli tam spotkać się można — dowie
się sama!... Tu zabiłbyś ją pan tą wieścią... przyspieszyłbyś jej zgon!
— Dobrze! — rzekłem — nie powiem... I nie powiedziałem nic... i
wytrwałem do
końca... I po całych dniach i nocach przesiadując przy łóżku mojej
wiednącej
rózyczki, słuchałem ustawicznych jej rojeń i snów o ukochanym,
który lada chwila
wróci... I sam jeszcze mówiłem jej: "Czekaj"... I sam powtarzałem
jeszcze:
"Wróci!"...
Ale gdy biedna dziecina padła na poduszki sztywna, wyprężona
konwulsyjnie, z
ostatniem słowem na usteczkach: "Ludwiku!" — wtedy przestałem
być człowiekiem.
Me szlochałem już, ałem począł ryczeć z żalu i tarzać się po ziemi, jak
dziki
zwierz raniony i wtedy, wobec zwłok mojej złamanej lilijki,
wygadałem wszystko —
całą prawdę.
Nastał sądny dzień...
Korejko, Korejkowa, strąceni nagle z obłoków, szaleli także z bólu.
Me odstępowałem prawie od szczątek mej dzieciny — sam ubierałem
ją w białą
śmiertelną sukienkę, którą matka, szyjąc, łzami oblewała — sam
około wszystkiego

chodząc; jak jednak odbył się pogrzeb? — zabijcie! — nie wiem...
nie

pamiętam...

I opustoszał mój dom, jak opustoszał mi świat cały...

Korejkowa pierwsza wyniosła się z tego biednego gniazda. Opuściła i
męża i niegościnną, ziemię, która zabrała jej syna.

Udała się do Francji, do krewnych i tam gdzieś zmarła.

Następnie pożegnała nas wkrótce na zawsze druga ciotka.

Zostaliśmy we troje: ja, Jadwisia i stary Korejko. Czas zbliżnił nasze
rany,

ale nie ukoił bólu. Siadaliśmy często tam" w pokoiku nieszczęśliwej
dzieciny i

przeglądając pamiątki po niej, płakaliśmy z cicha. Życie zawadzało
nam, a jednak

co było z niem robić? W górze Bóg Przedwieczny — On złączy, co
rozłączył...

Żyliśmy więc z tą myślą, a żyli tylko już dla drugich... Oto ten kościół
murowany — nie wymawiając Bogu Najwyższemu — tamte dwie
szkółki dla dziatwy

wiejskiej — i wielu biedaków wspartych — nie chwaląc się — to
nasza robota...

Nakoniec opuściła mnie i moja ukochana towarzysza całej tej mojej
Golgoty,

całych tych ciężkich czasów — a wreszcie w roku zeszłym odszedł i
stary Korejko,

do ostatniego tchnienia zacny, wierny druh mój!...

I oto jedna burza wykoleiła mnie na czas jakiś, a druga, gorsza,
rozbiła mi to

moje gniazdo...

A tak i zostałem sam, jak rzekłem, gorzej onego kołka w płocie — ze
starym

Filipem, co równy mi laty i dzieciństwo moje pamięta i prawie z
również starą

Szymonową. Oni byli świad-karni mego żywota; rozmawiamy więc
sobie czasem o "dobrej pani" i "złotej

panience" i spieramy się z sobą o to, które z nas prędzej się z niemi
zobaczy?

Zazdrościmy sobie wzajemnie każdej słabości, bo nuż ta słabość
będzie ostatnią i
nuż zaprowadzi tam, w górę, do nich, do ukochanych?... Ksiądz
proboszcz powiada,
że to grzech, ale Przedwieczny będzie pewnie łaskawszym i chętnie
nam tę
gorączkę wybaczy...
Tylko teraz — jakby na złość — nie ma ani Filipa, ani Szymonowej!
Hej, hej!
Filipek!... Uwzięli się!... Nie ma mię kto odsunąć od tego okna, a tu
tak
wieje... i czas do łóżka... noc... Hej! Szymonowa! Filip!
No, jesteście przecie!....

IMIENINY MARCINKA

Noc listopadowa. Wiatr hula i świszczy. Dopiero targał
wierzchołkiem lichej i
na-
giej gruszczyzny i konarami kilku takich samych śliwcząt, stojących
wraz z
agrestowemi krzewami w małym ogródku po za domem — teraz
znów przeniósł się na
ulicę, zebrał wszystkie siły i uderza w odsłonięte ściany Karolowego
domu,
stanowiącego narożnik Sosnowej i Śliskiej. Oj, na ten dom Karola,
powroźnika,
uwziął się widocznie! Nie dość mu, -że już parę gontów z dachu
zerwał, trochę
gliny z narożnika odrapał i zgiął chorągiewkę blaszaną na studni w
podwórzu.
Zażądał teraz haraczu od okiennic drewnianych, a zwłaszcza od tej
bliźszej
narożnika. Nieszczęśliwa ona! Popaczona, pełna szpar, na słabych,
przez rdzę pożartych zawiasach, ledwie się opiera. Potrącana, uderza
wzajemnie o szyby, te dźwięczą i budzą wewnątrz izby małego
czarnego psa, który

warknął, przeciągnął się, potarł nos przednią łapą, tylną podrapał się po bokach i znowu przymknął swe zielone ślepie. Reszta śpiących w tej izbie ani się poruszyła. Właśnie i wiatr znowu zmienił taktykę i przeniósł się na nowo na drugą stronę domu, do ogródka.

— Huu-u, hiiii, szu-u-u!!

Dmij sobie tam, dmij wietrze! Innym lokatorom tego domu możesz się dać we znaki, ale tym, z samego narożnika, nie tak łatwo. Majster Józef, szewc z profesji, po wczorajszej kłótni z małżonką swą o gęś pieczoną, zasypia smacznie właśnie pod samem oknem, na sienniku, ułożonym na skrzyni i stołkach — i chrapie, jakby przez burzę do wtóru najęty za dobrą zapłatę. Nie obudzisz pani majstrowej, bo coś już ze trzy razy wstawiała do kwilącego w kołysce malca, znużona więc, spać teraz będzie twardo. Nie obudzisz i drugiego syna majstrowego, bo on coś dziewiąty rok liczył, jak zasnął z pociętą przez ospę twarzą i już dwa lata śpi na Powązkach i gorsze twoje świstanie słyszał, a nie ruszył się wcale — uparte szewckie dziecko! Nie obudzisz dwóch czeladzi, bo obaj zasnęli zmartwieni: jeden, że przegrał w kiksa dwa złote; drugi, że dostał odkosza od panny Maryanny. Nie obudzisz wreszcie starej Katarzyny, bo głucha, ani terminatora Marcinka, bo nagoniwszy się przez cały dzień, wybity przez majstra o zmierzchu, a przez majstrową przed spoczynkiem (za wylizanie z garnuszka gęsiego smalcu) twardo śpi snem dziecka, niewolnika. Pies jeden czuwa i budzi się co chwilę, ale i on nic

sobie z figlów wichru zaczyna nie robić.

— Huu-u, hii, szu-u-u... trask, dzyn!!

Teraz to co innego. Poszła dolna szyba!

Prawda, że była pęknięta, ale zawsze trzymała się jeszcze. Pies też na dobre

poczyna ujadać i majstrowa pierwsza się budzi. Ale gdzieindziej szuka przyczyny

przerwanego spoczynku, a mianowicie obwinia tego szelmę psa.

— Kruczek! będziesz ty leżeć! — szepcze, poczem spogląda z

bojaźnią w kołyskę,

stojącą przy łóżku. Ciemno w izbie, ale ona matka. Widzi, że malec się nie

zbudził; czuje to, słyszy. Mógłby się jednak zbudzić. Zaczyna więc kołysać,

leżąc.

— Lu, lu! — lu, lu, lu!

Powoli kołysać przestaje, wyciągnięta ręka opada bezwładnie i kobieta zasypia

znowu.

Ale na odkryte piersi majstra zaczynają spadać potoki mroźnego, wilgotnego

wiatru. Okrywa się, przez sen raz i drugi, kurczy się, mruczy, chrapie coraz

słabiej, oddycha coraz krócej, coraz niespokojniej, aż wreszcie budzi się

zupełnie i usiada na pościeli. — Bodaj to pioruny!

Kłątwa ta wyrywa mu się tak, z przyzwyczajenia, bo jeszcze nie przyszedł

zupełnie do siebie i podobnie jak majstrowa, nie wie: co się stało.

— Marcin! — woła, także z przyzwyczajenia, bo zawsze wywołuje to imię, ilekroć

mu czego potrzeba.

Ale nikt nie odpowiada; pies tylko poruszył się trochę i drapiąc swoje boki

łapą, stuka o podłogę. Zresztą samo sapanie i ciężkie, urywane oddechy. A

przecież coś tu się stało... Zimno... oj, coraz zimniej!

— Bodajto pioruny!

Podnosi się, uklęka, i zwracając się ku oknu poczyna macać w ciemności. Trafia

też w otwór powstały po szybie.

— Ano, masz tobie! poszła szyba! Bodajto pioruny! Marcin!

Wołany nie porusza się nawet, choć drzwi do sąsiedniej izby, w której śpi,

otwarte, a majster Józef głosu nie żałuje. Ale za to pies powstaje i złożywszy

przednie łapy, przeciąga się na środku izby.

— Marcin, głąbiu!!

Majstrowa zrywa się przestraszona i siada na łóżku.

— Co to? Cóż tam? Czego się drzesz, czego?

— Szybę djabli wzięli! Bodaj to pioruny, bodaj! — Stulże głę, stul!

— mówi kobieta przyciszonym głosem — wzięli, to wzięli, krzyk nie pomoże, obudzisz mi dziecko, a jakoś niezdrowe.

— Bodaj to...

— Cicho bądź! Idź zbudzić Marcina, niech biegnie przywiązać okiennicę, bo się

odśrubowała i wybije nam więcej szyb jeszcze...

Majster Józef zgrzyta zębami i wstaje zły bardzo.

— Ja go obudzę, tego wisusa...

W sąsiedniej izbie tak ciemno, jak i w tej, w której się wydarzyła katastrofa z

szybą. Ale majster zna mniej więcej miejsce, gdzie chłopak zwykł sypiać na paru

łachmanach. W tym też kierunku posyła swą prawą nogę, bosą, ale zawsze jeszcze

dość twardą.

Stłumiony jęk służy za dowód, że majster Józef trafił i został odczuty.

— O Jezu, Jezu!

— Wstaniesz ty, nygusie, to będziesz udawał, żeś głuchy! Wstawaj!

— Wstaję, panie majster, wstaję... O rany, rany!

Wstał rzeczywiście, ale prawie jeszcze śpi i nie wie: co się z nim dzieje.

— Słyszysz ty, niemrawo! — woła majster, trzęsąc jego głowę, jak wicher na

dworze gruszą i śliwkami.

— Słyszę... a ino... a czego, panie majster?

— Czego? Pięknieś mi wczoraj przyśrubo-wał okiennicę! Wicher
szybę wywalił, jakby nic! Ruszaj mi zaraz i przywiąż ją do
gwoźdźcia, bo jeszcze więcej szkody narobi. Walaj, a żywo!
Przy tych słowach rozespany, ogłupiały chłopak zostaje w koszulinie
wypchnięty
do sieni. Me wiele co mroźniejsze, jak w izbie, ale o wiele świeższe
owiewa go
powietrze. Trze jednak jeszcze oczy pięściami, sapie i stoi w miejscu.
Kto wie,
czyby, tak stojąc, nie zasnął napowrót, gdyby nie ostry kaszel, który
go napada
właśnie. On go trzeźwi prawie zupełnie. Czuje na lewym swym boku
śląd nogi pana
majstra, a w głowie zaczyna mu się zarysowywać, aczkolwiek zbyt
jeszcze
niewyraźnie, rozkaz tej nogi.

— Szyba... wicher... okiennica...
Nie wiele z tego rozumie, ale na miejscu dowie się, po co go posłano.
Tak
zresztą bywa z każdym rozkazem, nawet gdy go odbiera nie
wywleczony wprost z
legowiska. Gdy do niego mówią, zazwyczaj myśli o czym innym. To o
bułkach u
przekupki w pobliskim sklepiku — to o dychaczach, które zawsze
dostaje taki jak
on chłopak od Chlipalskiego, majstra z tej samej ulicy, ale mającego
lepszyc
kundmanów — to znów o wróblach, które możnaby ubijać świstawką
gumową, gdyby się
ją miało, jak ten student w mundurku, Jaś z przeciwka.
Tym sposobem z rozkazu każdego spamięta zwykle tylko jakieś
wytyczne punkta,
treść głów-ną. A przecież zawsze kiwa swoją czworograniastą prawie
głową na znak, że
wszystko rozumie. Dopiero jednak na drodze domyśla się reszty.
Gdyby, mówiąc do
niego, patrzano mu w oczy, poznałby każdy, że ma do czynienia z
wiecznie

roztargnionym, prawie głupkowatym dziesięcioletnim wyrostkiem.
Ale Marcin,
słuchając, wzroku swych rozkazodawców unika instynktowo.
Czasem się zdarza, że niedosłuchawszy, rozkaz mylnie wypełni i
przyniesie
herbaty za dwanaście kopiejów, a cukru za osiem, gdy tymczasem
miało być
przeciwnie. Wtedy bywają najpewniejsze ciągi. Ale to fracha! Nie za
to, to
byłyby za co innego, bo parę razy na dzień muszą być święcie.
Kiedy zaczną bić, to już nic, bo bicie wieków trwać nie może.
Najgorsza obawa
ciągow i ich wyczekiwanie. Kiedy się bicia spodziewa, bywa szczerze
smutny,
czuje jakiś ciężar, gniotący go nielitościwie — nic go już wtedy tak
naprawdę
zająć nie zdoła. Zaledwie go obijają, dawna swoboda wraca; myśli
biegną znów
poprzednim torem, kręcąc się, splątane bezładnie, ale mimo to
iskrzące się i
żwawe, około białych bułek, Franka od Chlipalskiego i wróbli.
Bywają jednak chwile, w których chyba o niczem nie myśli, a
przynajmniej nie wie
o czym. Twarz jego, zazwyczaj głupkowata, staje się wówczas ospałą
i jakby nagle
obrzękłą; na bladych, zamorusanych zawsze policzkach, wykwita
wówczas jakiś niezdrowy
rumieniec; oczy bure zachodzą mgłą; pomiędzy rozwartemi,
szerokiemi i
mięsistemi, a przecież blademi wargami ukazuje się wychylony
koniec białego
prawie języka; ręce mu opadają bezwładnie na kolana i wpada jakby
w jakiś stan
katalepsy. Zapytany wtedy: "o czym myśli", zbudzi się, ale nie będzie
umiał
odpowiedzieć, chyba skłamię coś na poczekaniu i przysięgą: "Jak
Boga kocham"
poprze swoje zeznanie.

Me lepiej jest i teraz. Wypchnięty z izby do sieni, domyśla się tylko na niepewne, po co go tu wysłano. Czuje, że trzeba wyjść na ulicę. Sunie więc ku bramie, trzymając instynktowo ręce przed sobą, aby "łepety" nie rozwalić w zastawionej gratami sieni. Odsuwa rygiel żelazny, a bramę sam już wicher pomaga mu roztworzyć. Ciemno, choć oczy wykol! Musi to być jednak ranek, bo latarnie już pogasły; zdala tylko, na skrócie ku Komitetowej, tleje jedna, migocące rzucając światło. A wicher dmie, jak dał, chuczając, świszcząc, jęcząc.

— A to ci zabawa!

Już otrzeźwiał zupełnie. Czuje też, że nogi ma bose i gołe. Święty Marcin nie przyjechał dziś na białym koniu (zapewne dlatego, że już przed miesiącem się wyekspensował), ale za to przysłał suchy mróz. Ziemia ścięta i stwardniała.

Marcin stoi na progu, nie mając odwagidalej postąpić. Nie czas już jednak wracać po pantofle lub okrycie na biodra i plecy. Kuli się, syka, wreszcie zrywa się z miejsca i w kilku susach już jest pod narożnem oknem.

— Marcin, co ty tam tyle czasy robisz?

To głos majstra z wewnątrz izby, zatykającego deską od krajania skór miejsce po wybitej szybie, aby do izby mniej wiało. Wywiera on na chłopaku skutek prądu elektrycznego.

— Jestem, a ino... już, już!

Niema nawet czasu podziwiać sprytu majstra, który tak mądrze sobie poradził.

Podbiega, chwyta okiennicę, którą wiatr tam i sani pomiata swobodnie i

przymocowuje ją do gwoźdźcia w ścianie, za pomocą wiszącego u tegoż kawałka szpagatu. Chce wracać czempredziej chyłkiem, po pod ścianą i to wracać jak największemi susami, aby jak najmniej dotykać zmarzniętej ziemi. Przy pierwszym już jednak skoku syka z bólu, podnosi lewą nogę w górę i opiera się plecami o ścianę.

— A tom ci se dał!

Czuje kawał szkła, tkwiący w samem wygięciu stopy, między piętą a palcami. Teraz już wszystko staje się dlań zrozumiałem. Robi mu się gorąco w całej nodze. To krew płynie ciurkiem. Przekonywa się o tem dowodnie, czując wilgoć na podstawionej pod piętę dłoni.

— O rany!...Nie mówi tego z bólu, bo i co to za ból, ale więcej z podziwu nad tem, co się stało.

— Tom ci se łapę urządził!

Nie wie co robić. Czy wracać zaraz do izby, czy co? Ostrożnie posuwa palcami po skaleczonej nodze i trafia na tkwiący w ciele kawałek szkła z rozbitej szyby. więcej mu nie potrzeba; zaraz wszystko będzie znowu dobrze. Chwyta wystający koniec między dwa palce, ściska i szarpie. Szkło, oblane krwią, więc śliskie i siedzi mocno. Pociąga drugi raz. Tym razem palce, już oswojone z wilgocią, nie ześliznęły się; szkło wyjęte. Bzucić je, czy nie rzucić? Nie, pokaże je Frankowi, pochwali się przed nim. Składa je więc na gzemsie u okna, a sam zabiera się do powrotu.

— O! boli!

Ale to nic. Można stapać na pięcie. Tak też dostaje się do pierwszej izby.

Wyciąga z posłania resztę swego ubrania, składającego się z jednej sztuki, bo surdut wdziewa tylko gdy wychodzi gdzieś dalej, do miasta. Ubrawszy się, staje w kącie na jednej nodze, drugą skaleczoną unosząc w powietrzu i zaledwie palcami dotykając nią podłogi. Czuje, że ten wypadek, mało zresztą znaczący, popsuje mu jednak humor na cały dzień. A dziś właśnie miało mu być tak wesoło. Dlaczego, zapomniał w tej chwili, ale wie, że tak być miało. Śniło mu się nawet coś w tym guście. A! prawda, przecież to jego imię-niny. Tak, to wczoraj był "gęsi wieczór", wigilia św. Marcina. Bodaj to tę skaleczoną nogę! Pięknie się wyśniło. Ładne imieniny! — Pójdiesz ztąd, Kruczek! wynoś się! — woła półgłosem na psa, który zabiera się do oblizywania płynącej obficie krwi ze zranionej nogi. A to pies uparty. Głośniej jednak krzyknąć nie może, bo nie chce zwrócić niczyjej uwagi — schyla się więc i odsuwa napierającego się psa. Tymczasem zapalono światło i przekonano się na zegarze z malowaną różą, że to już po szóstej. W sam raz do roboty. W obydwu też izbach, oddychających przed kilkoma minutami ciężkimi, spracowanymi oddechami, nastaje ruch, gwar i życie. Nawet malec w kolebce budzi się i poczyna kwilić. Trzeba dlań przygotować bułkę na wodzie, zabelonej mlekiem, tymczasem trzeba kwilącego kołysać, zanim się rozplącze na dobre. — Marcin! — woła pani majstrowa, stojąc nad kołyską. Chłopak zrywa się, zaciska zęby i zjawia się szybko, jak nigdy. To majstrową nie źle usposabia.

— Pokołyszno tu trochę — rzecze, a sama "wychodzi do pierwszej izby."

Marcin nie cierpi kołysać. Zajęcie to jednostajne nudzi go i niecierpliwi. Nigdy

jednak więcej w porę mu nie przyszło, jak teraz. Siada na podłodze, obok

kolebki, zakładając chorą nogę na zdrową i podczas gdy lewą ręką porusza kolebkę, prawą ściska ranę i

tamuje, choć w części, cieknącą jeszcze ciągle krew.

Jednostajny łoskot dotykających drewnianej podłogi biegunów, kwilenie malca,

krzątanie ubierającej się czeladzi, stuk i trzask drewek, rąbanych przez starą

Katarzynę, prychanie i sapanie myjącego się majstra — wreszcie tyk — tyk

pendułowego zegara — wszystko to zlewa się w jeden chaos.

— Stara, nie zostało tam co czystej z wczorajsza? — pyta na pół nieśmiało umyty

już majster, stając we drzwiach między jedną izbą a drugą.

— Nie zostało! — odpowiada krótko majstrowa, zajęta zlewaniem fusów od kawy.

— EL. gadasz!... musiała choć kropla zostać!

— Tak, więc już wytrzymać nie możesz! Zacznij od rana, zacznij!

— E! gadasz... krzyna mi się patrzy... taki wicher... No, gdzieżeś podziała? —

pyta dalej, zaglądając do szafki, w której żona zwykle kryje podobne specjały.

— Odejdz mi ztamtąd!... Sama dam!

— Ano, dajno, daj, bo czasu szkoda... Ot, i widok się robi!

— A zmówiłeś choć Ojcie nasz? — pyta dalej małżonka, wyciągając flaszkę.

— Jako żywo... jak Pana Boga kocham... juści... cały pacierz! — sumituje się

majster. Podano mu flaszkę. Oglądnał się za kieliszkiem, ale machnąwszy ręką, na znak

lekceważenia tego instrumentu, przysunął do ust samą flaszkę.

Pociągnął.

— Aaa!. dobra!... Jeszcze kropelkę!

— Tak, tak, spuść wszystko naraz, zaśmierdziałoby się do jutra, spuść!

— E! gadasz! Aaa! No, schowaj teraz!

"Stara" chowa resztę gorzałki z flaszką, a majster odwrócony ku oknu, teraz

dopiero żegna się i zaczyna mrużyć "Ojczy nasz!" Marcin, patrzący na to z boku,

czuje pewne zadowolenie i dumę ze swego majstra.

— To ci ją użył! — myśli.

Podoba mu się to, że majster tak sprytnie okpił majstrową co do owego pacierza.

Czuje nieprzepartą chęć zrobienia czegoś podobnego. Jak i z kim, nie wie

jeszcze. Już tam sposobność znalazłaby się, byle tylko można było wybiedz z

warsztatu. Ale, ba, jakże wybiegnie, kiedy ta noga, oj, ta noga!

Choćby nawet

kazali iść i posłali po co do miasta, to wszystko na nic. Jużcić pójść trzeba

będzie, gdy poślą, ale co to już znaczy? — całą przyjemność lichy wzięło! Może

jednak da się to jakoś naprawić. Zanim poślą, może tymczasem już noga będzie

napowrót dobra. Krew już nie ciecze. Tylko trochę jeszcze pali i rwie, gdy się

ruszy lub stąpi. Trzeba będzie coś na to poradzić.

Zajęty temi myślami, przestaje kołysać. I malec też kwilić przestał i wpatrzony w sufit ssie palec własnej rączyny,

wydobytej z powijaków i uśmiecha się zadowolony. Tymczasem dwaj czeladnicy i

majster między nimi, zasiedli do warsztatu i zabrali się do roboty.

— Gdyby się było wczoraj pospieszyć, byłyby kamasze już fertig dla tego

urzędnika z kolei — mówi majster, tonem pół wymówki, pół ubolewania.

— Jeszcze jak! — ośmiela się wtrącić jeden z czeladników, ten właśnie, który

zgrał się wczoraj w karty.

— Śpiewający! — potwierdza drugi, myśląc ciągle o hardej pannie Maryaimie.

— Byleśmy teraz choć przed dziewiątą dali radę — ciągnie dalej majster.

— Damy; jeszcze jak! Ja tu już sztyftuję, niech ino majster narychtuje ten absats, a będą, jak ulał.

— Śpiewający!

Zaczyna się praca w milczeniu, przerywana tylko stukiem młotka od czasu do

czasu, i głosem najstrowej, która w pierwszej izbie, stanowiącej zarazem

kuchnię, nie może dojść do ładu z głuchą, starą Katarzyną. Ale bo też Katarzynie, jednej w całej domu, wolno czasem nie usłuchać, majstrowej. Nie

zwykła to służąca. Pół mieszcza, pół wieśniaczka, była niegdyś przyjaciółką

matki dzisiejszej swojej pani i miała się dobrze. Był młyn pod Warszawą i dom i

trochę gruntu. Ale były i dzieci. Jedno, najlepsze, wzięto do wojska i gdzieś się zapodziało.

Drugie, dziewczyna, wyszła za mąż i wkrótce zmarła, mąż zaś wiano zagrabił,

ożenił się z inną i dawną teściową wyścigał na cztery wiatry. Trzecie dziecko,

chłopak, wisus od urodzenia, pił i grał na loteryi zawzięcie, i obecnie tuła się

gdzieś po prowincyi, jeśli jeszcze żyje. Starej ex-młynarce przyszło więc

wysługiwać się, a wołała w takim razie pójść na służbę do znajomych, niż obcych.

Nie wiele wymagała, a na wszystkim się znała. Gdyby nie głuchota, byłaby

nieocenioną. I obecnie też, głównie z tego powodu, " trudno się majstrowej z nią

porozumieć.

— Cóż się Katarzynie dziś stało! Skaranie boskie!

— Niech ino pani ustąpi, już ja to zrobię.

— Ale co Katarzyna zrobi, co? kiedy Katarzyna nie wie co!
— Panie Boże odpuść! Cóżem to ślepa, czy co? Śniadanie a potem kąpiel dla dziecka, któżby tego nie wiedział...
— Kąpiel! Ale pod blachą wszystko wygasło., o! o! niechże Katarzyna patrzy!
— O! bezkurcya! E!- bo po co pani tu ruszała... węgliki się zesunęły — ot i tyle.. Zaraz będzie, zaraz...
Marcin słyszy, że ogień wygasł i powiada sobie, że nie prędko dziś dadzą co przekąsić. Jakkolwiek bowiem on tylko podczas ciężkiej zi-my dostaje ciepłą, wodziankę, a zwykle kawał chleba tylko, to przecież ogień pod blachą obchodzi go o tyle, że majstrowa udziela mu jego kromkę chleba, gdy już majster swoją kawę wypije. Nie byłoby bowiem przystojnie, aby chłopak dostawał śniadanie przed majstrem. Więcej jednak z przyzwyczajenia Marcin ubolewa nad wygasłym w piecu ogniem, bo mu dziś i tak jakoś nie do jadła. Ta skaleczona noga, przy imieninach właśnie, popsuła mu wszystko. Żeby go choć kto pożałował w jego kłopotcie. Ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Nawet ten Kruczek niecnota, który go zazwyczaj nigdy nie opuszcza i przybiega do majstra lub majstrowej wtedy nawet, gdy wołają "Marcin", kręci się teraz w kuchni około pani domu, przyrządzającej śniadanie. Przyjaźń bowiem przyjaźnią, a interes interesem, nawet dla psów.
Tymczasem prawie zupełnie już widno się robi. Majster gasi też światło. Przy "widoku" będzie lepiej szła robota. Gasząc i odstawiając lampkę, obraca się i

oczy jego padają na pomierzwioną głowę chłopaka i jego zamorusaną
gębę,
siedzącego na ziemi, z oczyma wlepionemi w biegun od kołyski i z
rozwartemi
usty, znakiem ciężkiego zamyślenia.

— Cóż ty, głąbiu, siedzisz sobie jak za pańskich czasów! Marcin,
weźmiesz się
ty do czego!

Marcin zrywa się na równe nogi, a raczejna jedną nogę, bo drugą
skaleczoną unosi w powietrzu. Zwraca się w stronę
majstra, wyłupiając jeszcze więcej swoje bure, zamglone oczy i
jeszcze bardziej,
niż przedtem, rozdziawiając szerokie usta.

— Walaj-no do majstrowej i spytaj, kiedy tam da co przetrącić.
"Walaj" znaczy: idź. Marcin też, pokrywając to, że kuleje, spełnia
rozkaz

majstra. Pies, który na pierwsze zawołanie: "Marcin" — przybiegł po
zwyczaj, u
wraca teraz znów za chłopakiem, jakby rozumiał, że Marcina po jadło
posłano.

— Cóż to, pali się, czy co! Jak będzie, to się da!

Pies pierwszy wycofuje się skonfundowany, bo z majstrową żartów
niema. Gdy

dobra, to i pogłaszcze, ale będąc złą lub zajęta, palnie tem, co trzyma
w ręce

lub kopnie i tyle. A pies dobrze, według brzmienia głosu, rozróżnia
uczucia,

napełniające panią domu.

Marcin nie potrzebuje spieszyć się z odpowiedzią, jaką otrzymał od
majstrowej,

bo drzwi do warsztatowej izby nie były zamknięte, interesowani więc
usłyszeli, o

czem wiedzieć chcieli. Staje zatem w progu między izbą a kuchnią na
jednej

nodze. Tak zazwyczaj po spełnieniu jednego rozkazu, wałęsa się z
kąta w kąt,

oczekując na drugi. Żadnej, ściśle określonej roboty nikt mu nie daje.
Tem mniej

zaś wolno musieć imać warsztatu. Musi dwa lata przebyć na tak zwanych "posyłkach". Taka ugoda stanęła między majstrem a ojcem Marcina, murarzem Andrzejem. Dopiero po owych dwóch latach będzie mógł brać się do szewctwa. Gdyby pierwej się czego nauczył, mógłby zhardzieć, albo odszedłby do innego jakiego majstra; poduczony bowiem chłopak zawsze jest poszukiwany — mniej z nim biedy, tak jak z odchowanim szczeniakiem. Nie przeszkadza to jednak, aby wałęsającemu się Marcinowi wymyślali wszyscy za to, że próżnuje. I teraz dostrzegła go majstrowa.

— Stój sobie, stój! — odzywa się, zajęta robotą.

— Marcin! — woła majster, nie odrywając się też od swego zajęcia, ale czując potrzebę zatrudnienia chłopaka.

Marcin podbiega ku warsztatowi.

— Rychtuj się! Skoczysz z temi kamaszami za kwandransik.

Ano, stało się. Wyrok zapadł. Pięknie mi skoczysz! Ledwie chyba się zakuśtyga.

Trzeba przynajmniej jakoś łapę skaleczoną ubezpieczyć. Gdy też stara Katarzyna

udaje się właśnie z garnuszkim po wodę, stojącą w sieni w konwi, Marcin wysuwa się za nią cichaczem.

Nie mówi do niej, bo trzebaby krzyczeć głośno i "starzy" dowiedzieliby się o

wszystkiem. Na migi stara się ją powiadomić o swem nieszczęściu i potrzebie.

Trudno to jednak przychodzi. Katarzyna, jakkolwiek tego wisusa lubi, myśli, że to nowy jaki jego figiel.

— Co? co? — pyta. — E! daj mi święty pokój, bom zła!

Ale Marcin nie ustępuje, a ponieważ w sieni za ciemno trochę, przeto prowadzi

głuchą starą ku bramie od ulicy, uchyla takową i podnosi zranioną
nogę, którą
strumień światła oblewa. Katarzyna zaciekawiona nachyla się.
— O rany Jezusowe! — wykrzykuje — a cóżeś ty...
Resztę pożałowania powstrzymuje Marcin energicznym ruchem,
zatykając po prostu
usta starej swą ręką i wskazując wymownie na drzwi od izby.
Katarzyna milknie i
daje poznać, że zrozumiała o co chodzi. Ale przy wykonywaniu
owego skutecznego
ruchu, Marcin dla utrzymania równowagi musiał zboląłą nogę
postawić silnie na
ziemi i sam dość głośno jęknął i syknął z bólu. Mie dowierzając zaś
swej własnej
sile, zatkał sobie usta ręką, podobnie jak przedtem starej Katarzynie.
To już
było bardzo dla tej ostatniej wymownem. Chwilę też czekają oboje w
trwodze,
spoglądając ku złowrogim drzwiom od izby. Na szczęście, majstrowa
w izbie
przelewała w tej chwili przegotowaną śmietankę i nie mogła jęku
Marcina
dosłyszeć.
Katarzyna zakrzętnęła się szybko i za chwilę chłopak wchodzi już do
izby w
jednym swoim, trochę podartym kamaszku, mając drugą zra-nioną
nogę obutą w obszerny trzewik swojej starej pocieszycielki.
Katarzyna
pierwej od niego wróciła z sieni do izby i przesuważąc garnki po
blasze,
spogląda za nim z pod oka. Marcin stapa, jak gdyby nie miał nigdy
skaleczonej
nogi, a przechodząc koło starej sługi, cmoka ją w ramię nieznacznie.
— Poczciwina! — myśli głucha ex-młynarka — poszedł rękaw
watowany od starego
kaftana, bo poszedł na obwinięcie chorej nogi tej bezkurcyi, i trzewik
pewnie

wykoszlawi, pochodziwszy dzień cały, no, ale przynajmniej będzie mógł chodzić;
no, i umie podziękować...
W izbie uroczyste milczenie. Rozlega się tylko głośne mlaskanie kilku języków, a przede wszystkim majstra i dwóch czeladzi, których śniadanie zaskoczyło przy pracy. Majstrowa bowiem podała każdemu do ręki malowany garnuszek z kawą i kromką chleba, tak, że nawet roboty z kolan nie zdejmowali. Sama też usiadła na kufrze pod zegarem, z podobnym garnuszkiem w ręce. Ogólna harmonia, zgoda i ukontentowanie, zdaje się wśród ciszy, wraz z wymownym mlaskaniem, unosić nad temi, przed chwilą pełnymi ruchu, izbami.
Oto władza chleba powszedniego!
Marcin, trochę instynktowo, trochę z doświadczenia, czuje panujące obecnie usposobienie. Wie, że mu nikt w tej chwili o nic wymyślać nie będzie.
Śmielej też wysuwa się naprzód, staje na boku pod ścianą, o którą się opiera plecami, i przygląda się przez chwilę jedzącym, przed którymi pies kręci się teraz, różne wyprawiając harce i chcąc na siebie także zwrócić uwagę; strzyże więc uszami i zwraca od jednego ku drugiemu z jedzących swoje mądre ślepie.
I Marcinowi teraz jeść się chce, bo bólu nogi już prawie wcale nie czuje, tak jej dobrze w podwatowanym trzewiku głuchej Katarzyny. Ale trzeba czekać, aż dadzą. Chcąc zaś sobie czekanie to skrócić, zbliża się do kołyski, w której nakarmiony dzieciak (bo matka najpierw jego zaspokoila), leżąc na wznak, przygląda się swoim drobnym rączkom z całą powagą dorosłych ludzi. Marcin,

wpatrzony w malca, rozdziawia usta do możliwych granic, a potem nagle je zamyka, kłapiąc swemi wielkimi zębami. Powtarza to raz po raz, dopóki nie zostaje przez małego swego spektatora dostrzeżony. Wówczas dziecko przestaje się bawić rączkami" i z początku bardzo zdziwione, a później coraz więcej z figlami temi oswojone, zaczyna się weselić w najlepsze. Głośne jego chichotanie jest tego dowodem. A kiedy Marcin jeszcze parę razy kłapnął zębami, naśladując chwytanie chleba, ciskanego jego przyjacielowi Kruczkowi, radość dziecka nie ma już granic. Znosi się ono od śmiechu i aż całe czerwienieje. Zwraca to uwagę i majstra i majstrowej, Marcin więc nagle zaprzestaje figłów i poważnie o tyle, że ożywioną przez chwilę gębę robi napowrót głupkowatą. Rozbawiony malec w kołysce bierze to za świeży figiel i jeszcze głośniej chichotać zaczyna na nowo.

Majster i majstrowa, zamiast gniewać się na Marcina, czego ten w tej chwili jest prawie pewien, z widocznym, choć niemem zadowoleniem przysłuchują się wesołości swego malca, przy czym jedno na drugie spoziera, jakby chciało powiedzieć: "czy słyszysz?" Czy słyszysz, jak to nasze dziecko zdrowo się śmieje, nie tak jak tamto, cośmy je zanieśli na Powązki dwa lata temu? Czy słyszysz?... Nastaje chwila jakiejś uroczystej powagi. Z kobiecych ust wrywa się stłumione, szybkie, a pełne treści westchnienie:

— Oh, Boże, Boże!

Pierwsza też majstrowa otrząsa się z zadumy i pierwsza daje wyraz ukontentowaniu

ze swego terminatora. Skończywszy bowiem picie kawy, wstaje i niezwykle łagodnie odzywa się do chłopaka:

— No, pójdź Marcin, zjedz i ty, bo trzeba ruszać do miasta. Siła się na obojętność, ale nie mogła jeszcze wydobyć powszedniego swego szorstkiego głosu, tak jej go gdzieś zatraciły cisnące się w tej chwili myśli i wspomnienia.

Marcin nie rozumie rodzicielskich uczuć, więc dzisiejsza łagodność majstrowej bardzo go zastanawia.

— Aha! to przez te imieniny — myśli z ukontentowaniem.

— No, pójdź Marcinku, pójdź! — powtarza majstrowa.

"Marcinku!" Z pewnością przypominano sobie o jego imieninach.

Majster, który przeliykał właśnie zawartość napełnionych po brzegi ust swoich,

dopiero teraz wtrąca swoje trzy grosze:

— Rych... tyg!... Daj mu stara, daj, bo zaraz pogoni... Kamasze duchem będą!...

Ino patrzeć!...

I znowu zaczyna się robota, a tej już istotnie nie wiele pozostaje.

Jeszcze

chwila, a wszystko będzie gotowe. Marcin, rzuciwszy od niechcienia okiem, uznaje

sam prawdziwość zapewnień majstra i uwija się ze swoją kromką chleba, popijając

odrobiną mleka, jaką dziś wyjątkowo dostał, trafił bowiem przez dziecko wprost

do serca matki.

O matki!

Jak przedtem przed majstrem i majstrową, tak teraz czarna psina kręci się koło

chłopaka, asystując mu z niemniejszym namaszczeniem. Oportunista!

Katarzyna przysuwa się do nich.

— Jakże ci tam? — pyta zcicha Marcinka.

— Jak w niebie! — odpowiada chłopak beznamysłu i potrząsając nogą, obutą w trzewik, tłómaczy starej na migi swoją odpowiedź.

— Dala! ruszaj się Marcin — nawołuje majster.

— Zara.. już... leczę, panie majster. Mleko się skończyło, ale chleba zostało.

Marcin nie namyśla się długo. Wsuwa przemocą pozostałość w kieszeń od swoich zatłuszczonych, płóciennych pantalonów, a przygotowany już przedtem kawałek ośrodki macza w reszcie mleka i podaje łaszącemu się Kruczkowi. I już gotów na rozkazy staje przed majstrem, nie mądrzejszy jak przedtem, z rozczochraną jak zawsze czupryną i wytrzeszczonemi oczyma. Ta myśl, że wkrótce wybiegnie, nadaje jednak jego ruchom szczególniejszą zwinność.

— Dala do szczotki, wypucować mi, a extra!

Marcin zabiera się do czyszczenia. Wilgotna i świeża skóra nie łatwo "glans"

puszcza. Przecież udaje mu się go wydobyć, przyczem błada jego i poźółkła

zazwyczaj twarz nabiera kolorów, w miarę, jak kamasze coraz więcej błyszczą

poczynają.

Zziajany skończył "robotę", którą majster teraz sam zawija do czerwonej w białe

kółka chustki i zawiązuje.

Następują napomnienia i wskazówki, jak się Marcinowi zachować należy, jak

trzymać silnie w dłoni odebraną resztę należności, nie gapić się po drodze, a

wracać prędko, bo inaczej lanie. Wszystkiego tego słucha Marcin, potakując na znak, że dobrze rozumie, a myśli o

tem tylko, że wkrótce cały ten warsztat z oczu stracić mu przyjdzie.

Gdy majster skończył, zaczyna znów majstrowa tłumaczyć chłopakowi: co ma kupić

po drodze i gdzie? Pani majstrowa ma bowiem prawie na każdym targu swoje

znajome, u których najlepiej kupować lubi.

— Pamiętaj, żebyś mi nie brał gdzieindziej, tylko tam gdzie mówię,
za Żelazną
Bramą!

— No, ruszaj! aus! — woła majster. — Ósma bije, żywo!
Chłopak zrywa się z miejsca, jak koń, którego nagle podetną batem i
jeszcze

prędzej staje, jak koń, którego w tejże samej chwili ściągną lejcami.

— Czekaj — mówi majstrowa — jakbyś nie dostał przypadkiem za
robotę od tego
urzędnika, ale się upominaj, żeby ci koniecznie zapłacił — no, to daję
ci tu na

to, co masz kupić, dwa złote groszy dwanaście. A trzymaj dobrze i nie
zgub

czego, niech cię ręka Boska broni, bo wały! A pamiętaj, słonina
niesolona!

— Sprawię się, jak się patrzy, a ino! — zapewnia już coś po raz piąty
Marcin.

— No, pamiętaj!

Chustkę z kamazami trzyma już w dłoni, ale nie ma jeszcze czapki.
Gdzie też

mogła się podziać ta czapka z połamanym daszkiem? Szuka tu i tam;
jak niema, tak niema!

— Widzisz, głąbiu, jakiś porządny! Pewnieś gdzie czapę zostawił i
po niej
teraz!

— Ale gdzie tam, panie majster! Jak Boga Kocham! Przyniosłem i
tutaj położyłem na

komodzie... Nie... tu na oknie... Jak Boga Kocham, na oknie, panie
majster!

Kłamie, bo nic nie pamięta. Ale uroczyście wygłoszona przysięga tak
nań

podziałała, że sam zaczyna wierzyć w swoją niewinność i szuka na
obwinionem
oknie.

Pokazuje się jednak, że czapki wcale niema w całym domu. Szuka
majster sam,

majstrowa, czeladnik jeden, sam Marcin, pies nawet kręci się, jakby
też szukać

pomagał i stara Katarzyna z drugiej izby przygląda się tej krzątaninie,
wszystko
nadaremnie.

Majster coraz więcej zaczyna wymyślać i kląć, bo czas ucieka i ów
urzędnik z
kolei może wyjść z domu. Burza zaczyna rosnać. Marcin czuje, że te
poszukiwania
nie dobrze się skończą, zwłaszcza, że jeden z czeladników także
mrużyć zaczyna,
przez co dopomaga wybuchowi. Jakoż, w istocie, najpierw
zniecierpliwiła się
majstrowa i silna jej ręka spoczęła na policzku chłopaka, aż się po
izbie
rozległo.

— Ty, wisusie, ty!

Przeciw reszcie razów, Marcin instynktowo obiema rękami otoczył
zagrożoną głowę,
wyciągając łokcie przed twarz. Reszta więc wlaźła na plecy. Pies
schował się pod
stołek. Stara Katarzyna westchnęła głośno.

— Bierz pierwszą lepszą! — komenderuje majster.

Ale chłopak nie rusza się, jakby skamieniał. Czoło tylko nachmurzył i
usta

wykrzywił. Widzi bowiem, że jeden z czeladników swoją czapkę
pochwyił i schował
za siebie. Tak uczynił i drugi. Rzeczy majstra zaś tykać nie śmie. Na
szczęście,

ten ostatni rozwiązuje gordyjski węzeł następującym rozkazem:

— Matka! dajno mu moją starą czapkę, bo czas wielki!

Nareszcie chłopak, ustrojony w starą czapkę majstra, rusza ku
drzwiom, wśród
upomnień, po dziesiąty raz powtarzanych.

— Że też dziś przynajmniej nie można było wyjść z domu bez wałów
— myśli. — Tak

się dobrze dzień zaczynał!

Będąc już przy drzwiach, cmoka na psa, który też nie daje sobie dwa
razy

powtarzać zaproszenia do przechadzki; przywykł już bowiem do tego.

Ale nie uszło to oczom i słuchowi majstrowej.

— Nie bierz mi Kruczka, faflu! Dam ja ci tu! Marcin nie głupi czekać na to, co

majstrowa obiecuje i już jest za drzwiami, które szybkoza sobą zamyka. Pies pozostaje w izbie, skowycząc.

— Leżeć Kruczek! pójdiesz ty leżeć!

Pies nie lubi żartować z majstrową, odstępuje więc, ale nie wyrzeka się

przechadzki i manewruje ustawicznie około drzwi.

Marcin, ze swej strony również, uszedłszy kawałek, tak, że go wystające domy

zasłaniają, nie traci nadziei, że z Kruczkiem wyprawę do miasta odbędzie.

Powtarza się to zresztą codziennie. Majstrowa zawsze mówi: "Me bierz mi

Kruczka", a przecież Marcin zawsze z Kruczkiem wszędzie chodzi, bo pies sam do

niego przybiega. Dla czegożby dziś, przy imieninach, miało być inaczej? Może

trzeba będzie trochę dłużej czekać, zanim Kruczkowi uda się wyrwać ale on się tu

zjawi. Tymczasem Marcin opiera, się o mur, chustkę z butami umieszcza pod pachą

i przelicza dwa złote groszy dwanaście, jakie na wszelki wypadek dała mu

majstrowa na sprawunki.

Przeliczywszy, chowa do kieszeni i oddaje się najspokojniej obserwacyom

meteorologicznym. Widzi, że wicher, który nad ranem srożył się tak bardzo, ustał

teraz prawie zupełnie, a w zamian ziemia nieco rozmiękła i po niebie przesuwiają

się szybko wielkie, gęste chmury, jakby zanosilo się na nową jaką zawieruchę.

— Deszcz, albo śnieg — myśli. — A może jedno i drugie naraz. Bo i to się

zdarza. E, coto za świat taki! Nie dość było wichru zrana? Teraz znów zacznie lać i koniec!

O! o! już pierwsza kropla spadła! E, z taką robotą!
Tymczasem z Kruczkiem stało się, jak Marcin przewidywał. Stara
głucha Katarzyna,
szwędająca się co chwilę do sieni, w której miała różne rupiecie
kuchenne,
uchyliła drzwi i pies, czychający na taką sposobność, znalazł się w
sieni, a
zamtąd wprost wybiegł na ulicę. Obejrzał się dokoła, pokręcił nosem
i w
podskokach puścił się za narożnik domu, jakby wiedział, że chłopak
tam czekać
musi.

— Kruczek, Kruczuś, wydostałeś się przecie!
I pies nie posiada się prawie z radości.
Na dalsze jednak figle nie ma teraz czasu. Zastać właściciela kamasy
w domu —
to wszystko, o czym chłopak teraz myśli. W susach więc, poprzedzany
przez
drepczącego szybko i oglądającego się co chwilę psa, puszcza się ku
Chmielnej,
gdzie mieszka ów urzędnik z kolei.
Gdy zbliża się ku sklepikowi Karolowej, gdzie zwykle bierze
drobiazgi dla
majstrowej i gdzie lubią go nawet dosyć, zbiera go ochota wstąpić i
przymówić
się z ręcznie o dzisiejszych swoich imieninach. Karolowa dałaby
bułkę, może nawet
świeżą. Ale nie ma czasu. Zastać — zastać! Wstąpi z powrotem, z
pewnością
wstąpi, ale teraz trzeba dymać.
Dyma też, pogwizdując, ale nie ogląda się wcale, aby go co nie
skusiło do
mitręgi. Dla większego bezpieczeństwa nasuwa czapkę majstrową
prawie na oczy same.
Strzeżonego Pan Bóg strzeże! Z powrotem będzie można wszystkiego
sobie pozwolić,
ale nie teraz. Na nic więc nie pyta, tylko biegnie. A biegnąc, prawie
nie odrywa

nóg od ziemi, ale, o ile równość terenu dozwala, posuwa się w wielkich susach, cały podany naprzód, ze zgiętymi kolanami, niby na łyżwach. Tak już przywykł, biegając latem w pantoflach bez napiętków, zrobionych ze starych kamaszy. Pantofle takie zleciałyby z nóg, gdyby się w nich chciało chodzić, jak chodzą zwykle ludzie. Zresztą, obecnie posuwanie się takie czyni wielką, ulgę jego skaleczonej nodze, której zginać między piętą a palcami nie może, bo boli jeszcze trochę, nawet w tym podwatowanym trzewiku Katarzyny. Pomimo wszystkiego, Marcin czuje się teraz jakimś rzeźkim, swobodnym, lekkim — sam nie wie czemu. Dobrze mu jest, bo ma ulicę przed sobą i za sobą — bo majster i majstrowa daleko, coraz dalej — a choć majstra i majstrową lubi, przecież im dalej od nich, tem lepiej. Pies, uwijający się koło jego nóg i węszący często po pod murami, dostrzegł obecnie coś, co go zajmuje i zaczyna wysuwać się naprzód. — Kruczuś! — woła Marcin. Kruczuś ogląda się z lekceważeniem i mknie dalej. Marcin udaje, że zatrzymuje się przed jedną z kamienic, ale pies zna się na dramatycznej sztuce. Czuje, że to jeszcze nie cel podróży i nieprzekonany wcale, zaszczekawszy radośnie, ucieka naprzód. — Mądry jucha! Jest w tem i pochwała i wyrzut zarazem, ale zawsze więcej pochwały. Wcale to nieźle, że pies mądry. Mądrym zawsze lepiej na świecie i innym ludziom z mądrymi lepiej. Puściwszy wodze myślom na temat mądrości i uradowany swemi aforyzmami

filozoficznymi, czuje chęć zaśpiewania. W śpiewie on wiele wyrazić potrafi, wprawdzie tylko dla samego siebie. Właśnie melodia jakiejś katarynkowej polki płacze mu się po głowie. Przypomni ją sobie do reszty, zagwizdawszy:

Ujt-ta, ujt-ta, ujt-ta-ta,
Tit-ta, tit-ta, tit-ta-ta!....

Wkrótce jednak uczuwa, że gwizdanie nie wyraża dobrze jego obecnych myśli, choć dobrze oddaje melodyę. Stara się więc dobrać jakieś słowa. Parę razy zaczyna, wraca, ustaje, aż wreszcie improwizuje w takt płątającej mu się po głowie melodyi:

Lepiej z mądrym kwatereczkę,
Niżli z głupim wypić beczkę!....

Nie jest pewien, czy mu się to skomponowało, czy też tylko przypomniało. Ale mniej-sza o to, bo właśnie melodyi zbywa jeszcze na drugie dwa wiersze, a tych, jak niema, tak niema. Trzeba więc dalszą myśl powierzyć znowu gwizdaniu:

Ujt-ta, ujt-ta, ujt-ta-ta!....

A tymczasem drogi coraz więcej ubywa, ale też i zraniona noga zaczyna się znowu dawać we znaki. Snać wata ze starego rękawa Katarzyny musiała się uleżeć, coraz więcej się ubija i coraz mniej obtula zranione miejsce. Chłopak więc znowu troszeczkę kuleć i napadać na chorą nogę zaczyna.

Na szczęście, już nie daleko. Tam odpocznie chwilkę, a w drodze po sprawunki i z powrotem do domu, nie będzie potrzebował spieszyć się tak bardzo, więc też i noga mniej mu dokuczać będzie. Numeru domu, do którego dąży, nie wie, ale sam dom jest mu dobrze znany. Ten żółty, trzypiętrowy, pierwszy za tym ogródkiem ze sztachetami żelaznymi. Ślepy-by trafił. Zaczyna teraz myśleć o tem, czy dostanie co za drogę? Myśl ta nie opuszcza go już ani na chwilę i pochłania całą jego uwagę. Sześciogroszniak, czy dychacz? — a może tylko trzygroszniak wytarty?... Nie lubi trzygroszniaków, bo nie wiedzieć, co za to kupić. Na bułkę za wiele, na cośkolwiek do niej zamało. Ani przypiął, ni przyłatał. Najlepszy dychacz. Aby tylko nie fałszywy, nie taki, jakiego raz dostał od pana Gwazdralskiego, emeryta z Pańskiej ulicy. Trzy przekupki przyjąć go nie chciały; czwarta już miała go wrzucić do kobiałki między inne, ale się spostrzegła, nawymyślała Marcinowi od złodziejów i o mało co nie uderzyła go w kark. Zaniósł wreszcie nieszczęśliwego dychacza do starej Madejowej, ta niedowidzi i fałszywy pieniądz wzięła. Ale to wszystko nawet nie opłaciło się. Przez długi czas bowiem przechodził koło sklepiku Maciej owej ze spuszczonej oczyma, a i dziś jeszcze, gdy sobie o tem nagle przypomni, nie może jej wzroku wytrzymać.

— A przecie to pieniądze niezła rzecz! — myśli.

Naraz, ustępując z drogi jakiejś grubej jejmości, potyka się na nierównym

chodniku i co tylko nie pada. Aż mu świece w oczach stanęły, tak się uraził w
bolącą nogę. Przytem, zdaje mu się, że coś zadźwięczało na chodniku.
— Rany boskie! Pieniądze majstrowej! Staje jak wryty, zimno mu się
w krzyżach
zaczyna robić, twarz pali go, włosy, zwykle sterczące, teraz prawie
majstrową
czapkę na głowie mu podnoszą, tak powstają ze strachu.
— Jezu! Marya! może pogubił!
Wytrzeszcza bure oczy, roztwiera usta, zatrzymuje oddech i zaczyna
gorączkowo
liczyć. Jedna złotówka, dwie i groszy dwanaście! — Oj! — oddycha
ciężko.
Jest wszystko — zdawało mu się, czy co? A jednak nie chce wierzyć
swemu
szczęściu. Liczy więc drugi raz. Wszystko dobrze. Cóż on znowu,
Boże jedyny!...
Ale mogło być zginąć. Kieszeń słaba, ledwie się trzyma. Trzeba
będzie teraz
lepiej schować. Najbezpieczniej trzymać w dłoni, a nie tkać po
chaderach. Tak go
uczono; tak najlepiej...
Lecz oto i kamienica, w której mieszka ten urzędnik z kolei. A
Kruczek, szelma,
zapędził się o parę domów dalej, wynagradzając pośpiechem
czekanie, które go
niecierpliwiło, podczas gdy Marcin przeliczał pieniądze. Trzeba psa
przywołać.
— Fift, fift! — gwizdże Marcin, zatrzymując się przed bramą.
Pies ogląda się, staje, ale nie dowierza i nietylko nie rusza się z
miejsca,
lecz nadto zdradza intencję biegnąć dalej przed siebie.
— Tu, Kruczek, tu!
I to nadaremne. Dopiero gdy Marcin wsuwa się w bramę, pies
straciwszy go z oczu,
przekonany w znacznej części, rejteruje szybko z powrotem.
— A widzisz, psi synu! — wita go Marcin, zmierzając ku schodom.

Oj! ale ta noga! Idąc po schodach, trzeba ją zginać między piętą a
palcami, oj!
a to boli! Aż się w kolanie ciepło robi. Oj, piecze!... nie żarty!
Ale iść przecie trzeba. Kruczek dostał się już na drugie piętro i
wystawiwszy
swoją łeb, spogląda jakby ze zdziwieniem na swego towarzysza, który
tak zawsze
dymał na wyścigi po każdym schodach, a teraz wlecze się powoli!...
— Oj! uysst!
Uraził się bardzo na skręcie. A to ci ból! Aż oczy na wierzch wyłażą.
Przecież i to się skończyło.
Pan urzędnik z kolei, był w jakimś dziwnie dobrym humorze. Gderał
trochę dla
zwyczaju, ale zapłacił majstrowi, a że z butów był widocznie kontent,
dał dwa
sześciogroszniaki i jedną kopiejkę za drogę. Trochę tylko przytem
gniewał się na
psa, który zabłocony wpadł do mieszkania obcesowo, a wygnany z
trudem i hałasem
na schody, skowyczał i drapał się do drzwi niemiłosiernie.
Ano, teraz trzeba wracać.
Ale oto schodzić po schodach jeszcze gorzej, niż wychodzić. Na nic!
ani rusz!
Łapa rwie i pali. Co tu robić? co robić?
Chwilkę stoi, myśląc. Nagle ogląda się trwożliwie dokoła. Już jest —
już wie co
robić. Trzeba tylko pieniądze dobrze schować, ażeby się nie
rozsypały. Rozdzieli
je sobie na dole, a tymczasem wszystko razem: swoje czternaście
groszy,
pieniądze majstrowej i należność dopierocoodebraną, wiąże w róg
chustki czerwonej, pozostałej po butach. Na schodach
cisza, nie ma nikogo. Dobra nasza, a więc jazda.
Kładzie się okrakiem, na brzuchu, na gładkiej poręczy od schodów i
przytrzymując
się rękami, zsuwa się na dół dość szybko. Już oto jest na pierwszym
piętrze. Ale

Kruczkowi nie bardzo się to jakoś podoba i zaczyna krzyczeć
wniebogłosy.

— Kruczek!... będziesz ty cicho!... jeszcze kto wyjdzie i wszystko
przepadnie... Kruczek....

Kruczek przybiega i łasi się życzliwie, ale ilekroć Marcin chce dzieła
swego

dokończyć, tylekroć pies zaczyna szczekanie na nowo.

Nie ma rady.

— Głupi pies! — decyduje Marcin stanowczo. I czyniąc z wysiłkiem
kilka kroków,

udaje, że schodzi, jak ludzie. Kruczek, oszukany, odwraca się i zbiega
szybko,

tymczasem zaś chłopak dosiada znów żwawo poręczy i zsuwa się na
dół. Pies miał

czas zaledwie tylko raz gębę do zaszczekania otworzyć, a Marcin
trochę tylko

uraził się w nogę z pośpiechu. No, ale udało się, nikt nie widział —
stróża w

sieni nie było.

Pies i chłopak wydostają się znowu na ulicę. Tam Marcin widzi, że
domysły co do

pogody nie zawiodły go wcale. Mróz nie wytrzymał. Drobny, a gęsty
deszcz

jesienny zaczyna padać, jakby miał za cel jedno tylko: narobić błota.

Pies też

troskliwy o swoją skórę, z mniej-szą niż przedtem kroczy fantazyą.

Chłopak natomiast deszczu tego i błota zdaje

się wcale nie odczuwać. Teraz mu jakoś o wiele swobodniej i lżej.

Przypisuje to

butom, których się pozbył, nie zaś obowiązkowi, który w połowie
wypełnił.

Czternaście własnych groszy czuje w kieszeni, kroczy więc wielkimi
susami i

śmieiej jakoś spogląda dokoła. Gwiżdże lub przyśpiewuje
naprzemian:

Szewc pułkownik kropił żwawo,
pod Warszawą — za Warszawą!...

Na rogu Marszałkowskiej Kruczek się zatrzymał. Nie wie, gdzie
towarzysz jego się
skieruje, a przez błotnisty gościniec przechodzić nadaremnie nie chce.
— Kruczuś! psia nogo! Dalej, ku Żelaznej!
I powiedziawszy to, pierwszy daje psinie przykład: jak to się przez
błoto
przechodzi. Mianowicie, idzie na oślep, nie patrząc pod nogi. Kamasz
nie z
cukru, trzewik starej Katarzyny także, to się nie roztopią.
Wszedłszy w Marszałkowską, przeciska się z isticie kocią zręcznością
pomiędzy
przechodniami, prześcigując wszystkich, a nie potracając nikogo. Co
chwilę
jednak traci teraz Kruczka z oczu. Ze swej strony, pies także zgubił
swego
towarzysza parę razy i dopiero musiał go odszukiwać. Ostatnim razem
odszukanie
przy-szło mu z niemałym trudem, z czego pojętna psina wyciągnęła
widocznie naukę i
nie oddalając się już, drepcze za nogą Marcina. Na rogu Siennej i
Marszałkowskiej, chłopak, przechodząc przez gościniec, wpakował
nieuważnie całą
nogę w kałużę błotnistej wody, aż bulknęło i obryzgało jakąś idącą
przed nim
panią, w pięknym aksamitnym płaszczu. Pani ta oburknęła
nieostrożnego chłopaka.
Ale Marcin wyprzedził ją najspokojniej i nie zwrócił wcale uwagi na
naganę.
Jedynie tylko pozostał mu przed oczyma piękny aksamitny płaszcz tej
damy. O nim
też myśli widocznie w tej chwili, bo poczyna pod nosem nucić:

Fitu, fitu, fitu, fitu!
Pełna skrzynia aksamitu!...

I idzie dalej. Najgorzej jednak, że trochę wody naciekło do trzewika
Katarzyny.

Ale to nic, owszem, wilgoć zaczyna chłodzić rozognioną, nogę. Czuje pewną ulgę.

Szkoda, że nie więcej się wody naląło, byłoby mu jeszcze lepiej.

Poradzi sobie i

na to. Właśnie rynsztokiem płynie brudna woda, którą stróż jakiś z góry miotłą

popędza. Staje nad tym rynsztokiem na jednej zdrowej nodze, a chorą wraz z

trzewikiem zanurza po kostkę, raz i drugi. Oprócz owego stróża, nie brakuje i

innych świadków tej sceny między przechodniami, ale co tam komu do figlów małego

szewckiego chłopaka. Najgor-sze urwisy te szewckie chłopaki, a

Marcin ma swój przyszły fach wypisany na

czole, na twarzy, na plecach — w całej swej postaci.

On sobie też nic wzajem z przechodniów nie robi, bo i co komu do niego. Na ulicy

wolno, co się podoba — bo ulica nie warsztat majstrowy. Czuje, że zimna woda,

jaka obficie nogę zamoczyła, znacznie mu ulżyła — i jest ze swego pomysłu bardzo

zadowolony. Trochę tylko bulkocze w trzewiku. Ale Marcina to bawi tem więcej.

— Bul, bul, bul, bul, bul, bul! — w takt przyśpiewuje sobie.

Ale oto znowu Kruczek się oddalił i stracił z oczu swego małego pana. Stracił

tym razem na dobre, bo przebiegł na drugą stronę ulicy i tam kręci się, jak

oparzony. Biegnie to naprzód, to znów cofa się, strzygąc postawionemi w górę

uszami i zwracając szybko głowę na wszystkie strony.

Marcin patrzy na te kłopoty psiny obojętnie.

— A widzisz, psia nogo, nie odchodź! — myśli.

Zbiera go też ochota dać nauczkę Kruczkowi, który zresztą widocznie trop już

odnalazł, bo maszeruje przez gościniec z powrotem na lewą stronę ulicy. Już,

już, ma odnaleźć swego kompana, gdy nagle Marcin daje susa do
pierwszej bramy i
tam się kryje, od czasu do czasu wychylając tylko głowę, dla
przyjrzenia się
biedzie zatrwożonego psa. Ten jednak dotąd tropu nie zgubił.
przebiega kilka razy tam i napowrót,
ogłędając się na wszystkie strony, ale nie oddala się od miejsca, w
którem skrył
się chłopak. Wreszcie wpada za wężem do bramy. W tej samej
chwili Marcin
wrzeszczy:
— A tuś mi!
Pies odskakuje przestraszony, ale natychmiast łasić się zaczyna i
skomli
radośnie. raz już trzyma się blisko Marcina i tak obadwaj dochodzą do
bramy
Saskiego Ogrodu, wprost Marszałkowskiej.
— Paszoł! won! z psami nie lizja!
— E! panie policyjan, cóż to komu szkodzi. taka psina? E! pan ino
tak żartuje!
Tędy mi bliżej!... puśćże pan!
— Paszoł!...
Teraz już strażnik na dobre występuje przeciw intruzom, gotów nawet
czynem
poprzeć swój zakaz, bo jakoś nie w najlepszym jest właśnie humorze.
Marcin czuje
siłę prawa i ustępuje ale nie bez protestu.
Zabezpieczony bowiem kilkunastu krokami dystansu i żelaznymi
sztachetami, woła z
oddali
— Ale! widzicie go! jaki pan! Salceson, kajdaniarz! Pódź-że!. Sal-ce-
son! —
dodaje, wybijając dla wyrazistości każdą sylabę z osobna.
Strażnik pozostaje na swem miejscu, poważny i sztywny, jak
przedtem; Marcin zaś,
znawszy satysfakcyi, kieruje się w Królewskąą Graniczną. Kruczek,
jak gdyby rozumiał całe poprzednie zajście, kroczy

przodem pochylony, skurczony, smutny, ze spuszczonym ogonem.
Chłopak, zamiast
mieć urazę do psa, że przez niego musi dłuższy kawał drogi robić,
owszem, uczuwa
nawet jakieś nowe, nieznane mu dotąd współczucie dla swego
towarzysza.

— Kruczuś! biedna psina! Nie chciał cię salceson wpuścić,
nieboraku! nie
chciał!

Psina odczuwa politowanie w tonie, jakim te słowa zostały
wymówione, kręci też
ogonem przychylnie i ogląda się z wdzięcznością, na swego druha.
Z myślą, o upartym stróžu bezpieczeństwa publicznego, dochodzi
Marcin do targu
za Żelazną Bramą.

Już na Marszałkowskiej, wpośród licznych przechodniów, nie znać
było prawie ani

psa, ani chłopaka. Tu, w tem jeziorze ścisku, gwaru, tumultu,
zamieszania,

krzyków i nawoływań — giną oboje, niby dwa małe kamyki.

Pies ma ochotę tu i owdzie zaglądnąć. Ale już pierwsze wetknięcie
nosa w jakiś

koszyk, stojący na rozmięklej od deszczu ziemi, nie powiodło mu się.
Dostał w

kark kopyścią od masła. Zresztą obawia się stracić z oczu swego
towarzysza.

Marcin znów musi chronić zranioną i coraz więcej dokuczającą nogę
przed

wielkimi butami chłopskimi, następującymi mu prawie na
samepięty. Jakiś czas udaje mu się to wcale nie źle. Popychany,

popychając wzajem

fale różnobarwnego tłumu, snującego się przed nim, przeciska się
wraz z

Kruczkiem wązkim szpalerem, pomiędzy dwoma rzędami
rozłokowanych przekupniów.

Przecież w tym natłoczonym kanale zdołała go osiągnąć jakaś wielka
i ciężka

noga, która spiesznie dążąc z przeciwnej strony, wysunęła się nagle naprzód i

znalazła fatalne oparcie właśnie na zbolącej stopie Marcina.

Chłopak z bólu i syknął i wrzasnął jednocześnie.

— O rany, rany! Jezus! Jezus! Bodaj cię skreśliło!

Utrzymuje się na jednej nodze. Aby zaś nie stracić równowagi, opiera się rękoma

o plecy stojącej przed nim z koszyczkiem jakiejś młodej kuchareczki.

Ale w tym ścisku targowym, i wykrzyknik i syknięcie i klątwa

przechodzą bez

wrażenia. Nikt nie pojął Marcina, nikt pojąć go nie chciał, nikt nie miał na to

czasu. Tylko owa młoda kuchareczka z koszyczkiem, okazuje swe niezadowolenie:

— No, no! Cóż to znów za opieranie! Proszę sobie sprawić parafan!

W każdej innej chwili, Marcin nie omieszkałby popisać się ze swą erudycją. Wie

bowiem dobrze, że parawan nigdy nie służy do opierania się. Domyśla się też, że

owa kucha-reczka musi być początkującą, niedawno zapewne służy w domu, w którym jest

sprzęt podobny w użyciu, i że też z tego powodu pomieszały się jej nazwy: fotel,

taburet, parawan, znane Marcinowi, zaprzyjaźnionemu z chłopakiem od tapicera

Krztusińskiego.

Ale teraz nie ma wcale ochoty do uczenia kogośkolwiek.

Podrażniona w tak niespodziewany i dotkliwy sposób noga rwie, pali i piecze.

Pewnie znów krew łać się zaczęła, bo jakoś znowu ciepło mu się w trzewiku

zrobiło.

— Ojoj!

Ani stąpić! Nie dotrze już do Madejowej, u której majstrowa zakupy poczynić

kazała, a przynajmniej nie dotrze teraz. Niech się tam lud trochę przegarnie i

niech się noga znowu uspokoi. Trzeba się obecnie z tego ścisku wycofać, na trotuar, pod ścianę, od strony Żabiej. Tam oprze się o mur i odpocznie. Czuje, że to najlepszy na razie pomysł, choć wykonać go nie bardzo łatwo. Tłumy bowiem, jak płynęły, tak płyną, wrzeszczą jak wrzeszczały, zajęte sobą. jak przedtem.

Przecież, kulejąc i postępując za ludźmi, przy kilku bolesnych stąpieniach, dostaje się, gdzie zamierzył.

Na chodniku tym istotnie mniej trochę ludzi, ale za to więcej żydów, suma więc krzyków i zamieszania ta sama. A Marcin żydów nie lubi. Dlaczego, tego dobrze nie wie. Za-pewne dlatego, że nie lubią ich wszyscy, co go dotąd w życiu otaczali. Gdyby nie ta noga, dałby on im się tu we znaki! Ale teraz nie mógłby w razie potrzeby szybko zmykać.

Przecież, gdy koło niego przesuwa się stara żydówka z koszem, pełnym wędzonych śledzi, Marcin, oparty plecami o mur, kładąc dwa palce w usta, wydobywa silne, przeraźliwe gwizdnięcie.

— No, no! ty paper! Nie możesz ty dać pokój, ty...

Napływająca fala ludzi nie pozwala dalej mówić zaczepionej żydówce i pociąga ją za sobą.

Marcina zresztą żydówka i żydzi przestali już interesować. W tej chwili bowiem z

Żabiej wysuwa się niemiec z katarynką i małą, przebraną za damę w kapeluszu z

piórami i niebieskiej sukni z falbaną. Marcin Niemców nie lubi, na równi z

żydami, ale za małpami przepada. Parę już razy je widział, ale tamte miały

sukienki czerwone lub zielone, ta zaś ma niebieską. Zapomina więc o nodze i miesza się w tłum gapiów, złożony w trzech czwartych z takich jak on sam wyrostków, którzy towarzyszą sztukmistrzowi od miejsca do miejsca, wstępując z nim na podwórza domów, gdzie zazwyczaj odbywają się przedstawienia, podobne jedno do drugiego, jak dwie krople wody. Ale tych spek-tatorów nie nuży to wcale, bo jak użyć, to użyć... Marcin tym razem pozwala sobie trzech przedstawień, że zaś małpa bardzo mu się podoba, kupuje jej więc w drodze orzechów za dwa grosze, a trzy grosze kładzie przed niemem, na katarynce. Robi to między widzami wrażenie, z czego też Marcin jest dumny. A duma to tego samego stępa, z pod którego wychodzi fanfaronada rujnujących się na baletniczki. Ale trzeba wracać ku targowi, bo sztukmistrz, dając ostatnie przedstawienie na Zimnej, skręca ku Elektoralnej — i chowa małpę pod kaftan, a to nie wróży rychłego nowego widowiska. Wracając, uczuwa Marcin dopiero, że noga boli jak przedtem, choć nie bolała wcale przy komedjach małpy. Po doznanych wrażeniach przyjemnych a tak niespodziewanych, ogarnia go też jakieś zniechęcenie, przesyt i lekceważenie. Poszło groszy pięć, niech idzie i reszta z czternastu, otrzymanych od urzędnika z Chmielnej. Zaraz więc na rogu Zimnej kupuje sobie kukiołeczkę z makiem za trzy grosze i dla Kruczka także za trzy grosze salcesonu. Ten ostatni pachnie tak mile, że

chłopaka zaczyna zbierać ochota zamienić się z Kruczkiem. Nie robi jednak tego,

tylko dzieli się z nim po równej połowie. A gdy pies wyskakuje uradowany,

przemawia do niego najpoważniej: — Lepszy jestem od majstra, co? Pies mu nie odpowiada nic, ale inny jakiś głos odzywa się tuż nad jego uchem:

— Cóż ty, smyku, psu salceson kupujesz?

To Antek od powroźnika z tego samego domu, w którym mieszka Marcinkowy majster.

Marcin nie żyje z Antkiem w przyjaźni, bo najprzód, że powroźnicza czeladź

pogardza "kopyciarzami", a powtóre, że Antek jest już chłopakiem na wyzwoleniu,

o dwie głowy od Marcina wyższy i o połowę od niego starszy. Marcin też prawie

zdziwiony jest odezwaniem się Antka. Odpiera jednak hardo:

— Cóż mi to nie wolno za moje pieniądze?

— Będziesz ty mieć twoje, jak oskarżę staremu!

Marcinowi nie dobrze się robi na wspomnienie majstra — milknie więc, nie wiedząc

co odpowiedzieć.

— Lepiejbyś — ciągnie dalej Antek — mnie oto pożyczył z parę groszy, bom

głodny, a nie psa karmił. Żadnym dziś obrywki nie miał.

Marcin z niedowierzaniem spogląda na Antka z pod daszka od majstrowej czapki,

spadającej mu na oczy.

— E! nie miałeś! Tybyś nie miał obrywki!

— Jak mi Boga trzeba, ani grosza, zły dzień!

Taka jakaś szczerłość jest w tej odpowiedzi, że Marcin sięga do kieszeni. — Zostało mi trzy grosze jeszcze — rzecze.

— A więcej nie masz?

— Nie.

— No, to dawaj te trzy chociaż.

— Ale oddasz?

— To się wie, że oddam.

— Jak Boga kochasz?

— Jak Boga kocham...

— I Matkę Boską?

— I Matkę Boską....

— Z pewnością?

— Z pewnością...

— A kiedy?

— Jutro... A dajże smyku, nie bój się! Możesz mi kości poprzetrącać, jakbym nie oddał.

— No, pamiętaj!

I Antek z trzygroszniakiem znika wkrótce spiesznie, a Marcin, przekonany właśnie

ostatnim argumentem Antka, ani myśli, że gdyby przyszło do egzekucji tej

pożyczki, w takim razie nie silny Antek, ale sam egzekutor, jako o połowę

mniejszy, wyszedłby z poprzetrącanymi kośćmi.

Wszystko to jednak bardzo się Kruczkowi nie podoba. Znużyło go już to ciągle

zatrzymywanie się, co parę kroków. Unosi się też na tylnych łapach a przednimi

opiera się o Marcinka i poczyną skomleć żałośnie, jakby wołał:

Pójdźmy,

pójdźmy!"Wtedy Marcin odzywa się do niego z wyrzutem:

— Widzisz, Kruczek, nie chcesz dziś trochę poczekać, przy moich imieninach? A

salceson ci smakował?

Ale pies nie chce już teraz słuchać żadnych tłumaczeń. Kręci się niespokojny,

znudzony, skomli żałośnie i ciągle opiera się o chłopaka, jakby go chciał z

miejsca ruszyć koniecznie.

Wówczas Marcin odwraca się od niego, wołając zniecierpliwiony:

— Toś mógł siedzieć w domu! Podoba mi się tu stać i będę stał na złość!

I w dalszym ciągu, oparty plecami o ścianę domu, z rękami w kieszeniach, zaczyna

rozglądać się po placu targowym, gdzie jeszcze ścisk wielki panuje.

Szynk koło szynku w całym tym szeregu domów, przed każdym zaś
stoi masa ludzi,
chłopstwa, obdartusów i żydów. Najliczniej jednak obleżony jest ten
szynk na
rogu Zimnej, opodal którego Marcin właśnie się znajduje.
A zna on go doskonale.
Tam przeważnie murarze się schodzą. Tam często chodził wraz z
matką szukać ojca,
po robocie dziennej odpoczywającego. Tam później, po śmierci matki,
wodził go
ojciec z sobą, zwłaszcza w zimie, gdy roboty murarskie się
pokończyły. Tam
widział czasem ojca pijącego, kłócacego się, lub, co rzadziej,
wynajmującego się do bielenia, przestawienia pieca lub czegoś
podobnego. Ojciec, zgodziwszy się do
jakiejś takiej roboty, która w zimie spadała jak z nieba, brał zazwyczaj
z
szynkwasu dwie bułki i serdelek i dając je Marcinkowi, mawiał:
— Trzymaj! A maszeruj mi prosto do domu! Wieczór przyjdę, to i
Walentym za
komorne coś oddam. Niechaj cię z izby nie wyganiam. Ruszaj! A nie
zjedz
wszystkiego naraz, żebyś mi do wieczora był niegłodny!
Odchodząc, według rozkazu, słyszał Marcin nieraz, jak żyd upominał
ojca:
— Pamiętajcie Andrzej! Dwa kieliszki, dwa bulki i jedyn serdyl!
Zapiszemy do
dawniejszego!
— To się wie! Idę przecie na robotę, to będę mieć z czego oddać! —
odpowiadał
ojciec, pewny siebie teraz, a pokorny przedtem i uległy dla żyda. Ten
zaś
Andrzejowi wierzył najwięcej ze wszystkich murarłów, wogóle
bowiem ojciec
Marcinka uchodził za bardzo porządnego człowieka.
I teraz chłopiec widzi przed tym szynkiem samych prawie murarłów.
Jednego z nich

nawet poznaje. To stary Kacper. Wszyscy jednak zajęci są obecnie jakąś żywą rozprawą, a i wewnątrz szynku pełno ludu i wre, jak w kotle. To już nie zwykły gwar kilku napitych" głów, ale jakaś większa kłótnia, która nietylko nie łagodnieje, ale owszem wzmaga się coraz bardziej. W miarę, jak drzwi od szynku się otwierają wpuszczając lub wypuszczając jakiego gościa, na ulicę wylewa się urwany potok strasznej wrzawy i przekleństw.

Do tego szynku chce zajrzeć i Marcin, jakby instynktem wiedziony. Ale napływający zewsząd ludzie i obawa o chorą nogę, nie pozwalają mu ryzykować. Z opowiadań stojących przed szynkiem ludzi, dowiedział się już tyle, że to murarze się kłóca. Trafiała się robota i jeden drugiego chciał podbić", to jest godził się taniej i ztąd przyszło do zwady. Zwykła to rzecz i przeszłaby bez wrażenia, gdyby wojujące strony nie posunęły się do bójki. Żyd z za szynkwasu najwięcej wrzeszczy, ale głos jego tonie w ogólnym chaosie. Parę kufelków frunęło już, kilka flaszek z brzękiem się rozprysło i dwie żerdki od pędzli murarskich zaczynają się uwijać po szynkowni, nad głowami zbitej masy wściekłych, zajadłych przeciwników, miotających obficie przekleństwami, z których ciężka choroba" i Jasne pioruny" najczęściej są wyzywane.

Po za walczącymi stają ich stronnicy, nowych świadków coraz więcej przybywa i wreszcie wejście do szynkowni zostaje tak zatłoczone, że nic już widzieć nie można. A Marcina zbiera ciekawość, tem więcej, że ktoś ze stojących przed

szynkiem zapewnia, iż tam wewnątrz jest już dwóch stójkowych i rewirowy, a

przecież rady dać nie mogą. Będzie porządna awantura, a Marcin awantury lubi. Może kogo nawet wezmą do aresztu? Tem lepiej.

Ale wciskać się wewnątrz nie można, bo z chorą nogą żartów nie ma, a silne

nadeptanie pewne. Zresztą Kruczek do wnętrza szynkowni nie poszedłby, bo już i

teraz odsuwa się wystraszony i ogon zawija pod siebie. Trzeba czekać.

Szczyściem niedługo.

Bo oto zbita masa ludu zafalowała nagle i wypychana widocznie siłą większą,

zaczyna wypływać na ulicę. Tłok, ścisk; cofani z wnętrza szynkowni nie mogą

nawet odwrócić się i tyłem, jak raki, wracają, nadeptując nogi jeden drugiemu.

Marcin też ze swą nogą i wystraszony obok niego Kruczek, cofają się w bezpieczne miejsce pod ścianę.

— Już ich wzięli! Już ich prowadzą! — szemrze tłum.

Robi się nagle otwór i trzech policyantów wyprowadza dwóch murarłów. Jeden,

starszy już człowiek; drugi, młody chłopak i śmigły, jak sosna. Ten też młody ma

rozpłatanе czoło i całą twarz krwią zalaną.

— A! to Wicek! — odzywają się głosy z tłumy i podnoszą się ręce, wskazujące na zranionego.

— To on, on!

— Znany kłótnik!

— Każdemu w drogę włazi! — Ano, przyszło mu na koniec!

— Ale któż go tak pięknie urządził, na rany Boskie? — zapytuje jakaś kobieta.

— Któżby, jak nie Andrzej!

— Ten, co go z nim prowadzą?

— To się wie, że ten.

Marcina coś dławić w gardle zaczyna. Pod majstrową czapką robi mu się gorąco, a w krzyżach zimno.

— Wicek winien wszystkiemu! — woła kilku murarzów nad uchem rewirowemu.

— Tak, tak, Andrzej spokojny człowiek; wszyscy go tu znają! Pójdziemy za nim!

Będziemy świadczyć!

— Dalej, dalej! — woła rewirowy. Marcinowi spodnia warga zaczyna się poruszać nerwowo, a ząb o ząb dzwoni.

— O Jezu drogi! — szepcze bezwiednie, jakby przykuty do muru. W tej chwili, tuż koło niego, przeprowadzają aresztowanych, którzy postępują szybko, otoczeni całą czeredą kolegów i ciekawych, z których każdy wrzeszczy i każdy zabiega drogę, starając się zajrzeć w oczy bohaterom awantury. Wicek,

pomimo rozwalonej głowy, wyzywająco zwraca się dokoła, jakby chciał wszystkim pokazać swą ranę. Andrzej natomiast stąpa ze spuszczonei oczyma, jakby już żałował swego czynu.

Mignęło, przewalił się tłum cały, zasłaniając sobą i policyę i aresztowanych, a Marcin, jak stał tak stoi oniemiały.

Pomimo, że swe bure oczy coraz bardziej wytrzeszcza, coraz mniej widzi.

Zasłaniają mu je łzy, zbierające się szybko pod nabrzękłemi powiekami. Twarz

chłopaka zaczyna się wydłużać, jakby miał ziewnąć, i nagle głośnie szlochanie

wyrywa mu się ze ściśniętej krtani, a przy skurczu mięśni twarzowych, wylewają się też i wezbrane łzy z pod powiek.

Tego trzeba było, aby wrócić go do opamiętania.

Jak przedtem stał nieporuszony, tak teraz zrywa się z miejsca ze zdwojoną siłą i

kulejąc, puszcza się za tłumem, który w drodze do cyrkułu znacznie już naprzód postąpił.

— O rany Boskie! tatuś, tatuś! — oto słowa" jakie się obecnie wraz z głośnem szlochaniem co chwilę z piersi jego dobywają. Kruczek, zadowolony, że raz nareszcie z miejsca może się ruszyć i sądząc, że to nowy jakiś figiel kamrata, biegnie przed nim, wyskakując i poszczekując radośnie. Ale Marcin psa już nie widzi. Pędzi, co sił, a łzy płyną ciurkiem, a noga boli coraz bardziej, a przestrzeni dzielącej go od tłumu niewiele ubywa.

Już ze trzy miesiące ojca nie widział — i nie myślał o nim wcale, chyba wtedy, gdy majster zaczął wymyślać, że druga rata umówionej opłaty za terminowanie nie zapłacona. Mógłby był jednak drugie trzy miesiące go nie widzieć i nicby mu się nie stało. Ale teraz?

Jak go zanikną? Rany Boskie! Co to będzie? Rany Boskie! Dobywa resztek sił. Niech tam już z noga dzieje się, co chce. On musi ojca dogonić, musi go chociaż zobaczyć. Już teraz nic go nie obchodzi Kruczek, nic go nie obchodzą przechodnie, zatrzymujący się po ulicy, jakby dla jakiego widowiska.

Dzięki tym wysileniom, zbliża się znacznie do aresztowanych, prowadzonych środkiem ulicy, po błocie. Właśnie wóz jakiś ładowny nadjeżdża i zmusza postępujących gościńcem, że schodzą nieco na bok. Podczas tego przejścia Marcin dostrzega postać swego ojca. Jeszcze kilka wysileń, a zrówna się z nim i z otaczającymi go zbrojami, bo to wszystko z pewnością zbroje, nie co innego.

Ale w tej samej chwili, na rogu Mirowskiej i Elektoralfnej, przerażliwie skowyczenie psa, rozlegające się tuż obok biegnącego chłopca, odwraca uwagę

wszystkich. Nawet policyanci i aresztowani zwracają się w tę stronę.

— Będzie mu teraz, będzie! — mówi ktoś z przechodniów.

Marcin słyszy to wszystko, ale nie przypuszcza nic złego. Cóżby go już gorszego

spotkać dziś mogło? Gdy jednak przejmujący wrzask nie ustaje, rzuca też okiem w

przelocie, tam, gdzie wielu obecnie patrzy. Co to jest? Wszakże to

Kruczek, ciągniony po ziemi na drągu ze sznurkiem, wydaje

te wrzaski. Marcin na ten widok staje na miejscu iak wryty. Ale

jeszcze nie wie:

co się stało? Cóż to, szatańskie figle, czy co? Naraz zaczyna wszystko pojmować.

A nie bierz mi Kruczka" — mówiła majstrowa.

— Jezus, Marya!

Tam, w Mirowskiej ulicy, stoi wózek, opatrzone kratką u wierzchu.

Marcin zna

wózek ten dobrze. W jednej chwili też skręca w Mirowską i czepia się ręki,

trzymającej fatalny drąg ze sznurkiem, w który zaplątał się Kruczek, wrzeszczący

wniebogłosy.

— O rany Boskie! Panie! Zmiłuj się pan! Cóż panu winna taka mała psina! Jezus

Marya! Panie, ja nie mogę wracać do domu bez niego! Mnie w domu zabijają. Panie

kochany! Złoty panie! Jezus Marya! Puść go pan! O rany, rany!...

Ale złoty pan nie pyta nic; głuchy na wszystkie zaklęcia, odtrąca Marcina; już

oto jest u czekającego w pogotowiu wózka i podnosi Kruczka ze sznurkiem do góry,

a drugi złoty pan otwiera odpowiednie drzwiczki.

Zrozpaczony chłopak pada na kolana.

— Panie! Na najświętsze rany Jezusa! Litościwy Panie!

— Poszedł precz! nie zwracaj!

I Kruczek, podniesiony w górę, znajduje się już na wierzchu skrzyni.
Tu jedna silna ręka chwyta go za kark, druga zaś stara
się rozplątać ze sznurka i wpakować w uchylone drzwiczki, z po za
których
wyglądają ciche, posmutniałe łby innych więźniów.
Nagle coś spadło z wozu na ziemię — mignęło — wrzaski ustały — i
tylko słychać
krzyki:
— Łapaj, łapaj!
Rzeczywiście, w tyle za fatalnym wozem, w pewnym oddaleniu,
czeka trzeci złoty
pan, ale chybia celu. Pies zaskowyczał tylko i pomknął jak szalony w
dół, ku
Mirowskim koszarom.
— O Maryo cudowna! — szepcze Marcin, który, klęcząc jeszcze
ciągle, zaledwie
oczom swym wierzy.
Pomógł tu jednak tylko przypadek.
Z uchylonych wpół drzwiczek fatalnej skrzyni wysunęła się głowa
wielkiego kundla
i ostre jego zęby pochwyciły właśnie tę rękę złotego patia, której
silnemi
palcami trzymany był kark Kruczka, uwolnionego już zresztą zupełnie
z więzów i
wiszącego nad otworem. Złoty pan z bólu i przestachu puścił kark
Kruczka, ten
odbił się o twardy łeb kundla, dał susa i czmychnął.
Tak opowiadają sobie ten wypadek, klnąc na czym świat stoi, trzej
złoci panowie,
zebrani około ruchomego więzienia. Najwięcej interesowany w tej
sprawie,
opatrząc swoją skaleczoną rękę, spostrzega podnoszącego się z
klęczek, za-płakanego chłopaka. Przekleństwo wybiega z jego ust.
— Tyś winien wszystkiemu!
I czarna, ciężka ręka, spada z rozmachem na kark zalanego łzami
chłopaka.
To zemsta złotego pana, pozbawionego łupu.

Ale to już wywołuje interwencję zebranych dokoła przechodniów,
którzy ostro
powstają na tę samowolę. Cała też trójka, wraz z wózkiem, klnąc z
cicha, znika
szybko na zakręcie Mirowskiej ulicy.

— To był twój pies? — pyta jakiś poważny jegomość, który
najenergiczniej
wystąpił w obronie Marcinka.

— Mój... O Jezu słodki... majstra — odpowiada chłopak, bełkocąc i
podnosi swoje
nabrzękłe i jakby błędne oczy, opuchłą i zapłakaną twarz zwracając ku
pytającemu.

— No, więc nie bój się, nie płacz!... On pogonił prosto do domu; nic
mu nie
będzie!...

— Ale... czy tylko... trafi na... Sosnową?...

— Ha, moje dziecko... kiedyindziej możeby zbłądził. Ale po tej
nauczce, ho, ho!

Za parę minut będzie choćby na drugim końcu miasta. No, chodź, a
nie płacz!

— Już... nie... e... pła... a... czę!

— No, cicho zaraz!... Cóż ci to w nogę?

— Ska... a... lecz... o... na...

— No, to wracaj do domu!... Masz tu, a ci-cho, nie płacz!... Dziękuj
Bogu, że się wszystko tak dobrze skończyło...

I dziesiątka utkwiła w ręce Marcina, zanim ją poczuł, zanim zrozumiał
cośkolwiek.

Ocierając zapłakane oczy rękawem, zawraca ku Elektoralnej. Tam, na
rogu,

przypomina sobie dopiero o ojcu.

Już ani śladu.

Po gościńcu biegnie tylko kilka dorożek, przechodnie snują się po
chodnikach,

jak gdyby nic wcale nie zaszło. Łzy poczynają płynąć mu po twarzy na
nowo,

choć już teraz nie chce płakać. Bo i na co? Nie dogoni ani ojca, ani
Kruczka.

Jeszcze Kruczkowi pół biedy, ale ten ojciec!...

— Oj, Boże, Boże!

Ano, trudno! Niech się tam już co chce dzieje. Już mu teraz wszystko jedno.

Majster nie majster — świat nie świat — wszystko jedno! Czuje, że coś w nim

musiało się złamać. Ale złamało się to właśnie, co go tam wewnątrz bolało. Teraz

boli go już tylko noga i dziwi się nawet, że mógł płakać za Kruczkiem, za

ojcem...

Wlecze się, kulejąc okrutnie i co chwilę odpoczywa pod murami kamienic.

Gdy jednak, prawie bezwiednie, skierował się z powrotem ku targowi za Żelazną

Bramą, przypomina sobie sprawunki majstrowej. Wprawdzie już teraz wszystko

jedno, ale co trzeba kupić, to trzeba. — A tyś co znów taki

skrzywiony, jak środa na piątek? — pyta Maciejowa,

odważając kawałek słoniny żądanej.

— Ojca mi wzięli dziś do aresztu — odpowiada łzawo.

— A! Andrzeja, wiem, widziałam...

— Długo też go mogą trzymać? — pyta.

— Długo nie długo, ale wypuszczą i będzie! Wypuszczą i będzie.

Ano dobrze.

Niech

tam wypuszczą. Niech nie wypuszczają nawet; wszystko jedno!

Przecież to jeszcze zdolny jest zauważyć, że już nie tyle, co przedtem, ludzi na

targu. Zrobiło się znacznie luźniej i ciszej. Musi być już koło jedenastej, a

może i dwunasta lub pierwsza nawet. A niech tam już będzie, która chce. Wszystko

jedno!

Będzie pewnie majster bić i to porządnie. Mech bije, niech nawet zabije. Tem

lepiej.

Zimno mu czegoś... drży cały jak osina... tylko głowa i noga gorące.

Tą

ostatnią, ledwo już porusza, taka jakaś zrobiła się wielka i ciężka.
Obiera
najkrótszą drogę: przez Graniczną, Plac Grzybowski, Twardą i
Maryańską, ale co
to już znaczy? Parę razy musi odpoczywać. Przez gościniec na
Twardej nie może
przebiegnąć chyżo, jak zwykle; musi czekać aż przez dłuższą chwilę
będzie ulica
wolna od przejeżdżających dorożek. Nie prędko dojdzie do domu. A
niech tam! Trzecia po południu uderza właśnie, gdy staje we drzwiach
warsztatu, nareszcie.
Jeszcze czapki z głowy zdjąć nie zdołał, gdy już jest bity
niemiłosiernie
twardym rzemieniem i kopany nogami.
Nic dziwnego, majster jadł kartofle bez. słoniny.
A co strachu było! Myślano bowiem, że z pewnością, pieniądze
pogubił. Dzięki
Bogu, pieniądze są wszystkie, nawet jest dziesiątka jakaś więcej. Ale
niemniej
bicie mu się za ten strach, należało.
A Marcin nie szukał tym razem wybiegów, nie tłumaczył się wcale.
Cofał się tylko
przed razami, jęcząc i zasłaniając głowę i nogę, aż. zacofał się na
czworakach
pod ławkę w pierwszej izbie, koło pieca stojącą. Tam dosięgło go
jeszcze parę
uderzeń i jedno kopnięcie, przed resztą zasłoniła go nakoniec stara
Katarzyna. Z
pod tej ławy nie wychodzi już wcale, bo zresztą nikt go nie woła.
Zdawaćby się
mogło, że obiwszy go, zapomniano o nim zupełnie. Kruczek tylko,
jeszcze ciągle
jakiś wystraszony, obwąchał go zdaleka i ułożywszy się koło pieca,
zasnął i
ciężko przez sen wzdycha. Zresztą cisza i spokój, jak gdyby nic się nie
stało.
Wieczorem dopiero, majstrowa dowiaduje się od sąsiadek o
wszystkiem. Ta i owa,

znajdując się na targu, słyszała coś niecoś, Antek od powroźnika
widział nawet
Marcina, widziało go też i stolarzowa z przeciwka. Wiedzą już i o
zdarzeniu z Kruczkim i o
aresztowanym ojcu chłopaka i o jego skaleczonej nodze, czem nawet
stara
Katarzyna usprawiedliwiała długi pobyt Marcina w mieście — wiedzą
o wszystkim,
choć wielu szczegółów pojąć dokładnie nie mogą.
Ale Marcinowi już teraz wszystko jedno naprawdę. Zapędzony pod
ławę, skurczony,
tłumił szlochanie przez chwilę, trząsał się cały, jakby w febrze, aż
zasnął.
Majstrowa zbliża się ze światłem, woła na niego łagodnie, coraz
łagodniej,
nachyla się nawet i potrząsa ramieniem chłopaka — wszystko
nadaremnie.
— Marcin, Marcin, wstań! Zjedz co! słyszysz? Żadnej odpowiedzi.
Tylko za każdym
wstrząśnieniem, z piersi chłopaka wyrywa się potok krótkich,
urywanych
westchnień, wpadających jedno na drugie. I znowu cisza.
Majster nie miesza się do tego wszystkiego. Po skończonej robocie,
kiedy czeladź
wyszła na miasto, zasiadł w warsztatowej izbie z fajeczką w ustach;
duma i
udaje, że nic nie
słyszy.
Majstrowa z Katarzyną naradzają się chwilę i postanawiają, że trzeba
Marcinowi
dać spokój, niech się wyśpi.
Majstrowa wraca do warsztatowej izby zła i bardzo niezadowolona.
Zapominając, że
samawlepiła także chłopakowi kilka szturkańców, odzywa się
szorstko do małżonka:
— E! bo jak ty zaczniesz bić, to już jak zbój! Jakbyś nigdy nie był
ojcem!
— E, gadasz! To nie z bicia! Ma febrę. Jutro będzie zdrow.

— A jak się rozchoruje?

— E! gadasz! Chłopak silny! Przy Boskiej pomocy, nic mu nie będzie.

Stara Katarzyna tymczasem urządziła Marcinkowi legowisko i przeniosła go nań na swoich rękach. Chłopak podczas tego zabełkotał tylko coś niewyraźnie i prawie wcale się nie zbudził.

Majstrowa, widząc to i słysząc, wyciąga ze swego łóżka poduszkę i zanosí do
pierwsze)

— Niech Katarzyna włoży mu pod głowę, mówi, wskazując na chłopaka.

— Już niech się pani nie boi, dałam mu swoją.

— No, to niech Katarzyna tę sobie weźmie.

Dziecko w kolebce zaczyna kwilić i majstrowa wraca czempędzej.

Siada obok,

usypia malca, ale myśli o Marcinku pozbyć się widocznie nie może, bo znowu

zaczyna do męża:

— To nawet wcale nie zły chłopak.

— Phi! trochę wisus! — Cóż chcesz! Jak każde dziecko! Czasem przecie poskakać musi.

— No, prawda...

— Mieliśmy już dziesięć razy gorszych.

— Ba ba! Uciekali, oszukiwali! Ten Stach Janowej, pamiętasz?

— A ja Marcina dotąd na oszustwie nie złapałam.

— No, i ja.

— Hardy też nie jest... posłuszny... przywiązany do domu...

— Phi! wcale dobre chłopczysko!

Całą noc drzemie przy chłopaku głucha Katarzyna, nie rozbierając się wcale do

spania i przy świetle oliwnego kaganka spogląda od czasu do czasu na w pół

otwarte, błędne oczy chłopaka i jego spieczone wargi, z których co trochę

wybiegają splątane wyrazy:

— Ojciec... złoty panie... Kruczek... areszt...

Nazajutrz dobrze już widno, bo samo południe, gdy Marcin oczy otwiera. Nie może pojąć przez chwilę, gdzie jest, co się z nim dzieje? Pod głową miękka poduszka?

Przykryty jakimś kocykiem? Co to jest? Natychmiast też zjawiają się obok niego majster, majstrowa i stara Katarzyna.

Chłopak, wystraszony, robi ruch, jakby chciał zerwać się i uciekać. Ale

majstrowa nachyla się nad nim, dotyka jego głowy i mówi łagodnie: — Jakże ci tam, Marcinku? Chłopczyna robi wielkie oczy, przypomina sobie, że coś zawinił i zaczyna płakać.

— Niech mię pan majster nie bije — mówi łzawo, sięgając do ręki swego zwierzchnika i całując takową.

Majstrowa wyręcza małżonka w odpowiedzi:

— No, no! Nikt cię nie będzie bić, nikt! Jakże, zdrowyś dziś?

— Tak... tak... wstanę zaraz, zaraz, złota pani majstrowa...

— Nie trzeba, poleż sobie... Nic nie szkodzi. Przecie noga cię boli.

Ach, prawda! Przypomina ją sobie. Widzi ją owiniętą w jakąś grubą, ale czystą szmatę.

— Jaka ta majstrowa dobra! — myśli.

Przypomina sobie wszystko powoli, ale czuje się już dziś zupełnie swobodnym.

Gdyby nie ta noga, wstałby nawet zaraz. Pod tym względem majster miał słuszność.

Inne dziecko nie przeniosłoby tego wszystkiego bez szwanku. Ale Marcin?...

Ach, jak mu dobrze! Tak mu teraz dogadzają wszyscy. Żeby nie ten biedny ojciec w areście, to nawet chciałby chorować na tę nogę długo — bardzo długo. Ale, co

tam! Jak tylko wstanie, to poprosi majstra i pójdzie ojca odwiedzić. Po obiedzie zostaje przez chwilę w mieszkaniu sam, z jedną tylko Katarzyną i

Krucz-kiem. Jest to bowiem niedziela. Majster więc i majstrowa, wraz z dzieckiem na ręce, poszli w odwiedziny naprzeciwno, do stolarza Jakóba. Wówczas Marcin przyzywa na migi starą. ex-młynarkę i zapytuje:
— Czy to wczoraj były moje imieniny?
— Wczoraj, biedaku!
Zwracając się zaś do psa, który się w nogach jego posłania układa wygodnie, dodaje:
— Kruczek, psia nogo, coś ty mi wczoraj narobił!

BIEDA

Powisłe. Ulica Dobra. Wieczór styczniowy.
Tam, na górze, wielkie, piękne miasto wre, łśni i szumi, broniąc się, jak może, przed, nudami zmierzchu; tu w dole, nad Wisłą, wicher huczy, świszczy, jęczy i wdziera się przez obfite szpary do nędznej lepianki parterowej, podwórkiem swoim prawie brzegów rzeki dotykającej. Szczególniej upodobał sobie jedną połowę tej chaty, z lewej strony od głównego wejścia, złożoną z dwóch izdebek, mniejszej i większej, a wystawioną na jego harce już od jesieni, od czasu przewrócenia się spróchniałego parkanu.
W izdebkach obu panuje właśnie jakiś gorączkowy ruch, rwetes i zamieszanie.
Głównalokatorka, Jakóbową, żona posłańca kolejowego, odnajmująca prawą ścianę w drugiej, większej izbie, młodemu wyrobnikowi Kajetanowi, a całą pierwszą izdebkę staremu ślusarzowi i bezdzietnej jego małżonce, wrzeszczy najgłośniej wśród tego galimatjasu, nawołując własne swe dzieci do spania:

— Harynka, Józiek, spać, spać mi zaraz! Nie głodniście, spać! —
woła, czyniąc
pomiędzy pojedynczemi zdaniemii stosowne odstępy, uwydatniające
stanowczość jej
rozkazów.

Chłopcu, młodszemu, kleją się błękitne oczki, jakby właśnie
posłuszne rozkazom
gderliwej matki. Ale starsza nieco od braciszka dziewczynka,
przykrywając się
matczynym kaftanem, pyta z wrodzoną dzieciom natarczywością:

— Mamo, a czemu Kajetanowa tak stęka?

— Głupiaś! Cicho mi zaraz! Spać! — odpowiada matka.

Ojca tych dzieci, posłańca Jakóba, niema jeszcze w domu. Przyjdzie z
Pragi koło

pierwszej w nocy, po odejściu ostatniego pociągu petersburskiego.

Natomiast lokator pierwszej izdebki, stary ślusarz, kończący o szóstej
robotę w

fabryce, zagryza właśnie swoją kolację, około której krzątała się
przed chwilą

dla niego, również jak on stara, małżonka.

Jest ona czegoś niezadowolona. — Nie będziemy mieć nocy spokojnej

— mówi, oplakując garnek po kartoflach.

— Więc to dziś? — pyta ślusarz, przetykając kawałek chleba, rodzaj
deseru.

— Zdaje się! — odpowiada krótko, jakby niechętnie, małżonka.

Istotnie, spokoju niema w tej nieszczęśliwej drugiej, większej izbie;
bieganina

ani myśli tam ustać.

Z pod ściany, prawej od okna, odzywają się z posłania, w miarowych
odstępach,

jęki młodej kobiety. Najwięcej zainteresowany niemi wyrobnik

Kajetan, człowiek

młody, zaledwie dwudziestodwuletni, biega, sam nie wiedząc co robi.

Niemniej

żwawo, ale z zupełną już świadomością, krząta się jakaś podstarzała
kobieta,

specjalnie na noc dzisiejszą zamówiona. W prawym kącie izby

Jakóbową ucisza

jeszcze jedno ze swych dzieci, nie mogące zasnąć; pod oknem odzywa się ciężki,
miarowy chód starego zegara; izbę oświeca mdłe światło lampki naftowej,
okopconej przez ciągle przenoszenie z miejsca na miejsce. A na dworze wicher
jęczy, zawodzi żałośnie, drwiąco, smutno... A w górze, niedaleko, wielkie
śliczne miasto nie chce się nudzić, nie chce...
Wreszcie, przed samą dziewiątą wieczorem, skończyło się wszystko. Właśnie
znużone dzieci Jakóbowej już spały, gdy do ośmiu oddechów, trawiących powietrze
obu tych ubogich izdebek, przybył nowy, dziewiąty oddech. Jakób, wróciwszy z "ostatniego"
pociągu, dopełni okragłej cyfry oddechów dziesięciu...
Dobrze więc, że ten wicher świszczy; dobrze, że w ścianach drewnianych są
szpary. On to i one odświeżają cokolwiek duszne tych izdebek powietrze, w którym
unosi się obecnie mocna woń ziół, uprzywilejowanej "anodyny" i amonjaku. Dławi
ona gardła zarówno śpiących, jak i czuwających jeszcze i zmusza co chwilę któreś
z nich do głośnego kichnięcia.
— Co tam? co? — pyta Kajetan, mając na twarzy, zmieszane pospołu, wyrazy
bojaźni i zaciekawienia.
— Cóżby? Wszystko dobrze! Chłopiec! Wiedziałałam, że tak będzie!
— odpowiada
stara kobieta, takim jednak głosem, który wcale nie potwierdza ani powyższej
wróżby, ani jakiegokolwiek uradowania, owszem świadczy o obyciu się starej ze
swojem rzemiosłem.
— Chwała Jezusowi! — szepcze młody wyrobnik.
I kicha głośno.
— Szelma ten amonjak! — dodaje.

— Uhmhm! — jęczy przeciągle młoda kobieta.
— Cichoście! — przemawia Jakóbowa, wyszedłszy ze swego łóżka.
— Wszystko już
ano dobrze!... Cichoście! — powtarza — pobudźcie mi dzieci...Malec
tymczasem wrzeszczy wniebogłosy, jakby go ze skóry łupiono.
— Krzykliwy jakiś bachór! — decyduje stanowczo stara kobieta. —
A nie bardzo
silny! — dodaje po chwili. — Trzeba go ochrzcić choć z wody...
trzeba!...
I skrapia malca święconą, wielkanocną wodą, mrużąc nad nim
pacierz niedbale.
Bezdzietna ślusarzowa, upewniwszy się naocznie, iż ulicy Dobrej
przybył nowy
obywatel, wraca do swojej izdebki i trącając w ramię spoczywającego
męża, mówi:
— Słyszysz, stary? Chłopiec?
— Słyszę! — odpowiada obojętnie ślusarz, nie poruszywszy się
woale.
Kobieta wzdycha i rzuca na męża wzrok pełen głębokiej wymówki.
Szczęściem, w izdebce panuje prawie zupełna ciemność, a ślusarz
nadto ma twarz
odwróconą ku ścianie.
Pół godziny, nie więcej, było po tych wypadkach w obu lepiankach
względnie dość
cicho. Wkrótce jednak malec zaczyna drzeć się znowu, a młoda
kobieta, której
zasnąć umyślnie nie pozwalają, stęka także, z małymi przerwami.
Wreszcie Jakób wraca z ostatniego pociągu, przyjmuje do wiadomości
dzieje tego
wieczora, zjada kolację i spać się układa, a Kajetanowej pierworodny
wrzeszczy
ciągle, ciągle, na wyścigi z wichrem, jakby go chciał przekrzyczeć. —
Cicho mi! Wykąpałam cię! Czegóż chcesz jeszcze? — mówi stara
kobieta,
zwracając się do obwinionego, niby do dorosłego człowieka, który
może jej dać
odpowiedź.

Jakoż odpowiedź ta następuje, ale w postaci jeszcze większego wrzasku.

Wrzask ten, a następnie kwilenie, stopniowo coraz cichsze, cichsze, trwają

prawie do samego rana, poczem malec nareszcie zasypia.

Równocześnie stara

kobieta pozwala zdrzemnąć się i matce.

Młody ojciec kręcił się przez noc całą wraz ze starą kobietą około chorej.

Zbierała go ochota kląć małego "raka", co nie pozwalał oka zmrużyć porządny

ludziom, ale gdy w przekleństwach tych wyręczyła go po północy

Jakóbową, zaciął

się w gniewie i nie puścił z ust pary.

— Bodaj was pokręciło! — myśli tylko. — Przecie za swój kąć płacę!...

Równocześnie przypomina sobie, że z owa zapłatą nie jest znów w ostatnich

czasach tak bardzo w porządku. W ubiegłą sobotę zdobył się zaledwie na dwa

złote, a już od czterech dni roboty ani poświeć, jak zwykle w zimie.

Tem więc

skwapliwiej milknie, a złość Jakóbowej tłómaczy sobie tem, że z wieczora zęby ją

bolały, nic więc dziwnego, że chce spać spokojnie.

Sam zresztą czuje wielkie znużenie i terazdopiero, po uspokojeniu się

malca, podczas gdy stara kobieta zbiera swoje

manatki z zamiarem powrotu do domu, oddycha swobodniej, całą pierśią.

— O! zmachałem się! — szepcze, rozciągając się na podłodze, na własnym,

starganym już paltocie, obok legowiska młodej matki.

— Ba! — wyrzuca za całą odpowiedź stara kobieta, nie przerywając uprząta

swoich przyborów.

Na dworze wicher jęczy ciągle, a on, ojciec nowonarodzonego,

złożywszy ręce pod

głowę, umęczony, marzy z otwartymi oczyma.

Jest tedy ojcem... Zdarza mu się to po raz pierwszy w życiu... Nie od dziś wiedział, że to szczęście go spotka, a przecie, kiedy przyszło, uczuwa się jakimś większym, starszym; nie rozumie nawet prawie, co się z nim stało.

To jednak wie dobrze, że będzie biedy niemało. Tyle wydatków!...

Stara kobieta

kazała sobie przecie dać naprzód dwanaście złotych, inaczej przyjść nie

chciała... Żeby choć było lato, no i robota!... Ot, bieda i tyle...

Tymczasem kobieta ubrała się już do wyjścia.

— No, dzień niedługo się zrobi... Porządki porobiłam... Odchodzę!
— rzecze.

Kajetan budzi się z przykrych marzeń i usiada na zaimprovizowanym poślaniu.

— Odchodzi pani? — szepcze. — A jakże my tu sobie damy radę z małym? — O! Przecie Jakóbową świadoma takich rzeczy... Zresztą i kobiecie waszej

mówiłam jeszcze wczoraj, co trzeba... Małe śpi teraz i będzie spać, bo się nakrzyczało...

To mówiąc, zbliża się do kuferka, na którym ułożono malca, spowitego w starą, znoszoną chustkę.

Ceni ona wielce swoją reputację i nie chce, aby posądzono o jakiegokolwiek

niedbalstwo. Postanawia więc raz jeszcze "małego" opatrzyć. Dotyka jego główki,

poczem posuwa spiesznie dłoń ku usteczkom i nagle upuszcza z łoskotem skórzaną torebkę.

— Dajno pan światła! — rzecze zmienionym głosem.

Kajetan przyskakuje z dymiącą lampką.

— Rany Pana Jezusa! — woła kobieta. — Co to jest? To mi się pierwszy raz zdarza!

— Co? co? — szepcze wystraszony ojciec. Kobieta zaczyna drżącemi rękoma
rozpowijać malca.

— Nie żyje! zmarło! — rzecze wreszcie stłumionym głosem.
Robi się rwetes, większy jeszcze niż z wieczora. Wstają wszyscy,
budzi się nawet
i biedna matka, która dopieroco zasnęła.
Malec istotnie nie żyje. Przestał kwilić razem z ostatnim oddechem,
podczas gdy
cieszono się, że nareszcie zasnął. Kajetan stoi jak słup, nieruchomo, po
za kobietami, zgromadzonemi około małego
biedactwa.

— Dajcie mi go tu, dajcie! — jęczy młoda matka, usiłując zerwać się
ze swego
legowiska.

— No, no! — mruczy z zadziwieniem stary ślusarz, wybierający się
właśnie do
swojej roboty.

— Musiałaś go pani źle odebrać! — woła wreszcie Jakóbową,
zwracając się do
starej kobiety.

Ta jednak oburza się strasznie.

— Ale! Sama pani nie wiesz, co gadasz! Cóż to mi pierwszozna, czy
co?... Ot,
dopust Boży!... Słabe było, mówiłam!... Podziękujcie oto państwo,
żem je chociaż
ochrzciła z wody...

— Oh, ho, ho!... — spazmuje matka. Nastaje sądny dzień.

— Bóg dał, Bóg wziął! — pociesza ślusarzowa. Jakoż lamenty cichną
nieco po
chwili. Tymczasem Kajetan wywołuje do sieni, wybierającego się na
kolej Jakóba.

— Słuchajcie-no! Grosza nie mam na pochowanie...

Jakób, który ma miękkie serce, a młodego chłopaka lubi, wydobywa z
za poszewki
swej czapki dwa złote.

— Tylem przed babą ukrył! — mów, rozglądając się z bojaźnią
dokoła.

— Mało! — odpiera młody wyrobnik, ważąc na dłoni dwie srebrne sztuki. — Baba moja ma! — rzuca posłaniec, skrobiąc się w głowę, na znak zafrasowania

samem wspomnieniem małżonki.

Kajetan macha ręką rozpaczliwie.

— Ja jej nie będę mówić! — rzecze.

— Możeby ślusarz miał? — szepnął Jakób.

— Goły! — brzmi odpowiedź.

Nastaje kłopotliwa chwila milczenia. Jakób widocznie wysiła mózgownicę.

— Furda! — przemawia wreszcie weselej. — Zrobi się to jakoś!...

Może zkaż

pożyczę dla was, a jak nie — (tutaj głos zniża) — to babie zabiorę w południe...

Załatwicie tymczasem co trzeba i czekajcie na mnie...

— Moiście-wy! — mówi na rozstaniu wyrobnik, ściskając obie dłonie posłańca.

Cały ranek trwają ożywione rozprawy kobiece nad zmarłym dzieckiem. Schodzą się

sąsiadki z przeciwka i z dalszych domostw, nawet i takie, które rzadko dotąd

zaglądały do chaty Jakóbów. Niezwykły wypadek upoważnia je tym razem do owych

odwiedzin.

— Zmarło ci się niebożatko! zmarło! — oto dominujący frazes w ich uwagach.

Każda z kobiet, odkrywając kolejno ciało zmarłego, uważa sobie za obowiązek

frazes ten w tej lub owej formie wyrazić. A młoda matka, słuchając tych

pocieszeń, płacze, płacze ciągle, co chwilę na nowo.

— Oh! ho, ho, ho!... Wreszcie około południa wypadek przestaje być "nowiną".

Tymczasem Jakób dotrzymuje słowa, dzięki czemu młody wyrobnik, już około drugiej

w południe, zjawia się w magistracie miasta Warszawy, w owej wielkiej,

podłużnej, a zaciemnionej i smutnej sali, gdzie wszystko zdaje się stworzone do dźwigania łez. Każda księga tu, to. mauzolem całe; każdy nowy wiersz, to grób. W rozmowach, jakie się tu wiodą, przeważa jeden jedyny wyraz, odmieniany przez wszystkie przypadki: "pogrzeb, pogrzeb"... A czepia się on w tej sali zabrudzonych ścian, osiada na zdeptanej posadzce, wieszka się i kołysze wraz z bujającą swobodnie u sufitu szarą pajęczyną... "Pogrzeb... pogrzeb"... Sala jest właśnie zapełniona interesantami, z których przeważną większość ciśnie się około okratowanego biurka, na prawo od wejścia. Urzędnik mruczy, że zrana to nikogo niema, a gdy "biuro się zamyka, " wszyscy naraz się schodzą.

Ale robi swoje.

Wreszcie przychodzi kolej i na Kajetana.

— Co tam? — zapytuje urzędnik. Wyrobnik wyciąga rękę z arkuszem.

— Ta nic! Dziecko tylko! — szepcze.

— Jakie?

— Ta, moje, rodzone... — Pytam: ślubne czy nie? — wrzeszczy donośnie zirytowany urzędnik.

Przybysz skrobie się w głowę, podobnie jak to czynił zrana posługacz kolejowy.

Pełną gwaru izbę zalega uroczysta cisza.

— Nie! — mówi Kajetan nieśmiało, czując na sobie oczy dwudziestu paru osób.

Otaczający okratowane biurko urzędnika spoglądają po sobie. Jakaś strojna dama —

o! bardzo strojna! — odsuwa się z odrazą od dającego powyższą odpowiedź obtargańca.

Urzędnika, na nieszczęście, wprawia to wszystko w dobry humor.

— Oooo! — mówi, nie przerywając pisania. — A czemu to ślubu nie weźmiesz?

— Ba! ta i za co?

A mówiąc to, mimowolnie wstrząsa swemi łachmanami.
Cisza, będąc kobietą, musiałaby mieć łzy w oczach w tej chwili.
Ale tu nikt nie płacze, a obok wielkie, piękne miasto znowu nie chce się nudzić,
nie chce...

Młody wyrobnik tymczasem myśli:

— Ślub?... Ta i chciał przecie tak skończyć, bo nie heretyk żaden...

Ale czy to
dadzą ślub darmo?... Przecie biedny i umrzeć nie ma za co?... Wziął tę
kobietę

swoją od murarzy, gdzie podawała cegłę. Była niczego, prawda, ale
nie miała nic,

złamanego szeląga... Ślub?... Już się doślubu tego nieraz wybierał...

Ale przyszedł rok twardy... a ostatni właśnie

najtwardszy — z kiepskim zarobkiem — ta i zostało, jak jest...

A pogrążony w tych myślach, przegina się przez kratę i wyciąga rękę
z arkuszem

mimowolnie pod sam nos urzędnika.

— Czekać! — woła dygnitarz za rubli rocznie.

Na Kajetana przychodzi opamiętanie i cofa nieszczęsny papier.

Po chwili gwar napęlnia znowu kasę pokładnego, a w pół godziny
później młody

ojciec wraca na ulicę Dobrą (za co ona się tak nazywa?) niosąc
trumienkę białą i

myśląc:

— Onegdaj jeszcze nie było nic, a jutro znowu nic nie będzie!...

Zostanie tylko

chora kobieta!... Bodajto!...

Wreszcie przychodzi do domu i stawia trumienkę na środku izby.

— Jakto? już wszystko gotowe? — pyta zadziwiona Jakóbową.

— Już! — odpowiada Kajetan.

Chora pod prawą ścianą zaczyna płakać na nowo, młody wyrobnik zaś
stara się ją

pocieszyć, jak umie.

— No, cicho, Wikta, no, cicho! — mówi.

Tymczasem dzieci posłańców, Marynka i Józiek, skaczą dokoła
sprowadzonej

trumienki i klaszczą w ręce, wołając wesoło:

— Będzie pogrzeb! będzie pogrzeb!... aha!...Jakóbowia wie, iż Kajetanowie nie mają pieniędzy i zaczyna coś podejrzewać. Rezultatem tych podejrzeń jest, iż Jakób, zaraz na wstępie wieczorem, dostaje w kark raz, drugi i trzeci.

— Do skrzynki mi się dobierasz! "Własne dzieci będziesz okradał?"

— wrzeszczy w gniewie matka Józka i Marynki.

Ale w kwadrans później, dobywszy jeszcze paru groszy z zakłętej skrzyni, sama zanoszą Kajetanowej ciepłej herbaty.

— Oddacie, jak będziecie mieli! — mówi.

Nazajutrz, zaraz zrana, ledwie się rozwidniło, rusza Kajetan z trumienką na ramieniu ku cmentarzowi.

Nie płacze, ale wracając myśli, że Pan Jezus, taki niby dobry, a czasem tak

robi, jakby na złość biednym ludziom.

Bo i jakąż mu dał pociechę?...

Nakrzyczało się — narobiło biedy — i tyle!....

WAWRZYŃCOWIE

Cały dom, ba! cała dzielnica znała starą Wawrzyńcową. Nie było też, doprawdy, na całej Smoczej krzykliwszej nad nią niewiasty, ale i to prawda, że prócz owej krzykliwości, nikt jej nie miał nic do zarzucenia. W domu pilnowała porządku, z grosza umiała robić dwa, a czasem trzy nawet. Wszyscy też wiedzieli, że jedyną córkę, Tereskę, wychowała na porządną dziewczynę, a czy Wawrzyniec miał lepszy, czy, jak w niektórych latach, gorszy zarobek przy swojej murarce, przecież Wawrzyńcowej zawsze starczyło i na kawałek chleba przez zimę i na opłacenie

komornego i nawet na wycieczkę w Zielone Świątki na Bielany, a w ciągu lata parę razy na Saską Kępę. Z tem wszystkim nie było sąsiada, któryby nie ubolewał nad losem Wawrzyńca.

— No, już ten dostał babę! — mówiono powszechnie.

A mówili to nietylko mężczyźni i koledzy Wawrzyńca, murarze, lecz i wszystkie żony z całej Smoczej przywykły oddawna odgrażać się Wawrzyńcową swoim małżonkom.

— Takąby trzeba być dla ciebie, jak Wawrzyńcowa dla swojego! — mawiały w gniewie.

Na szczęście, rzadko kto śmiał to w oczy Wawrzyńcowej powtórzyć, co zaś do owej powszechnie żalowanej ofiary, t. j. Wawrzyńca, skarżył się on na los swój tylko po pijanemu.

Pijakiem jednak nie był, uchowaj Boże! Owszem znano go z oszczędności i poszukiwano jako wybornego robotnika, dla którego wódka mogła nie istnieć przez sześć dni w tygodniu.

Inaczej bywało w sobotę. Wtedy, po wypłacie tygodniowego zarobku, upijał się najregularniej. O ile też cały tydzień mijał w domu Wawrzyńców w przykładowym spokoju, o tyle nie pamiętano jeszcze soboty, któraby przeszła bez hałasu i mniejszej lub większej awantury. Był to przywilej dnia tego, uświęcony kilkunastoletnią praktyką.

Burza zaczynała się zwykle już o świcie w ten ostatni dzień tygodnia, z chwilą, gdy Wawrzyniec do roboty wyruszał.

— No, a upij mi się wieczorem, to ja ci się upiję! — mawiała wówczas Wawrzyńcowa, przygotowując codzienne śniadanie męża, składające się z pół kwarty zimnej kawy w blaszance i półfuntowego kawałka

chleba.

Na upomnienie to Wawrzyniec przeważnie nic nie odpowiadał, a jeśli na odpowiedź

mu się czasem zebrało, to zamykała się ona w tym jednym tylko frazesie:

— Zaś tam!

Miało to oznaczać: "Cobym się miał upić", i było niejako przyrzeczeniem

trzeźwości. Ale Wawrzyńcowej ani nie przekonywało, ani też ust jej zawiązać nie mogło.

— Juści! Zaś tam! — powtarzała z przedrzeźnianiem. — Znam ja twoje "zaś tam!" A

wieczorem to przyjdiesz, jak nieboskie stworzenie! No, popamiętałbyś ty!

I stare murarzysto, wychodząc z domu, przysięgał sobie nie upić się wieczorem.

Ale przysięga bywała daremną. Znaleźli się zawsze starzy koledzy i młodzi

przyjaciele, co wciągnęli na kieliszek, jeden — jedyny, po tym jedynym zaś

zwykle następował drugi i trzeci, a to Wawrzyńcowi wystarczało.

Wracał więc do domu pijany, a chociaż często się okazywało, że bardzo niewiele,

lub czasem nic nawet nie stracił ze swego zarobku, przecież

Wawrzyńcowa nie

mogła się powstrzymać od wyprawienia zawieruchy. Kiedy zaś ją mitygowano,

odpowiadała hardo: — Co z tego, że nie stracił! Dusza moja nienawidzi pijaków!

Zwykle też po tych słowach policzek Wawrzyńca spotykał się z jej kościstą,

żółtą, spracowaną dłonią.

I burza była gotowa, bo poczciwe murarzysto, przybierając wojowniczą postawę,

zbliżał się do żony i nadstawiając się, mamrotał:

— Ej, babo!... Zdaje mi się, żeś ty mnie uderzyła!...

Wtedy dostawał drugi raz w kark i znowu mu się to samo zdawało, aż wreszcie zasypiał znużony, a nazajutrz budził się trzeźwy, potulny i pozostawał już takim przez cały tydzień, nie pozwalając się nikomu w pracowitości prześcignąć.

Nic też nie mogło Wawrzyńcowej do większej doprowadzić pasyi, jak spotkanie

którego z kolegów mężowskich, zwłaszcza z tych, którzy go pijanego w sobotę do

domu odprowadzali. Im to kobieta przypisywała winę upijania się męża, a więc i

witała zwykle całym potokiem obelg i wymyślań. Najgorzej zaś wówczas było

stawiać się hardo, bo policzek, przeznaczony dla męża, mógł dostać się z

łatwością jego kompanowi, a na oporniejszych znajdowała się nawet w pogotowiu i

miotła. Jaki taki więc spróbował raz i drugi, ale na trzecią sobotę do odprowadzenia Wawrzyńca nie dał się namówić. Zwykle też nad nim, gdy się upił, odbywano taką konferencję:

— No, chłopcy, który tam z Wawrzyńcem pójdzie na ochotnika?...

Ponieważ zaś stary murarz powszechnie był lubiany, a parę wypitych kieliszków

dodawało niejednemu z młodych odwagi, znajdował się więc zawsze jakiś nowicyusz,

który wołał:

— Jabym się baby miał bać?! Niedoczekanie! Choćby ona z piekła była rodem!

I szedł, a Wawrzyńcową, jakkolwiek była rodem tylko z Konina, właśnie to

najwięcej irytowało, że zazwyczaj co sobotę nowy jakiś "kompan" męża

odprowadzał.

— A iluż tam jest tych pijaków? A któryż tam go znowu przyprowadza?! — wołała,

zawijając machinalnie rękaw u prawego ramienia i przygotowując dłoń do rozmachu.

W podobnej pozycji ruszyła też pewnej soboty ku drzwiom, na wiadomość, że męża, jak zwykle, przyprowadzono.

— Poczekajże psi synu! — zawołała — popamiętasz ty mnie! Tereska, stająca zawsze po stronie ojca, pobiegła i tym razem za matką.

— Mamo, mamusiu! — szeptała błagającym tonem — daj mama pokój! Moja mammo złociutka!

Ale pasyę Wawrzyńcowej nie łatwo było poskromić. Jakoż wpadła z impetem do ciemnej sieni i nie patrząc nawet przed siebie, podniosła pięść w górę, chcąc ją spuścić po zwyczaju na kark małżonka.

Lecz wtedy stała się rzecz dziwna. Jakaś silna dłoń młoda przytrzymała rękę kobiety, a z ciemności ozwał się dźwięczny, choć chmurny czegoś głos męski:

— No! Co to? Co pani robi?!

Dla Wawrzyńcowej, nieprzywykłej do czynnego oporu, było to nielada

niespodzianką. Stanęła też, jak wryta, zapomniawszy zupełnie języka. A tymczasem tenże sam głos dał się znowu słyszeć:

— No, prowadź-że pani do izby!

Ale teraz i Wawrzyńcowa oprzytomniała.

— Ja go poprowadzę pijaka, psiego syna! Już ja go poprowadzę! — zawołała z pogrózką.

A jednak cofnęła się i drzwi do izby otworzyła, czyniąc przejście dla pijanego

męża i towarzysza, który go podtrzymywał.

Na progu Wawrzyniec się potknął, a widocznie tak już był przyzwyczajony do

właściwego w podobnych razach przyjęcia małżonki, że potknięcie wziął za jej

poczęstunek i począł bełkotać:

— Ej, babo! zdaje mi się, żeś ty mnie uderzyła! Tym razem jednak naprawdę mu się tylko zdawało.

Strumień światła, padający od stojącej na stoliku pod oknem lampki
naftowej,
oblał twarz Wawrzyńcowego kompana.
Wtedy też dopiero kobieta mogła się przyjrzeć swojemu pogromcy.
Na dwa kroki przed nią, ciągle jeszcze podtrzymując Wawrzyńca pod
ramię, stał
chłopak młody, zdawałoby się: zaledwie dwudziestoletni, śmigły, jak
sosna i o
całe dwie głowy przerastający starego murarza. Wszedłszy z ciemnej
sieni do
oświetlonej izby, nachmurzył czoło i chroniąc się przed światłem,
przywarł
cokolwiek oczy powiekami, ale głowę trzymał wyniośle, podniesioną
w górę, jakby
chciał wyzywać tych, coby tu przeciw niemu ośmielili się stanąć.
— Dajże pani na czym usiąść, bom się zmachał! — przemówił.
Było coś tak rozkazującego w brzmieniu jego głosu, że murarzowa
machinalnie
obejrzała się za krzeselkiem, ale w przysunięciu wyręczyła ją córka.
— A weź sobie pani męża, bo ciężki! — dodał, siadając i zostawiając
Wawrzyńca
na środku izby.
Na widok męża, którego twarz zasłaniało dotąd ramię przybysza,
rezon
Wawrzyńcowej począł wracać i język się znowu rozwiązał.
— A! pijaczysko, Boże odpuść! To sięubrał niecnota, wisielec!
Pięknie go koleżkowie utraktowali!...
Tereska, którą ta scena żenowała, poskoczyła podtrzymać słaniającego
się ojca, a
drugą wolną ręką poczęła tamować" przystęp matce, szepcząc przytem
z cicha:
— Dajże mama pokój! złota mamusiu!... Później... Obcy człowiek!...
Ale ten opór tembardziej Wawrzyńcową do walki zagrzewał.
— Poszła precz! — zawołała, chcąc odepchnąć córkę. — Cóż mi to
nie wolno? Mam
patrzeć na pijaka i nic mu nie powiedzieć? Niedoczekanie! Pan Jezus-
by mię za to
ukarał!

Przybysz tymczasem wmieszał się znów w tę sprawę.

— A i cóż takiego się stało! — rzekł. — Jest też o co robić kram!

Człowiek się

naprzyżył przez cały dzień na słońcu, a i głowę ma słabą. Trzy głupie kieliszki i

po nim!

Wawrzyńcową poczęła wpadać w tem większą pasyę, ale chcąc odpowiedzieć na

powyższą kwestyę, musiała porzucić męża i prowadzącą go ku łóżku córkę, a

zwróciła się ku młodemu murarzowi, który sobie z flegmą i niezmaconym spokojem

pot z czoła ocierał.

— Trzy kieliszki! — zawołała. — Proszę! Znam ja te wasze trzy kieliszki!

Pewnieście na piętnastu nie poprzestali, pijaki! pogańskie dusze!

W tej chwili Wawrzyńcowa, spoczawszy w ubra-na łóżku, przypomniał sobie kompana i zaczął bełkotać:

— Antoni!... Antoś!.... przyjacielu!

— A czego? — zapytał młody towarzysz, nie ruszając się z miejsca.

— Obronisz mię przed babą, co? obronisz?

— A ino! śpijcie zdrowi! — brzmiała odpowiedź.

Wawrzyńcowa, słysząc te reminiscencye dokonanej zapewne w drodze do domu umowy

koleżków, poczęła dłoń o dłoń wycierać, jakby ją ręce świerzbiały.

Ale spokój

młodzieńca nie przestawał jej imponować. Zrobiła więc tylko ręką ruch, jak gdyby

chciała powiedzieć: "szkoda słów, " splunęła na znak takiej że samej pogardy i

siadła na kuferku, naprzeciw mężowskiego przyjaciela.

Tereska tymczasem, ułożywszy ojca i pragnąc go zabezpieczyć od rychłego

zblżenia się matki, rozpoczęła w jej zastępstwie zwykłą sobotnią rewizyę

kieszeni jego ubrania.

Przez chwilę też słychać było tylko ciężki oddech Wawrzyńcowej, brzęczenie

drobnej monety, którą Tereska na dłoń zsypywała, regularne tykanie
pendułowego
zegara i wreszcie pomruk starej kotki, odmawiającej opodal kominka
swoje
pacierze.

Młody murarz, oparłszy dłonie na kolanach z niedbałością człowieka
znużonego

śmiertelnie, wsłuchiwał się w te rytmiczne odgłosy i rad wi-docznie
wypoczynkowi, rozglądał się zwolna po mieszkaniu Wawrzyńców.

Zdaje się też, iż to, co tu zastał, zadziwiło go niemało, bo chmurne
oczy jego

nabrały jakiegoś wyrazu zaciekawienia i rozwarły się szeroko, a na
ustach zjawił

się półuśmiech, gość tu śnać bardzo dotąd rzadki.

Ale bo istotnie można było w tem mieszkanku odetchnąć swobodniej.

Ściany,

wybielone czyściutko, służyły za wyborne tło dla rozwieszonych
gdzieniegdzie

obrazków świętych i jednego większego wizerunku Matki Boskiej
Częstochowskiej,

przed którym mosiężna lampka oliwna migotała, rzucając od czasu do
czasu

czerwonawe blaski na złociste korony, zdobiące głowy Matki i

Dzieciątka. Stolik

przykryty był bielutką, choć połataną serwetą wzorzystą, a okienko
całe

zastawione mnóstwem doniczek z zielenią, między którą trzymały
prym geranje oraz

kwitnące dwukolorowe, białe różowe i różowoniebieskie fuksye.

Najwyższa z tych

ostatnich, stanowiąca wcale już ładne drzewko, sięgała łukowato
zagiętymi

wierzchołkami swemi do zawieszanej u futryny okna klatki, w której
kanarek,

śpiący od zmroku, przebudził się właśnie przed chwilą, wyjął główkę
z pod

ptrego skrzydełka i otworzywszy od niechcenia jedno oko, rozglądał
się dokoła,

jakby zdziwiony, że awantura, tak dobrze się zapowiadająca,
obiecowała spełnić
na niczem. W drugim końcu podłużnej izby, naprzeciw okna, pleciony
parawanik, okryty białym
prześcieradłem, bronił ciekawemu oku przystępu do pieca i rozdzielał
niejako
skromne mieszkanko na dwie połowy, coś niby salonik i kuchnię.
Harmonję ogólną
psuły jednak nieco drzwi, w lewej ścianie od okna, wiodące do drugiej
izby.
Drzwi te zbudowane były właśnie pośrodku tej ściany i niepozwalały
symetrycznie
ustawić komódki, która zanadto była przyciśnięta do łóżka, podczas
gdy z drugiej
strony stolik pod oknem zawiele wolnej ściany i pustki zostawiał.
Na drzwi te niemało się też nieraz Wawrzyńcowa napomstowała,
mając bowiem
zwyczajne zresztą w rodzinie murarskiej poczucie symetrii, wiedziała
dobrze, ile
one zawadzają. Ale na to nie było już rady, gdyż owa izba nie miała
osobnego
wejścia, a Wawrzyńcowa, odnajmując ją, zawsze coś nie coś na tem i
na posłudze
zarabiała; przydawało się to zaś zwłaszcza podczas zimy, gdy zarobek
murarski
ustawał i całe utrzymanie domu spoczywało tylko na głowie jej i
Tereski.
Mimo opinii awanturnicy, jaką sąsiedzi wyrobili Wawrzyńcowej,
sublokatorowie,
odnajmujący ową izdebkę, wcale się na starą murarżową nie uskarżali.
Mieszkał tu
już u niej i student jeden, co teraz jest skończonym doktorem, i młody
podmajstrzy murarski, który był wcale wybrednym, a obecnie, od lat
już dwóch,
zajmował ową izdebkę pan Mikołaj, który wprawdzie był sobie tylko
woźnym w sądzie
"mirowym", ale powszechnie zwano go "urzędnikiem" i on sam też
głowę wysoko

nosił i wszystkich z góry traktował.

Co prawda, Wawrzyńcowa wyprawiała awantury z pijanym mężem, o ile powstrzymać

się mogła, podczas nieobecności swoich lokatorów, ztąd więc zapewne waleczność

jej mniej się tym ostatnim dawała we znaki, niż sąsiadom z za ściany, albo z

przeciwka, gdzie zwykle ktoś był wówczas w domu, a zasłyszana burzę podnosił w

opowiadaniu do większej potęgi.

I teraz też pan urzędnik był jeszcze na mieście, zwykle bowiem dość późno

przychodził wieczorami, a zwłaszcza w soboty, albowiem w restauracyjce, tam na

rogu, załatwiał interesantom rozmaite sprawy. Wawrzyńcową więc aż serce bolało,

że obecność mężowskiego koleżki i to jeszcze takiego chłystka, przeszkodziła jej

w udzieleniu zwykłej nauczki.

Ale tak już u niej było, że powstrzymana w pierwszym zapędzie, dąsała się

wprawdzie długo, ale dawała się powoli zupełnie rozbroić. Tego wieczora

Wawrzyniec mógł już być pewnym, że mu wybryk jego ujdzie bezkarnie.

Wiedziała o tem i Tereska, to też uporawszy się z wydostaniem ojcowskiego

zarobku, rozpromieniona, żywa, wesola, przybiegła ku sto-likowi, rozkładając przed matką wybrane pieniądze.

— Policz, mamusia! — rzekła.

Wtedy młody przybysz, nie przestając się wpatrywać w jakiś obrazek na ścianie,

odezwał się znowu:

— Powinno być czterdzieści sześć złotych bez ośmiu groszy...

Obie kobiety spojrzały na niego zdziwione. Nie domyślały się, aby mógł znać tak

dokładnie stan kieszeni Wawrzyńca, On też zdziwienie to widocznie zrozumiał, bo

rzekł:

— Zarobiliśmy równo, a Wawrzyniec zapłacił tylko za jeden kieliszek te osiem

groszy...

Wśród ciszy, jaka po tych słowach izdebkę zaległa, dał się słyszeć szept

dziewczyny:

— A widzi mama!

Wawrzyńcowa nie była łatwowierna, ale zapewnienie mężowskiego towarzysza całkiem

ją przekonało. Znała się na ludziach i oceniła odrazu, że ten chłopak, nazwany

przez męża Antonim, nie był z tych, którzy dla postrachu przed nią mogą się

chwycić kłamstwa. Mówił od niechcenia, tak jakby mu wszystko jedno było, czy mu

uwierzą, czy nie. Przyszedł tu raz i mógł nie przyjść więcej, jak tylu innych,

którzy męża dotąd co sobotę przyprowadzali, ale nie uciekał, jak inni, ze sieni.

Pewny był siebie, a ta pewność jego podziałała uśmierzająco na rozgniewaną kobietę.

Kiedy też po chwili podniósł się z krzesła i szepnął:

— No, odpocząłem, trzeba iść ku domowi... Wtedy Wawrzyńcowa, sama nawet nie

wiedziała czemu, odezwała się szybko:

— Siedź-że pan jeszcze! Gdzie się tak spieszy?...

Antek nie odpowiedział na razie nic, ale widocznie namyślał się: czyby istotnie

jeszcze nie usiąść?

Wieczór był parny, spokojny; zegar wydzwonił dopiero dziesiątą godzinę, a

nazajutrz była niedziela. Do domu nie ciągnęło go nic. Mieszkał "kątem" u

jednego z kolegów, gdzie było kilkoro drobnych, wrzaskliwych dzieci, więc o

takiej bieli, ciszy i porządku nie można było nawet i marzyć. Było mu tu dobrze,

więc z prostotą dziecka natury, a ociężałością spracowanego, siadł napowrót na dawnym miejscu.

Ani też spostrzegł, gdy w chwilę później rozgadał się na dobre pod naciskiem

pytań Wawrzyńcowej. Mówił wprawdzie półgębkiem tylko, z wrodzoną sobie jakąś

oburkliwością, którąby ktoś mógł wziąć za niechęć lub smutek, a przecież mówił

dość dużo.

Tłumaczył najprzód Wawrzyńca, który, zdaniem jego, nie był winien, że

przychodził do domu pijany. W sobotę taki zwyczaj, że wszyscy wstępują na kieliszek, a niektórzy piją nawet i po dziesięć, a nie

spijają

się tak, jak Wawrzyniec trzema. Chłopisko spracowane, a głowę majak dziecko. Ale

za to jakież to robotnik!... On, Antek, lubi też pracować, bo już taki jest, że

jak robić, to robić. Zwykle więc robiąc "od sztuki", zarabiał najwięcej ze

wszystkich. Niechby tam było o złoty lub choćby o kilkanaście tylko groszy, ale

musiało być więcej od innych. Teraz dopiero, od miesiąca, pracując obok

Wawrzyńca, znalazł w nim godnego kompana.

Wawrzyńcową objaśnienie to głaskało po sercu, a i Tereska, krzątając się jak

fryga około kominka, rzucała od czasu do czasu wdzięczne spojrzenia na młodego

kolegę ojca.

On tymczasem, nie patrząc na żadną z kobiet, mówił dalej ciągle.

Widocznie we

wszystkiem trzymał się zasady: "jak robić, to robić..."

Był murarskim dzieckiem. Tak bo to już było w ich rodzinie, z ojca na syna.

Miał ledwie ośm lat, gdy przy ojcu i dziadku "murarkę" rozpoczął.

Teraz jest

sam, jak palec, ojciec bowiem, gdy przed dwoma laty nie było jakoś w Warszawie roboty, wyszedł na prowincję i przepadł gdzieś, jak kamień w wodzie. A matka to już i dawno nie żyje... Co prawda, nigdy on tam za matką bardzo nie przepadał mało w domu od dzieciństwa siadywał. Tak już jakoś "bab" nie lubił i dotąd nie lubi. To jednak pamięta dobrze, że w domu u nich było zgoła inaczej, niż tu, tj. u Wawrzyńców. Ojciec powtarzał często: "Skaranie Boże z temi babami" — i nie tylko nie dał się bić nigdy, ale matkę bijał bardzo często... Może to tam i nie było dobrze, ale cóż robić! Ojciec mawiał, że "babę trzeba bić, boby spleśniała, albo się zgoła zepsuła". A i matka sama przyznawała, że czuje się zdrowszą po każdym obiciu. Taka już była... Głupia? Może i głupia... A on, dziecko, stawał wówczas po stronie ojca... Nie powinien był tak robić?... Ano, tak się już jakoś składało... Ale gdy matka umarła, to był trochę smutny... Płakać?... Nie pamięta... Zdaje mu się, że nie płakał... Tak, tak, bo przecie nie płakał nigdy dotąd w życiu. Ale smutny był... To pamięta... Bo i cóż mu tam zresztą matka wadziła? Zdaje się, że to nawet było niegorsze kobiecisko, no, bo i ojciec nie był przecie żadnym ladaco... Niechby sobie tam była żyła dotąd, owszem, wolałby nawet, choć "bab" nie lubi! O! co nie, to nie!... Taką to wiedziono rozmowę, a podczas niej Wawrzyńcowa nieraz się uśmiechnęła, Tereska zaś, nie odzywając się zgoła i nie przerywając swego zajęcia, chwilami nawet i łzy miała w oczach, zwłaszcza, gdy młody chłopak mówił o matce. Ona bo

ojca także kochała, nawet bardzo — inaczejby go przecież nie broniła przed matką, ale matkę więcej, o! wiele "więcej!... Tymczasem dwie szklanki gorącej herbaty znalazły się na stoliku, a podnosząca się z nich para poczęła chwilami światło lampki naftowej przyćmiewać.

— No, niechże się pan przysunie! — zapraszała Wawrzyńcowa. Antek, siedzący dotąd bokiem do stolika, jak również i do słuchającej go

kobiety, zwrócił głowę w jej stronę.

— E! dziękuję pani! — rzekł.

— A może pan nie lubi herbaty?

— Owszem, ale... ale...

I urwał, a natomiast, po chwilce wahania, przysunął się istotnie ku stolikowi,

na którym pod ten czas stanął jeden bielutki talerz z serem, w płatki nakrajanym

i drugi z całym bochenkiem chleba.

Antek, trzymając już za szklankę, począł się jeszcze ceremonjować.

— Bo to państwo robicie sobie szkodę, — mówił.

— E! jaka tam szkoda! — brzmiała odpowiedź starej murarzowej.

Tereska przysunęła się też ze swoją szklanką i poczęto popijać herbatę w

milczeniu.

Po chwili jednak z łóżka, na którym spoczywał Wawrzyniec, dał się słyszeć

najprzód głuchy pomruk, a wreszcie głos dość wyraźny:

— Ostro! ostro!... Wapna więcej!... Zaciąg piaskiem... Żywo!

żywo!... Staremu murarzowi śniło się widocznie, że jeszcze jest na rusztowaniu.

Antek pierwszy się uśmiechnął, a zawtórowały mu szczerze obie kobiety.

Swoboda napełniła izdebkę po brzegi.

— No, sera kawałek, panie Antoni — prosiła matka, a córka dołączyła do tego i

swoje nieme zaproszenie, przysuwając talerz ku młodemu człowiekowi.

Ale on nie kwapił się jakoś do tego poczęstunku.

— Bóg zapłać — rzekł — ja tam za serem nie przepadam...

— Czem chata bogata! — odparła Wawrzyńcowa.

Nastało znowu milczenie.

Teraz dopiero Antek uczuł, że nie trzeba mu było gardzić i serem.

Pragnął też to

jakoś naprawić. Przez chwilę kręcił się na stołku niespokojnie, aż wreszcie

sięgnął do kieszeni i wyciągając jakiś pakiet, mówił, zwracając się do matki:

— Bo to... co chciałem mówić... gdyby pani ano nie pogardziła... O! wędzonka!... Świeża... Kupiłem po drodze... A kiedy tu już mam jeść kolację, to

może i pani tego posmakuje?...

Teraz znów Wawrzyńcowa poczęła wspominać o "szkodzie", a on, jak i ona przedtem,

odparł: "Jaka tam szkoda" i dodał:

— Boski, ano, dar! Do jedzenia! Pokrajano więc ów dar boski i zajadano ze smakiem, a Antek przodował tym razem, opowiadając się jednak, gdy mu chleba brakło:

— Jeszcze sobie chleba ukroję! Na co odbierał odpowiedź:

— A owszem! Od tego leży!

Stara kotka, wywabiona zapachem mięsa, przywlokła się też z pod pieca, a chociaż

obecność obcego człowieka onieśmielała ją trochę, przecież poczęła się, według

kocięgo zwyczaju, dopominać o swoją część miauczeniem, spinać na łapki i

ocierać głową i bokami o suknię Wawrzyńcowej.

Młody człowiek zwrócił pierwszy uwagę na to jej przymilanie.

— Naści i ty! — rzekł, ciskając kawałek mięsa.

Wtedy Tereska, dotąd milcząca, odezwała się żywo:

— Pan lubi kotki?

Antkowi nie sporo przychodziła odpowiedź.

— Phi! sam nie wiem! — rzekł wreszcie. Przytem jednak spojrzeli sobie twarz w

twarz i dziewczyna żałowała zadanego pytania, a Antek nie wiedział: co z sobą

zrobić po udzielonej na nie odpowiedzi.

Ona ujrzała na spalonej, jak cegła, choć młodej twarzy, oczy błękitne
a gorące
jakieś, niby owe czerwcowe niebiosa, z których dziś przez dzień cały
żar na
ziemię się sypał; jemuzaś, jakkolwiek oczy te swoje szybko odwrócił,
pozostał w nich obraz twarzyczki
szczupłej i bladej, może nawet za bladej, jak na córkę murarza, ale
tem więcej
jakoś ku sobie ciągnącej. Była to twarz, która zdawała się mówić:
"Nie zrobiłam
ludziom nic złego" i prosić zarazem: "I wy mnie nic złego nie róbcie...
"

O! nie takie twarze widywał dotąd między pomocnikami murarskimi
— nie taka
twarz matki zapamiętał z dzieciństwa! Gdyby też kto w tej chwili był
go zapytał,
czy bab nie lubi, byłby nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Im
bowiem więcej
oczy przymrużał i wspomnienia dawne przywoływał, tem więcej czuł,
iż twarzyczka
Wawrzyńcowej córki tkwi mu, jak prószyna, w źrenicy, a ztamtąd,
mimo wysiłków z
jego strony, aby ją wydobyć, przenika przez oczy gdzieś daleko,
daleko aż w
serce!
Zły był sam na siebie w tej chwili i na ową dziewczynę i bardzo być
może, iż
byłby powstał, porwał za czapkę zbieloną i wybiegł z tej izby, gdyby
właśnie
wówczas, po krótkim w sieni rozhoworze, nie był ktoś ruszył za
klamkę u drzwi.
— Aha! pewnie pan Mikołaj! — ozwała się stara murarzowa,
wyrwana z chwilowej
zadumy.
Nie omyliła się. Do izby, szeroko drzwi przed sobą roztwierając,
wstąpił
mężczyzna, mogący mieć już przeszło lat czterdzieści, średniego
wzrostu, ale

krępy i czerstwy, z twarzą, o za-roście rozdzielonym na wygolonej brodzie i wyrazistym, gruszkowatym nosie.

Ubrany był przyzwoicie; ale nie budził ani sympatji, ani tego uszanowania,

jakiego widocznie wymagał, nosząc wargę górną odętą i zadzierając w górę pospolitą głowę.

Na widok tej postaci, Tereska, równie jak matka wyrwana z zadumy, westchnęła i

spuściła oczy na niedopitą szklanekę, a młody człowiek, nie wiedząc, co z rękami

robić, schował je obie w kieszenie swego popielatego paltota letniego.

Kotka też

cofnęła się ku piecowi, jedna tylko Wawrzyńcowa nie straciła rezonu.

— Pan Mikołaj — rzekła, wstając — poznałam pana po chodzie!

— Nu! to ja! — odparł przybyły. — A coż tu słyhać, ha?

I zwracając się do Tereski, dodał:

— Coż panna Tereska, wesola? Dziewczynę wyręczyła w odpowiedzi matka.

— Z czego się tam zaraz weselić, proszę pana! — rzekła z westchnieniem.

— No, ja mam z czego! Ja zrobił dobry interes! — rzekł pan Mikołaj i byłby może

coś więcej powiedział o tym interesie, lecz właśnie dostrzegł młodego murarza.

A był domyślny, bo bystre oczy swoje przeniósł natychmiast z Antka na łóżko, na

którem spoczywał Wawrzyniec, jakby tam szukał wyjaśnienia obecności

nieznajomego. Jakoż wyjaśnienie to znalazł, bo zwracając się na pół do młodego człowieka, na

pół zaś do Wawrzyńcovej, dodał:

— Coż, kompan, ha?

A do dziewczyny:

— A może konkurent panny Tereski?

Był widocznie wesoly i chciał tu wesolość wnieść z sobą. Ale w izdebce właśnie z

jego przybyciem zapanowała jakaś duszność, która przygniatała wszystkich.

"Wkrótce też Antek się podniósł.

— Pójdę już! — rzekł, przeciągając się z lekka, jakby chciał rozprostować

kości, nie przywykłe do spoczynku na jednym miejscu.

Dopóki siedział, nie wydawał się tak wielkim, jak teraz, gdy wstał.

Ponieważ zaś

w izdebce było dość ciasno, wszyscy więc, niewyłączając sublokatora Wawrzyńców,

chcąc mu w twarz spojrzeć, musieli dobrze głowy do góry podnosić.

— A niechże pan też kiedy do nas zajrzy? — odezwała się Wawrzyńcowa.

Antek namyślał się chwilę.

— Ano, może na przyszłą sobotę! — rzekł. — Dobranoc pani!

I nie spojrzawszy już ani na dziewczynę, ani na pana Mikołaja, ruszył ku

wyściu, zginając się w kabłąk, aby o odrzwia głową nie uderzyć. —

No, temu Bóg nie pożałował kości! — ozwał się pan Mikołaj po wyjściu młodego

człowieka.

Dziewczyna westchnęła z cicha, a Wawrzyńcowa dorzuciła:

— Dobrze jakieś, zdaje się, chłopczysko... No, ale czas do spania... Tereska,

przygotowałaś wszystko dla ojca na jutro?

— Wszystko! — brzmiała cicha odpowiedź.

— To dobrze, bo trzeba będzie rano iść do kościoła...

Pan Mikołaj, chwytając już za klamkę od swego mieszkania, zatrzymał się na te

słowa kobiety.

— Kościół... — rzekł! — A to i ja jutro pójdę. Trzeba podziękować Bogu za ten

interes... A potem może co powiem pani Wawrzyńcowej...

I łysnąwszy poządliwym okiem ku bladej twarzyczce dziewczyny, dodał:

— No, dobrej nocy. Śpij panna Tereska z apetytem!

— Dobranoc panu!...

Tydzień zbiegł szybko, jako zwykle ludziom pracy.

A następnej soboty, gdy Wawrzyńcowa, zapomniawszy przy obiadowym ogniu przeprosować jakiegoś kawałka bielizny, poszła sobie duszę od żelazka przygrzać do sąsiadki, mającej mieszkanie z oknami na ulicę, stało się coś niezwykłego.

Oto słońce jeszcze dobrze przygrzewało, złocąc ostatnimi promieniami wierzchołki lichych drzew i ubogich w tej dzielnicy domostw, gdy sąsiadka owa, wyjrzawszy przez okno, krzyknęła:

— O!... o!... patrzno pani Wawrzyńcowa! Mąż pani! Mąż, z jakimś drugim!

Murarzowej tchu w piersiach zabrakło, a w oczach jej się zaćmiło. Stała jak

wryta, nie ruszając się z miejsca, ani też mogąc słowa przemówić. Sąsiadka tymczasem ciągnęła dalej:

— Idą sobie rażno. Trzeźwi, aż miło! Wawrzyńcowa nareszcie odetchnęła głęboko.

— Idą... — powtórzyła tylko, jak echo, przyciszonym głosem.

Ale jeszcze nie ruszyła się z miejsca i nie wyjrzała za przykładem ciekawej

kobiety. Powieki spracowanych jej oczu poczęły biegać szybko, coraz szybciej.

Uczuła pod niemi łzy.

Gdy się też wreszcie opamiętała i schwyciwszy żelazko z zagrzaną, duszą,

pobiegła do swego mieszkania, zastała tam już męża, a owym "drugim", o którym

mówiła sąsiadka, był Antek.

Niespodziewano się ich tak wcześnie, a w każdym razie nie przed zmrokiem, więc

też tu i owdzie zwykłych porządków brakło. Tereska oto usuwała właśnie deskę od

prasowania z pod okna ku piecowi, chcąc dla przybyłych, którzy jeszcze nie

zdążyli usiąść, zrobić przy stoliku miejsce. Wawrzyńcowa stanęła z żelazkiem we drzwiach.

Mąż był istotnie trzeźwy.

— Ot, mama! — rzekła dziewczyna, odpowiadając widocznie na zadane poprzednio przez ojca pytanie.

Murarze zwrócili się ku drzwiom.

— Jak się pani ma! — rzekł Antek. Stary Wawrzyniec tryumfował.

— No, stara! przypatrz mi się! — mówił. Mogę ci nawet chuchnąć!

— Chwała Bogu! chwała Bogu! — szepnęła kobieta.

Tereska nie była dziś taka blada, jak zeszłej soboty. Owszem, pokraśniała, a

oczy jej się śmiały, jak nigdy może dotąd. Ona jedna wiedziała, że tak będzie,

jak się stało dzisiaj. Nie przypuszczała, aby to nastąpiło tak szybko, tej już

soboty, nie wspominała o tem nikomu, a przecież coś jej szeptało, że tak się

stać musi. Coby to było, nie zapytywała na razie, nie wiedziała sama...

Odebrała natomiast od matki żelazko, mówiąc:

— Daj mamusia, ja przeprasuję!

Wawrzyniec, ośmielony tymczasem swoim tryumfem, ciągnął znów dalej, zwracając się do uszczęśliwionej małżonki:

— Ale, widzisz, stara, przynieśliśmy za to do domu... On tak poradził, Antek...

Nawetsię z nas nie śmiano, że odstępujem od zwyczaju... Bo to, widzisz, młodym

łatwiej zwyczaj zmienić...

To mówiąc, kładł kolejno na stoliku pozawijane w papier kawałki wędzonki i

salcesonu.

Antek dostawił do tego flaszkę z wódką.

— Tu sobie wypijem wszyscy zgodnie! — dodał Wawrzyniec.

— Bóg panu zapłać! — rzekła murarzowa, zwracając się do Antka.

— Tak być

powinna zawsze!

— A ino, tak będzie! — dorzucił małżonek. Wawrzyńcowa tymczasem, spojrzawszy na

stół, rzekła:

— Ja dziś poszczę wigilję...

— O, szkoda! — zawołał stary murarz.
— Ale wy jeść możecie, wy z pracy! — dodała kobieta.
Mówiła o nich. "z pracy", jak gdyby sarna dzień przespała lub przetańczyła. Ale
co to tam babska robota domowa! Nie liczy się przecie, to rzecz wiadoma...
— A panna Teresa? — zapytał Antek.
— Tereskajak chce, nie przyniewalam nigdy!
— O! ja z mamą poszczę! — odparło dziewczę.
Znalazł się więc znowu na stole ser, tym razem tylko dla kobiet, a Wawrzyńcowa
mogła się naocznie przekonać o "słabości" głowy mężowskiej.
Przy trzecim kieliszku przechwalał się jeszcze:
— Ja dziś trzeźwy, słyszysz stara, trzeźwy, jak... jak... nie przymierzając...
nowonarodzone dziecko...
Ale język już mu się plątał.
Wesołość jednak panowała niezmacona niczem. Tylko Antek nie był dziś tak
rozmowny, jak zeszłej soboty. Bo i o czym miał mówić? Wszak wówczas opowiedział
już wszystko o sobie, a sprawami cudzemi mało się zajmował.
Gdy wreszcie po herbacie zabierał się do domu, stary murarz z rozczulenia począł
go ścisnąć i całować, a po nim — rzecz niesłychana — żonę i córkę.
Śmiały się obie i uciekały przed nim, a on ścigając je po izbie, wołał:
— Dajcie gęby, bom kontent, święcie mówię, kontent!...
Następna "wypłata", a więc i wczesny powrót trzeźwego Wawrzyńca z Antkiem,
wypadły w piątek, nazajutrz bowiem było święto Piotra i Pawła. Ale Wawrzyńcowa,
mimo, że dla niej, do postu, przyniesiono sera szwajcarskiego, który bardzo
lubiła, była czegoś przygnębiona i nieswoja. Wzdychała często i tarła czoło
dłonią, jakby zeń myśl jaką dobrą chciała wycisnąć" a gdy ją zapytywano,
odpowiadała krótko: — E! mam tam swój kłopot!...

A i Teresce także tym razem jakiś niepokój z oczu przeglądał, a na twarzy
zjawiały się naprzemian to rumieńce, to znów po nich tem większa
bladość.

Na chwilę tylko rozruszał obie kobiety Antek opowiadaniem swojej
przygody z tego
tygodnia.

Ma oto trochę grosza, uskładanego na zimę. Trudno z tem się nosić do
roboty,

niby kura z jajem. Schował więc w siennik, w mieszkaniu, a
widocznie go

podpatrzono, albowiem onegdaj, gdy zrana, według zwyczaju,
wyszedł się umyć na

podwórze i wrócił prędzej, gdyż właśnie w studni wody zabrakło,
zastał około

siennika operującego jednego z współmieszkańców, sypiającego w tej
samej izbie.

Ladaco to, pijaczyna i nawet obecnie bez roboty, ale żeby kradł, tego
się Antek
nie spodziewał.

— A to szelma! — zawołała murarzowa. — I cóż mu pan Antoni
zrobił? — dodała
zaciekawiona.

— A cóż! Urznąłem w kark rzetelnie, jak się należało... Ale on się
sumitował,

że nie chciał wszystkiego wziąć, a tylko trzynaście złotych, a pono
nawet dla

chorego dziecka, na jadło i aptekę... Może i łże, jechał go tam sęk!...
Dałem

więc te trzynaście złotych i basta! Niech się nasyci!...

A kiedy Wawrzyńcowa po tem opowiada-niu zaczęła się rozwodzić na
temat: "Jakie to teraz złe ludzie na świecie" —

wtedy dopiero wyszła na jaw cała pogoda zapatrywań młodego
chłopaka.

— Phi! — rzekł — ludzie tam zawsze jednacy, a poczciwych to może
nawet więcej,

niż złych... A już co murarzy, to zanadto czarno osmarowano, o!
zanadto!...

— Święta prawda... prawda... prawda! — potakiwał Wawrzyniec, zabierający się właśnie do trzeciego kieliszka. Nazajutrz Wawrzyńcowa spuściła się z sekretu mężowi, a ten nie miał nic lepszego, jak w poniedziałek, w południowej godzinie, opowiedzieć to samo swemu młodemu przyjacielowi. Tak oto było. Temu panu Mikołajowi przeniesiono kancelaryę, bo teraz przenoszą wszystkich. I to aż na drugi prawie koniec miasta. Musi się więc od Wawrzyńców wyprowadzić, jeszcze nawet przed połową lipca. To jedno zmartwienie. A drugie to, że mu wpadła w oko Tereska. Chce ją więc pojąć... — Ożenić się z nią? — spytał Antek. — A ino, jak się należy... po ludzku... — No, więc czegoż zmartwienie? — ozwał się młody murarz, wzruszając ramionami. — Ano — ciągnął Wawrzyniec — juściby tani nie było czego, bo mu się dobrze powodzi i pieniądze dziś już mieć musi... Przytem zawszeć to figura, nie rzemieślnik żaden. A wcale też nie stary i zdrów... Ino, widzisz Antoni, dziewczyna nie chce... — Czemu? — Mówi, że nie i nie... — Ano, trzeba jej zostawić wolność... Czy to on jeden na świecie? — ozwał się chłopak. — No, ale figura i ponoć katolik, a dziewczynie czas za męż... Dziewiętnaście lat się kończy... Dobre dziecko przytem... A może nie tak prędko trafi się kto drugi... — A to istotnie niewiedzieć, co robić — za-konkludował Antek i na tem się narada skończyła.

Ale widocznie myślał, jakby Wawrzyńcom pomódz, bo coś na trzeci dzień sam zaczął starego towarzysza.

— Co do tego mieszkania po tym urzędniku, mówił — to radę mam.

Mnie ano tam

źle, gdzie mieszkam... Zdaje mi się, że ten Franek, co to już wiecie, znowu mi

się chce do pieniędzy dobrać. A chociażem już gdzieindziej schował, to przecież

smakowałyby mi wreszcie jakiś kąs niby własny, nie spółko wy... Ja to mieszkanie

wzmę... Powiedźcie kobiecie...

O córce natomiast nie było mowy. Na ten drugi kłopot Wawrzyńców Antek jeszcze

nie znalazł lekarstwa.

W swoim czasie sprowadził się też do Wawrzyńców, do izdebki po panu Mikołaju.

Co do tego ostatniego, dano mu odpowiedźni taką, ni owaką, o co się też podobno nawet obraził, mówiąc, że prosić się

wcale nie potrzebuje, że raczej panna Tereska jego prosić się będzie.

Nie myślano jednak o tem wcale.

Nastał znów spokój, aż się cała Smocza ulica dziwiła.

Wawrzyniec wracał co sobotę trzeźwy, a Wawrzyńcowa nie mogła się dość nachwalić

swego nowego lokatora. Mówiła, że zdrowia jej tego roku za dziesięć lat wróciło.

Tymczasem dziewczynie zdrowie właśnie uciekało i to bezpowrotnie.

Dawniej tak się cieszyła, gdy jej na miesiąc naprzód przyobiecano wycieczkę do

"lasku" na Czyste lub na Saską Kępę; teraz wycieczki takie urządzano co

niedzielę i święto, bo i zarobek był dobry i Antek chętnie się dokładał do

wydatków, mówiąc, że zieloność lubi, a Tereska i bladła i mizerniała coraz

bardziej, a jeść to już i zgoła prawie zapomniła.

Czego w nią nie wmuszono, tego nie przełknęła.

A na owych wycieczkach niedzielnych, gdy Antek, swoim zwyczajem, odciął się od reszty towarzystwa i poszedł na godzinę lub dwie błądzić na uboczu, właśnie dla owej zieloności, którą lubił, to już całkiem i uśmiech i wesele i kolory traciła. — Co się z tą dziewczyną stało, sama nie rozumiem! — mawiała matka.

Istotnie, dawniej nie można się jej było rankiem dobudzić, choć cała noc spała, jak zabita. Teraz po nocy często wzdychała, a o świcie udawała tylko przed matką, przyrządzającą śniadanie, że śpi, a zasypiała naprawdę dopiero, gdy już ojciec i Antek zniknęli za drzwiami, spiesząc do całodziennej roboty. W magazynie też, do którego chodziła do szycia, poczęła obecnie coraz mniej zarabiać. A kiedy matka, zresztą bez ostrych wymówek, dziwiła się temu, odpowiadała:

— Tak już jakoś, mamusiu, nie sporo mi idzie! Nie mogę!...
Gdy zaś raz nad tym jej stanem, w jej nieobecności, w niedzielę rano deliberowano, odezwał się Antek:

— Co się tu dziwie"! Rozmyśliła się i żal jej tamtego...
Tu wskazał na drzwi zajmowanej obecnie przez siebie izdebki.
Uwaga ta wydała się obojgu rodzicom nadzwyczaj słuszną i trafiła im do przekonania. Wprawdzie Tereska mówiła, że tego konkurenta i takich jak on nie lubi, ale kto tam wie, czego się młodym dziewczętom zachciewa, kto tam to kiedy odgadnie? Głupie to, jak młody psiak. Trzast, prast — odrzuci, a potem zasie wzdycha... I ot, bieda! I była bieda, bo obrażony pan Mikołaj, przeprowadziwszy się na Podwale, nie pokazywał się zgoła.

— Może to jakoś Pan Jezus przemieni! Będę siedem piątków suszyła!
—
zakonkludowała Wawrzyńcowa.

Tymczasem pewnej niedzieli, pod koniec września, Antek zasnął
nieco zrana, a

wyszedłszy ze swej izdebki, zastał tylko samą Tereskę.

— Starych nie ma? — zapytał.

Dziewczyna odpowiedziała, że rodzice wyszli "do miasta" za kupnem
paltota na

zimę, bo gdy mrozy nastaną, to żydy zaczną się drożyć, a teraz jeszcze
taniej

można kupić.

— Szkoda, że nie wiedział! — rzekł — byłbym poszedł z nimi, bo i
mnie trzeba!

Dopiero rzekłszy to, spojrzął na dziewczynę.

Była blada, jak zwykle teraz, ale oczy jej błyszczały silniejszym niż
kiedykolwiek ogniem.

Nastała chwila kłopotliwego milczenia.

Kanarek tylko "wycinał", rozwodząc swe trele i głuszając świąteczną
ciszę,

zalegającą dokoła, jako w godzinach nabożeństwa niedzielnego, w tej
dzielnicy

roboczej.

Kotki nie było w domu, a koncertu kanarka dopełniało brzęczenie
wielkiej muchy,

uwięzionej w oknie i pragnącej wydostać się przez, szyby. Antek był
już ubrany i chciał wychodzić, ale jakoś mu nie sporo było ku

drzwiom

postąpić. Właściwie ta dziewczyna nic go nie obchodziła, ale czuł, że
należało

coś do niej zagadać. Nie chciał, aby go posądzono, że od niej ucieka,
że ludzi

się boi.

Wyprostował się, jak młody dąb na słońcu, wziął za czapkę i miał ją
w rękach,

ale koncept żaden nie przychodził mu do głowy.

Począł znów być zły sam na siebie i na tę dziewczynę.

— Cir, cir, cir, cir! — głośił tymczasem kanarek.

— Bzuuumm! — odpowiadała mucha. Widocznie ta ich rozmowa
natchnęła Antka,

bo spojrzawszy z pod oka na dziewczynę, przemówił nareszcie:

— Czego panna Teresa teraz taka smutna? Dziewczyna podniosła
oczy, zwróciła
twarz

ku młodemu chłopakowi i spojrzała z okrutnym wyrzutem.

Był w tem spojrzeniu ból, była jej cała dusza, cierpiąca, smutna,
stargana na
strzępki.

Ale chłopak, po zadaniu tego pytania, patrzył już teraz w kanarka.

— Nie moja wina — rzekła.

— Ano, to czyjaż? — zapytał mimowolnie.

— Zgadnij pan — podchwyciło dziewczę cichutko, a tak się złożyło
właśnie, że

kanarek, jakby dla uwydatnienia tego frazesu, zamilkł na chwilę.

Ale Antek nie lubił zagadek.

— E! bo ja tam wiem! — odparł niedbale, prawie nawet ze złością.

Znowu nastąpiła cisza.

Dziewczyna poczęła się teraz mienić na twarzy. Czerwieniała, bladła,
zieleniała

naprzemian, odwracając uporczywie głowę ku oknu, aż wreszcie
gruchnęła strasznym

spazmatycznym płaczem. Potem zaś, jakby się tego wybuchu
wstydziała, zerwała się

z miejsca i chciała ku drzwiom uciekać.

Antek machinalnie zagroził jej drogę.

— Co, pannie jest? — zapytał.

Nie odpowiedziała nic, ale nie mogąc uciec z mieszkania, wtuliła się
w kąt przy

oknie i oparłszy główkę o ścianę, zakryła oczy chusteczką.

Płakała ciągle, choć już teraz po cichu.

Antek zgłupiał ze szczętem. Łzy były mu nieznane. Matka klóciła się,
ale nie

płakała nigdy. Pomocnice murarskie płakały wprawdzie, ale gdy je
bito. Tereski

nikt nie bił, więc jej płacz przeraził go.

Chciał uciekać, a przecież coś go do tej dziewczyny ciągnęło.

— Co pannie jest? — powtórzył.

Długo nie odbierał żadnej odpowiedzi, wreszcie, wśród świergotu
kanarka i

brzęczenia owej wielkiej muchy, dosłyszał zdławione słowa: — Nie mogę żyć bez pewnej osoby... Ja sobie zrobię co złego... Ja sobie życie

odbiorę... Nie może inaczej być!...

Zdawało mu się, że zrozumiał teraz wszystko.

— Aaa! — szepnął przeciągle.

Milczał, ale krew burzyła się w nim, niby ukrop w garnku.

— Będzie, musi być inaczej! — pomyślał.

Co jednak robić?

Co? Pójdzie oto na Podwale, do tego pana Mikołaja i powie:

— Albożeń się z Tereską, albo ci łeb cegłą rozwalę i skończy się wszystko!

Naturalnie, tak będzie najlepiej.

Zwrócił się też do dziewczyny:

— Nie płacz panna Tereska! Naprawi się!

I polecał, jak strzała.

Na Podwale był kawał spory, ale Antek wymijał wszystkich.

Odwaga jego rosła też do połowy drogi, niby ciasto na drożdżach. Ale od połowy

owo ciasto czegoś się oziębiło. Zaczynało opadać.

Przyszły skrupuły.

— No, a jak on już nie chce? Cóż robić! Ba! Tereska płacze przez niego. Nie

wolno mu już teraz nie chcieć.

— Tak, płacze!... Sam widziałem! — pomyślał. I z myślą tą świeżą, fala krwi napłynęła mu do głowy, rozpalając na nowo ochotę zemsty.

— Ubiję, jak mi Bóg miły, ubiję! — pomyślał i myśl tę wyraził tak głośno, że aż

jakiś przechodzień na bok przed nim uskoczył i zasłonił się mimowolnie ręką.

Antek to dostrzegł, zrozumiał też, że w głos się odezwał, ale to go tylko

tembardziej rozgniewało.

— Czego się pan lękasz, do ciężkiej choroby! — rzekł.

I puścił się znów naprzód, ale go doleciały słowa owego przestraszonego:

— Waryat, czy co?...

To go zastanowiło. Zrobiło mu się gorąco. Zdjął czapkę i machinalnie sięgnął ręką do głowy.

— Tak, ja jeszcze gotów zwaryować! — jęknął sam do siebie. Wreszcie stanął na Podwalu. Przypomniał sobie numer domu.

— Dwudziesty pierwszy!
Stróż stał przed bramą. Zawiązał z nim rozmowę, pytając o poszukiwanego.

— Oho! już po nim! — brzmiała odpowiedź.

— Jakto po nim? — zawołał.

— Ano! schowali go! — rzekł stróż i ręką zrobił ruch taki, jaki czyni się przy przekręcaniu klucza w zanku.

Istotnie, po owym przeniesieniu kancelaryi, wyszły na jaw jakieś interesa — może te, za które były sublokator Wawrzyńców szedł do kościoła Bogu dziękować, dość, że dostał się tam, gdzie być nie chciał.

Antek na wiadomość tę wściekał się z rozpacz.

— Rany Boskie! — zawołał. — Jakże ja jej teraz tego chłopca ztamtąd dostanę!

Stróż wybałuszył zdziwione oczy, a to Antka znowu rozgniewało.

— Czego tak patrzysz, kasztanie! — zawołał.

Szukał widocznie zaczepki i czuł, że gdyby mógł kogo wygrzmocić, zarazby mu ulżyło.

Dał jednak pokój.

Ale do domu włókł się już tylko. Z tą wieścią nie było mu wcale spieszno.

Wprawdzie przychodziła mu myśl, iż Tereska może już o tem wiedziała.

— Tak, tak! Dlatego pewnie płakała! Ze wstydu!...

Nie potrzebował jej więc tej nowiny powtarzać i to go cieszyło, ale płacz jej znów będzie słyszał.

A szumi mu on w uszach aż dotąd.

— A to skaranie Boże! — szepnął. — Po co mi było w to wkładać palce! A takem

zawsze bab nie lubiał, takim nie lubiał! Wreszcie, zgarbiony ze zmęczenia, mniejszy jakiś, niepodobny do siebie samego, stanął jak widmo na progu izby Wawrzyńców.

Gdy już ruszył klamką i drzwi otworzył, dostrzegł, że Tereska zerwała się z krzesła i kryjąc w dłonie twarz, uciekła w swój kąt pod oknem. Nadto usłyszał szeptem wyrzucone słowa:

— Cicho! pst! mamciu!

Wawrzyńcowie byli już w domu. Spojrzeli na niego niemal tak, jak ów stróż i ten przestraszony jegomość z ulicy, a on na nich niegorzej też oczy wytrzeszczył. Nie wiedział, jak zacząć.

— Wszystko przepadło! — odezwał się wreszcie.

— Wiemy już, wiemy! — przerwał Wawrzyniec. — Siedzi w areszcie...

Dowiedzieliśmy się teraz w "mieście. "

— Bóg strzegł! Nienapróżnom suszyła! — dodała Wawrzyńcowa. A mówili to tacy jacyś zadowoleni, że Antek znowu nie wiedział, co o tem sądzić.

Ale już szerzej oczu otworzyć nie umiał.

A patrzył ciągle.

Wreszcie Wawrzyńcowa przysunęła się i stanęła wprost przed nim.

— Oj! panie Antoni! — rzekła, załamując ręce. — Oj! panie Antoni! Widocznie dziwiła się czemuś.

Ano, niech tam się dziwi. Niech nawet cały ten dom się zawali. Już mu teraz było wszystko jedno.

Stał i patrzył.

Aż kobieta się rozgniewała i zawołała prawie ze złością:

— A toż pan oczu nie ma, czy co? Dziewczyna przecie za panem tak szaleje, nie za tamtym!

Przymknął wtedy oczy, bo tego wszystkiego było mu już nadto. Ale, kiedy je roztworzył po chwili, zdziwił się niemało, że Tereska jest taką piękną dziewczyną.

Bies, czy co? Jakby ją pierwszy raz dopiero zobaczył!...
A wieczorem, to już był pewny, że nie ma nad nią piękniejszej w
Warszawie,
ba!... na świecie całym!...
Urządzono też dnia tego w domu Wawrzyńców ucztę z serem, z
wędzonką, z likierem
różanym i wieloma innymi specyjalami.
Było się czem przed ludźmi pochwalić, więc zaproszono sąsiadkę "z
frontu", tę
właśnie, co to niegdyś pierwsza zobaczyła Wawrzyńca, trzeźwo do
domu
powracającego.
Tym razem jednak stary murarz rozigralsię na dobre. Nietylko nie
poprzestał na trzech kieliszkach, lecz aż do sześciu
dociągnął.
A kiedy zamglonemi "z rozczulenia", jak mówił, oczyma, patrzył na
rozpromienioną
córkę i Antka, którzy siedząc w ulubionym przez • Tereskę kącie pod
oknem, za
ręce się trzymali, przypomniały mu się widocznie dawne, dobre czasy,
bo zaczął
śpiewać:

Wydarzyła się przygoda —
On był młody, ona młoda...

— No, no, stary! nie wydziwiaj, opamiętaj się! — upominała
Wawrzyńcowa.
Ale "rozczulony" małżonek nie chciał przestroóg słuchać...

On był młody, ona młoda...

— Będziesz ty cicho! — odezwała się żona, wpadając w pasyę.
— A... a... a właśnie nie będę!... — odpowiedział hardo.
I zaczął drugą zwrotkę:

I usiedli pode krzakiem...

Tu jednak pomyliły mu się słowa owej piosenki, więc, nie przerywając melodyi, zaczął powtarzać:

— Pode krzakiem... pode krzakiem... pode... Na tem skończył i "krzakiem" nie zdołał już wykrztusić, bo właśnie Wawrzyńcowa dała mu w kark, aby, jak mówiła: "dzieci nie gorszył".

Więc znowu się nastawił i rzekł:

— Ej, babo!... Zdaje mi się... dobrze mówię... zdaje mi się, żeś ty mnie uderzyła!...

JOSEK GESUNDHEIT I S-ka

Nie było szczęśliwszej pory w życiu Joska Gesundheitsa nad jego lata dziecięce!

Puszczany samopas i niedogładany przez nikogo od chwili, gdy tylko skrzywione w pałąk nogi stawiać jako tako począł, a nawet wypędzany często z izby, aby nie

zawadzał starszym przy robocie — bujał sobie swobodnie, najpierw po podwórzu

rodzinnego domu, później po twardym bruku ulicy Muranowskiej, na koniec zaś po

wydeptanej łące około Cytadeli.

Tam to, wraz z gromadką takich jak sam brudnych i odartych dzieci, wywracał

ucieszne kozły, zabawiał się piłką, uwitą nietyle misternie, ile pracowicie ze

starych gałganków i strzep-ków, a wreszcie szachrował z towarzyszami i towarzyszkami, przybywającymi na ową łąkę z kromką chleba lub kawałkiem makagigi.

Piękne to były chwile! Tu już ojciec nie mógł uderzyć, dorosła siostra nie

zrzędziła, jej mąż, a małego Joska szwagier, nie potraçał — jeśli zaś który z

waleczniejszych towarzyszków zadrapał czasem twarz, płaciło mu się taką samą monetą lub też wymieniało ją na kułak albo kopnięcie nogą — i wszystko dobrze się kończyło.

A uciechy było w bród! Często nawet mały Josek, po wydostaniu się zrana z domu,

w niemałym bywał kłopotcie: gdzie iść i z którą partią? Czy na plac Broni z

gromadką z Niskiej, czy pod Cytadelę z towarzyszami z Muranowskiej, czy na koniec

z partią z Bonifraterskiej pod wiadukt kolei Nadwiślańskiej?...

Pragnął też często trzech, takich małych Josków z siebie zrobić, aby mógł być

wszędzie naraz obecnym.

Po większej jednak części przyłączał się do ostatniej z wymienionych kompanij,

raz dlatego, że w kompanii tej najwięcej bywało kolegów, uposażonych w różne

łakocie, a powtóre, że bliskość drogi kolejowej przyczyniała się niemało do

uroizmacenia rozkoszy, nasycających wrzaskliwą gromadkę.

Mianowicie, każdy przechodzący po linii pociąg wywoływał w całym zebraniu wielką

sen-sacyę, ściągając z murawy i prostując nawet najzapaleńszych "koziołkowiczów" lub

graczy guzikowych. Zapatrzeni w buchającą dymem lokomotywę, stawali wszyscy na

chwilę w osłupieniu, co jednak nie przeszkadzało im potem wzniesć ogromnej

wrzawy na powitanie "żelaznego djabła", a czasem nawet i kamykami celować do

okien pomykających wagonów.

Błogi ten stan byłby może trwał jeszcze długo, gdyby nie śmierć ojca, oraz nie

złośliwość siostry i szwagra, którzy przypomnieli sobie, iż dwunastoletni

chłopiec powinien nareszcie wziąć się do jakiej roboty.

Mały Josek szarpał się, rzucał i krzyczał, nie chcąc z gniazda
rodzinnego
wyruszyć, ale ostatecznie musiał uleść przemocy. Najprzód bowiem
obito go
sumiennie, a następnie poczęto mu tłumaczyć, że trafia się miejsce w
sklepie
żelaznym przy ulicy Bagno, za trzy ruble na miesiąc z początku, a po
roku pięć,
później dziesięć, piętnaście i więcej...
— Fufcen! — zapytał mały Josek.
— Fufcen! — odpowiedział szwagier.
To go ostatecznie przekonało. Wprawdzie bolał nad tem wielce, iż
ulica Bagno tak
bardzo oddalona jest od Muranowskiej i łąki pod Cytadelą, ale nie
było na to
rady. Szwagier bowiem zagroził znowu biciem, a skorsza do takich
egzekucyj
siostra zamierzała natychmiast groźbę męża swego wypełnić. Tym
sposobem, już nazajutrz, stał miody Josek za ladą sklepową, pilnie i z
ciekawością wtajemniczając się w arkana handlu żelaznego.
Nowe zajęcie bawiło go o wiele nawet więcej, niż się tego
spodziewał. Poczul
odrazu, że jest w swoim żywiole i z lubością wpatrywał się w
dziesiątki,
złotówki i ruble, wpływające do kasy pryncypła. Dotychczas zdaleka
tylko mógł na
prawdziwe pieniądze spoglądać — teraz dotykał ich własną ręką,
doznając
rozkosznego wzruszenia, gdy je przez chwilę w palcach zatrzymywał;
na myśl zaś,
że po upływie miesiąca własne swoje trzy ruble mieć będzie, uczuwał
zawrót głowy
i upojenie, pripraviające go chwilami o mdłości.
Całemi godzinami, zwłaszcza nocą, marzył teraz o tem tylko, co z
ową sumą
uczyni?
Trzy ruble! Güter Gott! A potem będzie sześć, a po trzech miesiącach
dziewięć, a

po roku trzydzieści sześć... Strach pomyśleć!...
Spotkało go wszakże wielkie rozczarowanie.
Oto bowiem, w ostatni dzień miesiąca, przybyła siostra wraz ze
szwagrem i
pryncypał na ich ręce wypłacił Joskową załugę.
Zawiedziony Jasek rozplakał się z żalu.
Płakał cały wieczór, całą noc, całe następne rano, a gdy się na koniec
uspokoił,
począł rozmyślać nad tem: czy już nigdy nie będzie mieć swych
własnych
pieniędzy?...Rozmyślał przez tydzień, a w następnym tygodniu stała
się z nim rzecz dziwna.
Ze żwawego jak iskra malca, zrobił się ciężkim i powolnym; mieszał
się, bladł
lub zieleniał naprzemian, a humor i żywość, jakie dotąd go
cechowały, przepadły
bez śladu.
Tymczasem, do tego samego sklepu, przyprowadzono pewnego ranka
takiego jak Jasek
wyrastka, którego ojciec, jak się okazało, był dobrym znajomym
pryncypała.
Z pierwszych już zamienionych wyrazów dowiedział się Jasek, iż
otrzyma nowego
kolegę i że ten kolega, wyglądający na bardzo potulnego chłopczykę,
nazywa się
Herszek Kessler. Przypatrując mu się z ukosa, zauważył nadto, że
Herszek nie
jest wcale splakany, jak splakany był on sam, gdy go szwagier
przyprowadzał.
Owszem, kolega nowy przybywał wesół, a gdy układ między ojcem a
pryncypałem po
krótkich pertraktacjach stanął, zostawał w sklepie z ochotą i żegnał
się z ojcem
czule, obiecując na "szabas" przybyć do domu.
Przez dwie godziny nowi znajomi, mający odtąd wspólną dzielnicę dole,
oglądali się
wzajemnie w milczeniu, jak ogląda się para zwierząt, do jednej
wpuszczonych

klatki. Herszek podziwiał nabyte już wiadomości fachowe Joska, które tenże miał sposobność okazać, znalazł się bowiem jakiś interesant, przybywający kupić parę kłódek; Josek zaś badał garderobę i ogólnywygląd Herszka i przychodził do przekonania, iż lepiej mieć ojca, niż siostrę i szwagra, albowiem Herszek miał na sobie nową kapotę, której kieszenie powypychane były kromkami chleba i pęczkami cebuli. Około południa jedna z tych kromek znalazła się w rękach, a następnie i w żołądku Joskowym i odtąd nowi koledzy pozostali przyjaciółmi. W niewielu wyrazach wtajemniczyli się wzajemnie w swoje stosunki rodzinne, poczęli sobie przypominać zabawy dziecięce i rozpowiadać o nadziejach na przyszłość. Okazało się nawet przytem, iż musieli się kiedyś znać i widywać, Herszek bowiem przez lat dwa należał do wypraw dzieciaków z Nizkiej ulicy i ich uciech na placu Broni. Josek nakoniec dowiedział się, iż jak jego pociągnęła obietnica zyskania kiedyś aż piętnastu rubli na miesiąc, tak dla Herszka argumentem wymownym do porzucenia zabaw były właśnie owe kromki chleba. Poznał też wkrótce, iż nad swym towarzyszem, znacznie mniej rozwiniętym, będzie miał bezwzględną przewagę. Ostatecznie jednak nowa przyjaźń zadokumentowaną została dopiero przy pierwszym "geszefcie", jakiego Josek i Herszek wspólnie dokonali. Oto zdarzyło się w parę dni po przybyciu Herszka, iż pryncypał wyszedł na chwilę zesklepu z jakimś interesantem, a pod ten czas zjawił się właśnie chłopiec szewcki dla zakupienia "szyftów" za groszy.

Josek sztyfty odliczył i po wyjściu chłopca przyzwał skinieniem Herszka, a

wsuwając mu w rękę trzygroszniak, rzekł:

— Weź, to dla ciebie, ale schowaj dobrze...

— Wie hajst? — zapytał naiwnie Herszek, wytrzeszczając zdziwione oczy.

— Nim! dzele sze z tobą! — dodał Josek. Herszkowi przeleciał płomień po twarzy.

Zaczął pojmować.

— Nu, a jak stary pozna? — dodał trwożliwie.

Josek uśmiechnął się z politowaniem.

— Co pozna? co on może poznać? Zkąd on sze bedzie dowiedzieć, co tu był kto za

kupnem? Nu, a co on może poznać: czy sztyftów ubyło z takiej wielkiej paczki?...

Herszek został przekonany.

— To tu tak można? — zapytał.

— Jak sze da, to można.

— A gdzie schować?

— Do buta! — brzmiała informacja Joska.

— Gut g'dacht! To dobrze pomiszlane! — szepnął Herszek, podziwiając rozum swego towarzysza.

Im zaś dłużej myślał, tem operacya ta wydawała mu się naturalniejszą.

Nie mógł

tylkozrozumieć, dlaczego jemu dostało się trzy grosze, podczas gdy

Josek zabrał

dziewięć?

Nie miał jednak czasu nad tem rozumować, wieczorem bowiem nastąpiła się nowa

trudność. W bucie pozyskanej monety nie można było trzymać, w ubraniu także,

gdyż Josek z góry przestrzegał, iż w nocy pryncypał rewiduje garderobę swoich

pomocników.

Trzeba było obmyśleć lepszą kryjówkę i Josek istotnie ją obmyślił, ale jak

zręczny dyplomata, nie kwapił się z wyznaniem, chcąc, aby Herszek sam go o to

poprosił i uznał tem samem jego wyższość.

Tak się istotnie stało.

Wówczas Jousek wywabił Herszka w ciemny kąt sieni, a dając mu kawałek szmaty i

sznurka, kazał mu w szmatę dobrze pieniądz zawiązać i na sznurku zawiesić na

szyi, w ten jednak sposób, że środek pętlicy z prawej tylko strony dotykał

karku, węzełek zaś z monetą szedł pod pachwinę lewej ręki.

Tak żołnierze, tylko niżej nieco, przewieszają szable przez ramię.

— Hörst dy! — mówił przytem Jousek — choćby stary macał nas, jak będziemy

spali, to nic nie znajdzie...

Pryncypał rzeczywiście w nocy przeszukał starannie garderobę

Herszka (Jousekowi

widocznie już wierzył), zbliżył się doń nawet i macał go po piersiach.

Ale

obawiając się przebudzić śpiącego, nie wykonywał tej czynności tak dokładnie, aby aż sznurek pod palcami mógł

poczuć, a węzeł z monetą znajdował się pod pachą.

Podczas tej funkcji pryncypała, Jousek udawał tylko śpiącego, biedny Herszek zaś,

najwięcej w rewizyi interesowany, spał istotnie, jak zabity.

Spółka została więc zawarta i usankcjonowana powodzeniem.

Odtąd dzień, któryby nie przyniósł wspólnikom żadnej korzyści, należał do

wyjątków. Jousek kierował operacyami i działał zawsze tak, iż nie mógł być

schwyty. Za rzeczy, których ubytek łatwo pryncypał mógł dostrzedz, oddawał

wszystko rzetelnie, oszukując tylko na sprzedaży drobniejszych lub liczniejszych

przedmiotów.

Operacje te ułatwiał im zresztą sam system, przyjęty po żydowskich handlach.

Stałych cen nie było. Istniało wprawdzie pewne minimum, za jakie ten lub ów

przedmiot można było oddać, zawsze jednak mówiło się cenę wyższą, z której

sprzedający opuszczał dopiero przy targu mniej lub więcej.

Spółce zatem dobrze się wiodło.

Ale jak pierwszego dnia, tak i następnych, Herszek zawsze był krzywdzony przez

chytrego wspólnika. Josek nigdy nie oddawał mu równej połowy, gdy zaś Herszek

"operacyi" dokonywał, domagał się odeń najrówniejszego podziału.

— Jak to może być? — protestował czasem potulny Herszek.

— Ja to pomiszczałem! ja ciebie nauczyłem! cobyś miał bezemnie? — odpowiadał

wówczas Josek.

I Hersz przekonany ulegał.

Czasem jednak występował energiczniej przeciw tej nierówności podziału, ale

zwykle źle na buncie wychodził, Josek bowiem w braku innych argumentów, uciekł

się nawet parę razy do pięści w kułak zaciśniętej, a we władaniu tym orężem był

od słabego Herszka znacznie bieglejszym.

Zazwyczaj jednak zgoda prędko nastawała, bo zresztą i sposoby, jakich Josek do

wyzyskiwania Herszka używał, były najczęściej łagodniejszej natury.

A pomysłu do nich nie brakowało w bystrej mózgownicy dawnego rycerza z pod

Cytadeli.

— Hörst dy, Hersz! — rzekł mu pewnego ranka — ty narobisz kiedy kram i wielkie

awanturę, bo ty gadasz w nocy.

— Jaktó gadam?

— Gadasz, jak szpisz...

— Nie może być!

— Słyszałem już parę razy. Ty gadasz!

— A co ja gadam?

— Różne rzeczy... Ty jeszcze kiedy wszystko wygadasz, a stary może wysłuchać.

Wtedy byłoby ci ciepło!...Herszek, zakłopotany, począł mlaskać językiem i głową kiwać, jakby się sam sobie dziwił.

— Nu, co robić? — zapytał wreszcie.

— Trzeba coś zrobić na to — odparł Josek z udaną wybornie obojętnością.

— Ale co? ja nie wiem...

— Pomiszl!

Wtedy Herszek uderzył w pokorę.

— Josele! — rzekł, zbliżając się do kolegi i głaszcząc go po karku — Josele!

ja wiem, co ty jesteś dziesięć razy, sto razy, odemnie mądrzejszy. Ty pomiszlisz za twojego Hersza!

— Może pomiszlę, jak będzie mi się podobać!

— Nu, niech ci się podoba, Josele, niech ci się podoba! — prosił Herszek.

Mistrz pokiwał głową protekcyjnie.

— Ja tobie co powiem! — rzekł. — Ja szpię tak czule, jakmisz, albo kot! Jak ty

zacziesz gadać, to ja ciebie uszczipnę, to ty przestaniesz gadać, bo ty się obudzisz...

— Uszczipnij, Josele, uszczipnij! — prosił Hersz.

— A widzisz! ty zawsze potrzebujesz moje pomoc, a ty wczoraj nie chciałeś mi

nic dać z interesu, który zrobiłeś z tym cieślą, co piłę kupowałeś!

— Ja nie zrobił żaden interes! Zkąd ty wiesz, kiedy ciebie nie było?

— Ja sze domiszlam. Bin klug! Tyś odniego wziął dziewięć złotych, a oddałeś dla pryncypała osiem. Ja widziałem jakiś ty był blady, kiedyś te osiem złotych oddawałeś...

Herszek chciał się jeszcze zapierać.

— Ale ty to w nocy kiedy wszystko wygadasz! — dodał Josek.

— Wziąłem dziewięć! — wykrztusił Hersz.

— A widzisz! Ale ja nie chcę od ciebie tej połowy. Ty mi daj raz na zawsze trzy

złote, to ja ciebie będę za to szczytać, gdy będziesz W nocy gadać...
Po chwili wahania i targu, układ został zawarty. Herszek, który sypiał
niemo,
jak ryba, wypłacił sprytnemu Joskowi żadaną sumę.
Dla upozorowania zaś całego fortelu, Jasek istotnie przez parę nocy
budził
szczypaniem biednego Herszka.
— Hersz! lass das, dy szprichst! — mówił.
A Herszek, przecierając zaspane oczy, podziwiał czujność Joska i
dziękował w
duszy Jehowie, że mu naraił takiego towarzysza.
Ale... "kradzione nie tuczy" — przynajmniej czasami.
Jasek, przy całym swoim sprycie i pomimo że na wyzyskiwaniu
naiwnego Herszka
podwójnie zarabiał, nie mógł dojść do niczego. Przypuszczony do
grosza, który
dotąd był dla niego zakazanym owocem, począł używać pełną pierśią.
Wszystkie przekupki z obwarzanym gro-chem, makagigami,
orzechami, suszonymi pestkami od dyń i porozdzielanemi na
cząstki pomarańczami — miały w nim stałego kundmana. Uciechy te
zaś zabierały mu
naturalnie niemało czasu, wkrótce też wyrobił sobie u pryncypała
opinię, że
posłać go za interesem ze sklepu nie warto, bo nie umie szybko
wracać.
Czasem nawet, gdy się za długo zasiedział, otrzymywał za to, obok
nagany, parę
szturkańców, tłumaczył się jednak wówczas, że chodzić prędko nie
może, bo nogi
go bolą. To pryncy-pała zwykle rozbrajało, zwłaszcza, że z
postępowania Joska w
sklepie był zupełnie zadowolony. Wiedział bowiem, że chłopak umie
dużo gadać i
tak towar zachwala, iż prawie nigdy kupującego nie wypuszcza ze
sklepu. Częściej
więc odtąd posyłano za interesami potulnego Herszka, chyba, że przy
owych

interesach trzeba było także dużo gadać. Wówczas szedł Josek i jak zwykle czasu marnował dużo, ale sprawę doskonale załatwiał. Tracąc lekko to, co lekko przychodziło, wyrzucał sobie Josek nieraz swoją rozrzutność. Po każdej hulance uczuwał żal za przepuszczonym groszem, tracił humor, przysięgał sobie poprawę i oszczędność, monologował nawet sam z sobą, wymyślając sobie przytem gorzej, niż to czynił czasem jego pryncypał.

— Bin Szurke! Bin a ferfluchter Ganef! Bin a rajner Ezel! Sztage mich bodt der Hund!...

Wszystko nadaremnie, wszystko to nie pomagało! Dopóki siedział w sklepie, dopóty czuł pod pachą lewej ręki węzeł z kradzionym groszem; gdy tylko wyszedł, stracił napewno.

Często więc nawet kontent był z tego, że teraz rzadziej wysyłano go ze sklepu.

A jak z początku nęciły go suszone pestki dyni, orzechy i pomarańcze na cząstki

porozbierane, tak później począł zaglądać nawet do żydowskich szynczków, gdzie

zamiast przysmaczków, kazał sobie podawać kieliszek wódki, zagryzając jajkiem na

twardo gotowanem, dzwonkiem śledzia lub obwarzankiem grochowym.

Czasami znów napadała go manja strojenia się. Był to zresztą jedyny sposób, aby

nie stracić pieniędzy "marnie" — bo przynajmniej to, co "sprawił", zostało — to

zaś, co przejadł, przepadało. Chwycił się więc tego ratunku i przez pewien czas

na "garderobę" grosz zyskany obracał. Raz kupił sobie czapkę, innym razem

szelki, jeszcze innym skarpetki. Gdy zaś pryncypał zwrócił czasem uwagę na

niektóre z tych sprawunków, wówczas Josek bez zajknięcia odpowiadał:

— Siostra mnie to kupiła! Ona taka dobra!... O! i szwagier dobry!... W duszy zaś zły był, że musiał chwalić szwagra i siostrę, którzy wyrażali dotąd

swączulość względem niego tylko tem, że bili go: oboje razem lub każde z osobna.

Ale nie było na to rady. Chcąc bowiem upozorować pochodzenie owych sprawunków, trzeba było kłamać w ten sposób.

Ostatecznie też Josek nigdy niczego nie mógł się "dorobić", a tymczasem dorabiał się jego uczeń — Herszek.

Nie miał on tego co Josek sprytu, więc też i całą naukę życiową czerpał za

pomocą, oczu, naśladowując to, co widział. Na własny pomysł, na samodzielność,

ciaśniejsza jego mózgowica wysilić się nie mogła, ale natomiast w naśladowaniu

Joska nie dałby się być nikomu wyprzedzić. A Josek, ucząc go kraść, nie mógł

nauczyć puszczania pieniędzy, wiedział bowiem, że źle robi. Łudząc się zresztą

ciągle nadzieją poprawy, nigdyby się był do tej wady swojej przed Herszkiem nie

przyznał. Owszem, jeżeli się kiedy o "zyskach" zgadało, oświadczał uczniowi

swemu, że składa gorliwie, a to wystarczało, aby Herszek strzegł też pilnie

swojego skarbu. Węzełek jego pęczniał więc ciągle, a malał tylko wówczas, gdy

uzbieranego drobnemi rubla przyszło mu na papierek wymienić...

Czas biegł. Rok właśnie upłynął od chwili zawiązania spółki. Zbliżały się święta

"Paschy — a w porze tej, jak zwykle, handel był bardzo ożywiony.

Ale na

nieszczęście, pryncy-pał nie ruszał się krokiem ze sklepu, nie można więc było nic "zarobić".

I oto Josek, mając przed sobą parę dni wolnych, ujrzał się nagle bez grosza.

Wiedział wprawdzie, że podczas świąt, które miał spędzić u siostry i szwagra,

nie będzie mógł hulać, boi sklepy będą pozamykane i zwyczajnie nie dozwala nic

jeść, prócz świątecznych pokarmów. Powtarzał sobie to po dziesięćkroć, chcąc się

tym sposobem pocieszyć, a przecież czuł się bardzo nieszczęśliwym na samą myśl,

że jest bez pieniędzy.

Herszek jednak miał pieniądze napewno, a w Joskowej głowie nie brakowało

fortelów.

Pewnego więc wieczora, już po zamknięciu sklepu, Josek odwołał Herszka na bok i

udając wielce przestraszonego, rzekł:

— Słuchaj Hersz! Stary się czegoś domyśla. Boję się, coby on nas w nocy nie rewidował...

— Przecie nie znajdzie! — odparł Hersz. — Sam mówiłeś, że i rabinby nie znalazł!

— Mówiłem, ale jak się domiszła, to znajdzie... Trzeba lepiej schować...

— Ale jak? — pytał Herszek.

— Ja wiem... Ja już obmiszliłem...

— No? — zawołał Hersz w tonie zapytania.

— Tobie przecie nie można powiedzieć, ty w nocy gadasz!... Zakłopotany spółnik poskrobał się po głowie, ale po chwilce namysłu rozpogodził zachmurzone oblicze.

— No, to przecie ty mnie uszczypniesz! — rzekł tryumfująco.

— Mogę zasnąć... mogę się nie przebudzić na czas...

Hersz znowu posmutniał.

— Nu, a co będzie? — pytał.

— Dawaj, ja tobie schowam razem z mojemi.

Biedny Herszek, mimo całej wiary w rozum Joska, a raczej właśnie dlatego, aż odskoczył, gdy wysłuchał tej propozycji. Wiedział, że gdy Josek schowa, to pryncypalnie znajdzie, ale nie był pewien, czy w takim razie sam spotka się jeszcze kiedy ze swym kapitałem. Instynktownie uląkł się rozumu Joska, jak instynktownie lęka się słaba psina wielkiego brytana, mimo, że tenże czasem najrozmaitszemi minami stara się okazać przychylność zamiarów swego zbliżenia.

Ale Josek tak dobrze grał komedię i tak wymownie dowodził konieczności

obmyślenia nowej kryjówki, że Herszek począł się wahać.

Widząc to Josek, zawołał:

— Rób, jak chcesz! Ale pamiętaj, żem cię przestrzegał.

I postąpił naprzód, jakby chciał odchodzić. — Czeka, Josele, czeka!

— wołał zrozpaczony Herszek.

— Spiesz mi się... nie mam czasu! — brzmiała harda odpowiedź Joska.

— Nu, Josele! Nu, ty przecie przyjaciel... Ty nie będziesz chcieć mojej

straty... ja się z tobą dzielę zawsze równo!... Ja ciebie nigdy nie oszukałem...

Gott mir a soj helfe — nigdy!... No, ty schowasz moje pieniądze, ale przysięgniesz?

— Czemu nie? Przysięgnę!

Herszek wsunął rękę w zanadrze.

Oczy Joska zaświeciły na widok łupu, a po jego wązkich wargach przeleciał

uśmiech, w którym zmieszało się i zadowolenie z osiągniętego rezultatu i

politowanie nad głupotą przyjaciela.

Herszek dostrzegł i ów blask oczu i uśmiech. Słabo mu się zrobiło, a jego ręka,

plądrująca po za koszulą, zatrzymała się.

— Josele, przysięgniesz? — zapytał raz jeszcze.

— Przysięgnę! — powtórzył Josek uroczyście.

— Nu, ja tobie wierzę, ale policzę...

— Policz! — odparł Josek.

Dla okazania zaś swojej obojętności i zarazem dla uniknięcia badawczych spojrzeń

towarzysza, odwrócił głowę, udając, że rozgląda się, czy ich kto nie podpatruje.

Herszek tymczasem liczył i wzdychał. Nieufność, która raz już wkradła się do

jego ser-ca, nie dała się jakoś odegnąć, choć Herszek odegnąć ją pragnął.

— Nu, masz! — rzekł nakoniec. — Jest tu cztery ruble dwadzieścia dwie

kopiejek...

Josek skoczył, jak oparzony.

— Wie hajst? Tylko tyle? — wrzasnął.

Maska opadła. Zawód malował się zbyt widocznie na jego twarzy.

Cała ta komedia

kosztowała go znacznie więcej, niż przynosiła zysku.

— Tak mało? To nie może być! — mówił, wyciągając drżącą dłoń po Herszkowe

"oszczędności".

— Nu, co myślisz? zkad może być więcej? — usprawiedliwiał się Hersz.

— Musiałeś zgubić! — zawołał Josek.

— Może zgubiłem... — odparł Hersz.

Nagle Josek drgnął, pochylił się nad przyjacielem, schwycił go za rękaw i

wytrzeszczył oczy badawczo.

— Nu, a co ci tam w ręce szeleszczy? — zawołał.

— W jakiej ręce? w której ręce? Tobie się zdaje! Ty mnie nie wierzysz? — bronił

się Herszek.

A jednak nie roztwierał prawej ręki, w kułak zaciśniętej, i licząc pieniądze na

dłoni Joska posługiwał się tylko dwoma palcami: wielkim i wskazującym.

Wszystkie zresztą czynności wykonywał owe-go wieczora tylko siedmioma palcami, trzech zaś brakowało mu naprzemian to u prawej, to u lewej ręki. W nocy spał też biedak z lewą dłonią obwiązaną sznurkiem i dusił w niej zmiętą, zapoconą pięciorublówkę, którą przed Joskiem ukrył, a której bał się podczas snu wypuścić. Była to zresztą jedyna ocalona suma i aby się o tem przekonać, Herszek przynajmniej długo nie czekał. Już bowiem nazajutrz około wieczora przybiegł doń Josek z wytartemi do czerwoności kulakami i następnie poślinionemi oczyma, a udając w ten sposób zapłakanego, wołał:
— Niestety, nieszczęście! Schowałem na podwórzu w komórce i ktoś znalazł i zabrał!
Herszek przyjął tę wiadomość spokojnie, mówiąc tylko:
— Szkoda, szkoda!...

Był on pewny, że na tem skończyć się musi i już w ciągu nocy i dnia oswoił się z myślą o tej stracie. Uczuł przecież w głębi serca coś w rodzaju żalu nad tem, że to właśnie Josek, przyjaciel, tak z nim postąpił. Nie umiał sobie zdać z tego sprawy, ale wolałby był pieniądze te w inny sposób stracić.

Josek też po tej flegmie Herszka poznał, iż nie zdołał go przekonać, ale pragnął przynajmniej ocalić sytuację — utrzymać się w charakterze. — Ty mnie nie wierzysz? — zawołał, krzywiąc usta do płaczu.

Herszek zawahał się. Dla prawej w gruncie jego natury, komedia ta zdawała się trudnym do udźwignięcia ciężarem. Już chciał usta otworzyć, aby powiedzieć szczerze, co o tem wszystkim sądzi, ale zwykła jego nieśmiałość wzięła

przecie górę. Jakże to bowiem było wykrztusić: "Josele! ty mnie oszukałeś"...

Cofnął się więc w porę i odparł tylko:

— Wierzę...

Tymczasem Josek, trąc oczy palcami, grał dalej rozpoczętą komedię:

— Chodź ze mną! — wołał — chodź, ja ci pokażę to miejsce, gdzie były schowane

moje i twoje pieniądze... Ja jeszcze więcej od ciebie straciłem...

Chodź, ja

ciebie przekonam...

I mimo oporu, począł biednego Herszka ciągnąć za sobą w głąb podwórza, ku

drewnianym komórkom, zajęтым na skład drzewa i innych domowych rupieci.

— Chodź, zobaczysz!...

W komórce, w jednym z kątów, spostrzegł Hersz świeżo wzruszoną ziemię, jak gdyby

istotnie dopieroco ktoś ją rozgrzebał.

— Tu było zakopane! tu! — wołał Josek — ztąd zabrał jakiś złodziej!

Brach er

Hand u Fuss!... Żeby się mu źle działo, żeby go kolki złapały!

Herszek, przy całej swojej dobroduszości, nie uwierzyłby był nigdy, aby Josek w

takim miejscu, na parę cali pod powierzchnią ziemi, ukrywał pieniądze.

Kiwał wszakże głową potakująco, udając żal za straconym groszem, co mu tem

łatwiej obecnie przychodziło, że istotnie, w miarę jak się wykręty

Joska

mnożyły, uczuwał coraz większy żal, ale do — zdraдлиwego przyjaciela.

— Jabym mu tego nie zrobił! — powtarzał sobie w myśli bezustannie.

A im bardziej przekonanie to w nim się utwierdzało, tem więcej łez nabiegało pod

powieki jego smutnych i zgoła pocziwie patrzących oczu.

Kiedy też Josek począł raz jeszcze zapewniać, że będzie szukał złodzieja

"schowanych" pieniędzy, który "oby ręce i nogi połamał" — wówczas szepnął tylko:

— Daj pokój, Josele, to się już nie znajdzie!

Poczem odwrócił się szybko i pobiegł przez sień do sklepu, czuł bowiem, że gotów wybuchnąć płaczem, gdyby dłużej w tej chwili na Joska, patrzeć i jego wykrętów słuchać był zmuszony.

Josek spojrział za uciekającym, skrzywił się i kręcąc głową z niezadowoleniem,

szepnął:

— Żle!...

Wykrzyknikiem tym przyznawał sam, że przeliczył się z siłami i że odegrana

komedia zrobiła fiasco. Czuł on, że Herszek nie został przekonany i że nie będzie mu odtąd wierzył, jak dawniej.

— Verfiuchtes G'schäft! — mruknął.

Opanowywał go przytem rodzaj wstydu, nietyle na myśl, iż dopuścił się zdrady i

oszustwa względem przyjaciela, ile raczej dzięki wzrastającemu z każdą chwilą

przekonaniu, iż cała ta operacya nie była dobrze pomyślana i wykonana.

— Bin a` Schweinhund! — zakonkludował. Cofać się jednak nie można było. Podumał

więc jeszcze chwilę, a potem z flegmą zabrał się do przydeptywania wzruszonej

ziemi, następnie zamknął komórkę i powlókł się zwolna za Herszkiem do sklepu.

Tam zaś, ujrzawszy swoją ofiarę cichą i potulną, jak zwykle, począł pocieszać

się myślą, że Herszek, choćby nawet niezupełnie w kradzież ową wierzył, to

przecież wkrótce o tem wszystkim zapomni.

Przez ostatnie dwa dni przed nadchodzącymi świętami śledził też pilnie

towarzysza wzrokiem, chcąc na twarzy jego wyczytać owo zapomnienie.

Ale Herszek nosił spokojnie swoją twarz bez wyrazu, a milczał tak uparcie, jakby

dawnego przyjaciela i współnika nie widział wcale obok siebie.

To Joska gryzło, a przecież odezwać się nie śmiał.

Dopiero wieczorem, gdy już miano sklep naświęta zamykać, zbliżył się do Herszka i nie patrząc mu w oczy, zapytał:

— Będiesz przez święta u ojca?

— U ojca — odparł Hersz.

— Nie zobaczymy się gdzie?

— Może się zobaczymy — brzmiała odpowiedź.

Na tem się rozstali i każdy poszedł w swoją stronę: Hersz na Twardą, gdzie

ojciec jego obecnie mieszkał, Josek zaś na Muranowską, do siostry i szwagra.

A święta nie zmieniły w niczem oziębionego stosunku. Herszek mówił do Joska o

tyle tylko, o ile bywał zapytany, lub o ile mówić musiał przy czynnościach w

sklepie; nie okazywał mu gniewu, ani też nie czynił żadnych wymówek, ale

zwierzeń, tak częstych dawniej, zupełnie zaniechał.

Josek, jako przyjaciel, przestał dlań istnieć.

Była to bowiem jedna z tych natur, które wiele znoszą cierpliwie, gdy się jednak

miarka przebierze, nie prędko zapominają.

A tego było znów i dla Joska zawiele. Obecność Herszka, takiego, jakim był

teraz, ciążyła mu na każdym kroku, a przepaść, oddzielająca go od tak blizkiego

dotąd druha, truła go, odbierała mu spokój i paraliżowała wszystkie jego plany i

zamysły, których zawsze głowa jego była pełną.

Nie obawiał się zdrady ze strony Herszka, gdyż musiałby on zdradzić zarazem i samego siebie, ale mógł w nim stracić

wspólnika i mieć natomiast dozorcę każdego kroku, a tego sobie nie życzył.

Postanowił więc za jakąkolwiek cenę stracone serce Herszka na nowo odzyskać.

I oto pewnego wieczora zbliżył się nagle do dawnego przyjaciela, a przytrzymując

go za rękaw, zawołał żałośnie:

— Hersz! ja tobie co powiem! Ty mi przebacz! Ja ciebie oszukałem! ja ciebie okradłem!

Herszek, nieprzygotowany na takie wyznanie, stanął jak wryty.

A tymczasem Josek, nie dając mu się opamiętać, począł oskarżać się w dalszym

ciągu, mówiąc, że sam był owym złodziejem, co skradł schowane pieniądze; że sam

powinien ręce i nogi połamać; że Herszek jest dziesięć, sto razy lepszy od

niego; że "stary" niczego nie podejrzewał i że pieniądze można nosić pod pachą,

bo to był tylko jego wymysł, słowem, że on, Josek, nie wart, aby go "żemia

szwiała" nosiła...

A wszystko to było wypowiedziane szybko, wrzaskliwie, przy towarzyszeniu

częstych jęków, westchnień i posuwaniu rąk ku czuprynie, jak gdyby z zamiarem

ogołocenia jej z włosów do szczytu.

— O! Hersz! — wołał wkońcu Josek — ty mnie zabij, albo mi zrób co złego, bo ja

ciebietak często oszukiwałem, a tyś nawet o niczem nie wiedział!... ty biedny!... ty

kochany Hersz!....

A Herszek słuchał tego wszystkiego zdumiony, oszołomiony, nie wiedząc, co się z

nim dzieje.

Oto ten butny i imponujący mu dotąd zawsze swoją wyższością Josek, korzył się

teraz przed nim, jak robak — oskarżał się sam, nieprzymuszony zgoła przez nikogo

— i jęczał i płakał tak rozpaczliwie, żeby się nawet kamienie nad nim ulitowały...

A Herszek miększym był znacznie od kamieni i o ile zaciął się przedtem, widząc przewrotność przyjaciela, o tyle teraz tem łatwiej dał się porwać jego rzekomej skrusze.

Więc też gdy Josek zawołał w końcu rozpaczliwie:

— O! Hersz! ty mi tego nie będziesz mógł przebaczyć nigdy, nigdy!

— Będę mógł, Josele, będę! — odparł wówczas z pośpiechem, rozczulony Herszek.

A Josek, rzucając się z impetem na jego szyję, wołał jeszcze:

— Hersz! Gott dir belohne! ty jesteś bardzo dobry! Ja tobie oddam wszystkie

twoje pieniądze, oddam nie zaraz, bo nie mam, ale po groszu, po dwa grosze, aż

się wszystko uzbiera.

I począł trzeć oczy kułakiem i płakać z rozczulenia, aż w końcu i Hersz

rozplakał się także. I oto stanęła pomiędzy wspólnikami nowa zgoda, tem trwalsze mająca podstawy, że

Josek, chcąc osiąść napowrót zaufanie kolegi, począł postępować odtąd zupełnie

inaczej. Dzielił się z nim nawet takim groszem, o którego pozyskaniu Hersz

nigdyby się nie był dowiedział. To Herszka do reszty podbiło...

Niestety, znana jest marność rzeczy ziemskich...

Josek, układając tę całą komedię z rzekomemi podejrzeniami pryncypała, ani

przeczuwał, że nadejdzie czas, w którym tenże odkryje oszustwa swoich

pomocników.

Stało się to w niespełna miesiąc po utwierdzeniu nowej zgody wspólników.

Oto Josek, podczas chwilowej nieobecności pryncypała w sklepie, sprzedał

jakiemuś wieśniakowi żelazny łańcuch do wozu za złotych i groszy.

Z sumy tej, za nadejściem pryncypała, dostało się do kasy tylko tylko złotych

i groszy, reszta zaś utonęła w Joskowych rękach.

Pryncypał krzywił się wprawdzie, że łańcuch trochę za tanio sprzedany, nic jednak nie podejrzewał.

Tymczasem, w kwadrans później, zjawił się tenżesam włościanin z łańcuchem.

Zobaczywszy starszą osobę w sklepie, począł rozglądać się, jakby nie był pewien,

czy niepobłądził, tembardziej, że na całej tej ulicy był sklep obok sklepu z żelastwem.

Wtem zobaczył Joska.

— A rychtyk!... tutok! — zawołał z zadowoleniem.

Josek skamieniał.

Właściwa mu przytomność umysłu opuściła go zupełnie. Otworzył szeroko oczy i

zachwiał się na nogach.

Włościanin zaś, potrząsając nieszczęsnym łańcuchem, zwrócił się wprost do samego

pryncypała i począł długo i szeroko tłumaczyć, że kupiony przed chwilą łańcuch

okazał się zakrótkim do wozu, który tu właśnie opodal stoi na Grzybowskiem placu.

Ponieważ zaś z krótkiego łańcucha nie miałby żadnej pociechy, chętnie więc

dopłaci, co będzie kosztowało, a pragnie "wymienić go na inny, dłuższy.

Josek dygotał, jak w febrze, ale jeszcze ostatniej nadziei ocalenia nie tracił.

— Czyście to wy tu kupowali ten łańcuch? — zapytał z niedowierzaniem, stając pomiędzy wieśniakiem a pryncypałem.

— Jakże nie tu? — odparł wieśniak — przecieś ano sam mi go przedawał za półdwadziesta złotego...

W chwili, gdy wieśniak wymawiał ostatnie wyrazy, Josek niby przez nieuwagę

strącił ze stołu ciężką, żelazną sztabę i zanim jeszcze przemiął powstały wskutek tego łoskot, począł wołać szybko:

— Ja wam sprzedawał?... ja?... Ja sprzedawałem łańcuch, ale innemu chłopu...
tamten miał wielki kapelusz na głowie, a nie czapkę, jak wy!... Ja wam nie sprzedawał... ja nic nie wiem... ja nie pamiętam.... Idźcie tam, gdzieście kupowali... idźcie do Szlomy Koguta, tu wpodłe, w drugiej kamienicy, pod -ty numer... idźcie, idźcie!...
Wieśniak wytrzeszczył zdziwione oczy, przeżegnał się, splunął, ale nie dał się zbić z tropu.
— O!... o!... o!... — począł. — A cóżeś ty niespełna rozumu, czy co?... A cóż to pijany byłem?... Widzicie go!... Bodajeś ano djabła zjadł rogatego, nie obrażając Pana Jezusa!... Widzicie go!... Kiej powiadam, com tu kupował, to tu i tyła!... Półdwuziasta złotego dałem! — powtórzył z uporem.
Josek począł nowy hałas wyprawiać dla zagłuszenia słów włościanina, ale teraz już sam pryncypał wmieszał się w tę sprawę.
— Szwajg! — rzekł do Joska.
A zwracając się do wieśniaka, dodał:
— Ileście dali?
Josek znowu wrzeszczeć zaczął.
— Szwajg dy Hund! — powtórzył właściciel handlu z zaiskrzonym wzrokiem. —
Ileście dali?
— Ano, sprawiedliwie powiadam, półdu-dziesta złotego, samem śrebłem, jak mi Pana Boga przy skonaniu, wielkie słowo, trzeba!...
Szczerość w słowach wieśniaka była aż nadto widoczną.
Zresztą, cóżby mógł mieć w tem, aby dla odmiany towaru do innego sklepu przychodził?...
W chwili też, gdy ta najwyższa instancja postanowiła rozstrzygnąć sprawę na

korzyść wieśniaka, Jasek spotkał się nagle z ciężką i prawdziwie
żelazną dłonią
swego pryncypała.

Człowiek ten, zwykle milczący i spokojny, znany był z tego, że w
gniewie
odchodził prawie od zmysłów i bywał nietylko strasznym, ale
rzeczywiście
niebezpiecznym.

Mówiono, iż pierwsza jego żona umarła wskutek razów, otrzymanych
od niego przy
"kłótni" małżeńskiej, a jedno z dzieci nosiło bliznę na czole, jako
pamiątkę
ściągnięcia na siebie ojcowskiego gniewu.

Wszystko też zapowiadało, że i teraz sąsiad pana Szlomy Koguta nie
zdoła się w
szale swoim pohamować. Wielka twarz jego o rysach grubych,
nabrała jakiegoś
dzikiego wyrazu, oczy krwią mu zabiegły, a z po za mięsistych warg
wylewał się
zdrój cały najrozmaitszych pogrózek, przekleństw i przezwisk, w
które żydowski
szwargot żargonowy wcale obficie jest zaopatrzony.

— Szwajnwurcel!

— Sztrapac! — Dyblimmel!

— Hundenhauch! — oto mała próbka z rzędu tych, które dadzą się od
biedy

powtórzyć i przetłómaczyć przy pomocy niemieckiego języka.

A rzucając od chwili do chwili te przezwiska w stronę struchlałego
Joska, nie
przerywał sobie wcale targu z wieśniakiem o cenę innego, dłuższego
łańcucha.

Rozkładał przed nim coraz to nowe okazy pożądanego towaru,
zachwalał, porównywał
i ważył, ale drzenie rąk i złowrogi błysk oczu świadczyły, że pilno mu
było
sprawę tę załatwić. Ile zaś razy w czasie tej czynności wypadła mu
droga około

wciśniętego w ciemny kąt sklepu winowajcy, tyle razy w miejsce to posyłał pięść swoją ciężką, a z kąta odpowiadał mu na to wrzask przeraźliwy lub jęk bolesny.

Prawdziwy sądny dzień nastął jednak dopiero z chwilą, gdy wieśniak, dobiwszy

targu, z nowym łańcuchem w ręku progi sklepu opuścił.

Sąsiad pana Szlomy Koguta z pod Nru , rzucił się wówczas, jak dziki zwierz, na

swoją ofiarę, wyciągnął Joska z kąta, przewrócił na wznak na podłogę i pierwszym

prętem żelaznym, jaki popadł mu w rękę, począł okładać go po głowie, nogach,

rękach, brzuchu i twarzy, gdy zaś ciosy trafiały zbyt często w osłaniające głowę

ręce i w skulone nad brzuchem nogimalca, wtedy karząca

sprawiedliwość dopomagała sobie nogą, w twarde but

przyodzianą, której zadaniem było dostać się tam, gdzie pręt nie mógł dosięgnąć,

tj. do boków, karku i ramion nieszczęśliwego Joska.

Odgłos tych razów, okrutny wrzask katowanego i nieustający potok przekleństw

rozszałanego z wściekłości handlarza, zlewały się w jeden wielki hałas, który,

mimo zamkniętych drzwi, wydostawał się na ulicę, zatrzymując przed sklepem coraz

większe grono przechodniów.

— A cóż się tam dzieje? — pytał ten i ów.

Wieśniak, który zaledwie kilka kroków dopiero postąpił i na odgłos owej burzy

zatrzymał się w miejscu, począł ciekawym objaśniać powody katastrofy.

— Oszukał? A no, to niech nie oszukuje! — odpowiadano w tłumie.

Gdy jednak katusza przedłużała się nad miarę, poczęto szemrać.

— Duży to chłopak? — pytano.

— Zaś tam duży, mały! — informował wieśniak.

— A to ten żyd go chyba zabije! — zawołał ktoś z litościwszych.

Zaraz też kilku śmielszych z tłumu ruszyło ku drzwiom i wtargnęło do sklepu.

Wtedy już jednak operacją była skończona. Jasek leżał na podłodze bez ruchu,

zcichatyłko jęcząc, a handlarz sapiąc, obcierał czoło rękawem, zgrzany, zmęczony, rozplómienny.

— Czego? — zapytał szorstko na widok kilkorga wpadających do sklepu ludzi.

Jedna z kobiet wystąpiła z żywą interpelacją w obronie pobitego.

— To złodziej! — odparł handlarz. Poczęto mu tłómaczyć, że nawet złodzieja

w ten sposób karać nie wolno.

— Idźcie na cyrkuł ze skargą! — odpowiedział hardo rozgniewany handlarz.

— Pewnie, że wartoby pójść! — odparto.

— Idźcie!

Nikt się atoli tak gorliwy nie znalazł, gdy zaś ktoś z obecnych uczynił uwagę,

że "żyd żydowi chyba krzywdy nie zrobi" — wówczas cały tłum wyniósł się ze

sklepu, pozostawiając Joska jego losowi.

Z wychodzącą ciżbą spotkał się we drzwiach Herszek, który, wysłany za interesem

aż na Dziką, wracał właśnie do sklepu.

Ze zbiegowiska na ulicy i ze słów, jakie w tłumie zasłyszał, domyślił się już,

co się stało. Wchodził też pokorny i drżący, kiedy zaś ujrział zapłakanego Joska

i groźną twarz pryncypała, dusza usiadła mu na ramieniu, a blada twarz powlokła

się bojaźnią, niepewnością i trwogą.

Handlarz potrzebował tylko spojrzeć na tę twarz, mówiącą w tej chwili tak wiele,

aby zro-zumiał, iż w Herszku należy mu upatrywać spółnika Joskowych przestępstw.

— A! jesteś i ty! — wrzasnął — i tyś mnie okradał, co?...

Herszek zachwiał się na nogach i machinalnie osunął się na kolana przed pryncypałem.

— Panie! Daruj mi pan! ja już nigdy nie będę! ja oddam wszystko! — jęczał,

wyciągając ręce do nóg zwierzchnika.

A było w tej prośbie i w całej postaci chłopaka tyle szczerej skruchy, żalu,

rozpaczy i obawy, że ręka najsurowszej nawet sprawiedliwości byłaby się zawahała

z wymierzeniem kary.

Ale nie zawahał się pryncypał Joska i Herszka.

Za całą odpowiedź, uniósł w górę z rozmachem koniec swego buta.

— Ty, złodzieju! — zawołał.

Herszek wrzasnął i padł na wznak z twarzą krwią oblaną.

Szybko jednak zerwał się znów z podłogi, pomknął w kąt ku spląkanemu i jęczącemu

Joskowi i poruszając ustami, jakby coś przeżuwał, wypluł wraz z krwią dwa zęby.

Widok krwi ostudził cokolwiek zapalczywość handlarza. Zresztą w tej chwili drzwi

od ulicy znowu się roztwarły i do sklepu wkroczyli kolejno panowie: Szteinlauf,

Kalwary, Ueberall i wspomniany już tylekroć p. Szloma Ko-gut, wszyscy sąsiedzi i handlarze żelaza, przybywający rozpytać się o powód

awantury.

Radzono chwilę wśród zgiełku i wrzawy, potem zgodzono się jednomyślnie na to, że

złodziei trzymać nie można i obudwu chłopców należy oddać rodzicom.

— Tak zrobię! — zawołał pryncypał.

Przedtem jednak dokonał ścisłej rewizyi około obwinionych, przyczem zarówno

Josek, jak Herszek, nie z jednym jeszcze spotkali się szturkańcem, a pp.

Szteinlauf, Kalwary, Ueberall i Szloma Kogut opuścili sklep sąsiada ze słowami

szcerego podziwu dla sprytu firmy: "Josek Gesundheit et Comp."
Nazajutrz rankiem zjawił się najprzód ojciec Herszka, a wkrótce
potem siostra i
szwagier Joska.

Stary Kessler szczerze był zmartwiony postępkami syna, jednak za
całą wymówkę
odezwał się tylko:

— Hersz! wus hast dy g'than?

Herszek rozplakał się wówczas tak szczerze, jak szczerym był żal jego
ojca;

nawet zaś patrzący na to a zawzięty pryncypał uczuł, że niema przed
sobą

wytrawnego i niepoprawnego złodzieja.

Wydanego już jednak wyroku, skazującego obudwu chłopców na
banicyę, cofnąć nie

chciał; zresztą stary Kessler o to nie prosił, lecz tylkow serdecznych
wyrazach przeproszał handlarza za przykrość i szkodę, jaką mu syn
wyrządził.

Inaczej było z Joskiem.

Siostra i szwagier jego, wysłuchawszy oskarżeń pryncypała, podnieśli
ogromną

wrzawę, utrzymując przedewszystkiem, że Josek, ten potulny, dobry z
kościami i

uczciwy chłopczyna, nie mógł się dopuścić czegoś podobnego.

Później zaś, przekonani o jego winie, poczęli dowodzić, że do takiego
przestępstwa musiał on być przez kogoś namówiony.

— Powiedz, kto cię namówił? — wołała zaperzona w gniewie siostra.

— Kto cię

tego nauczył? To nie twój rozum na taki interes! O! to z pewnością
ten twój

kolega! — dodała, wskazując na tulącego się do ojca Herszka.

Josek milczał przez chwilę, ale gdy siostra nie przestawała wołać:

"powiedz,

powiedz!" — wówczas wyjąkał:

— Tak, on mnie namówił!...

Słyszając to oskarżenie, Herszek podniósł splakane oczy i skierował je
na

przyjaciela.

— No, powtórz ty mnie to do oczu, Josele, powtórz! — zawołał, podchodząc ku niemu.

— Tyś mnie namówił! — powtórzył Josek, śmieiej jeszcze, niż za pierwszym razem.

Czy złożeniem winy inicjatywy na przyjaciela chciał oczyścić się przed pryncypałem, czy też zasłonić tylko przed spodziewanym gniewem krewniaków, dość, że zaparł się powtórnie, a ko-rzystać z tego nie zaniedbała jego siostra, która zawołała natychmiast, zwracając się do handlarza:

— Widzisz pan! Ja zaraz mówiłam, że nasz Josele nie zrobiłby tego nigdy!... On!

nasz biedny Josele!

I poczęła głaskać braciszka z udaną czułością. Ale handlarz nie dał się omamić.

— To mi wszystko jedno! — rzekł. — Ja Herszowi więcej wierzę, a już go nie

chcę, więc i waszego Joska także nie chcę! Weźcie go sobie i basta! Wtedy dopiero i czuła siostrzyczka i szwagier rzucili się z pasją ku Joskowi,

bijąc go i poniewierając bez litości.

Cała wczorajsza nawałnica ze strony pryncypała była żartem w porównaniu z furją krewniaków.

Widocznem też było, że bili oni Joska nie dlatego, iż kradł, ale w przewidywaniu

kłopotów, jakie mogą mieć z nim znowu, gdy im oddany zostanie.

A Josek podczas tej karni już ani jednej łzy nie uronił, lecz zacisnąwszy zęby,

znosił wszystko w milczeniu, wzrokiem tylko zdradzając, że o ile karę ze strony

pryncypała uważał w głębi duszy za słuszną, o tyle katusze siostry i szwagra

burzyły krew w jego żyłach i budziły w nim ochotę odwetu.

Kiedy ten odwet miał nastąpić, Josek niewiedział zgoła, ale czuł, że chwila taka nadejdzie.

Tymczasem zaś, gdy jedno z uderzeń szwagra trafiło go w kark,
obolały od

wczorajszych kopnięć pryncypała, stracił cierpliwość.

Jak tygrysiątko najeżył się nagle i stawiając się hardo, wrzasnął:

— Za co mnie bijesz? co?

A we wrzasku tym i w postawie była rozpacz, nie licząca się z siłami,
ale tak

wymowna, że szwagier mimowoli się odsunął.

— Ja tobie pokażę za co, ty złodzieju! — zawołał tylko zdala, grożąc
Joskowi.

— Ty sam złodziej! — odparł wzburzony chłopak — tyś mnie okradł
z tego, co na

mnie po ojcu przypadło!... Ja wiem wszystko! Jaby nie
potrzebował tu biedy

znosić, gdybym miał to, co ojciec dla mnie zostawił... I ona mnie
okradła! i ona

złodziejka! — dodał, wskazując na siostrę.

A kiedy czuła para, poruszona tym zarzutem, chciała znów z
pięściami zbliżyć się

ku niemu, rzekł nadstawiając kułak:

— No, chodźcie, chodźcie!

Nie zbliżyli się jednak tym razem, tylko siostra zawołała z pogrózką:

— Przyjdiesz ty do domu, to się porachujemy!

— Przyjdę, o! przyjdę, ale nie teraz! My się porachujemy! — odparł i
wybiegł ze

sklepu. Gdy zaś w chwilę później krewniacy wyszli za nim, nie było
go na ulicy, a i do

domu dnia tego po ów przyobiecany porachunek nie przyszedł.

Nie martwiono się tem wcale, wiedziano bowiem, że wkońcu przyjść
musi.

Istotnie, po paru dniach włóczegi, stanął około południa zgłodniały w
bramie

domu, w którym szwagrostwo mieszkali. Przy pomocy najstarszego
ich synka, który

służył za parlamentarza, trwały układy między zwaśnionemi obozami
do wieczora.

Zapewniwszy sobie wreszcie swobodny odwrót, został Jasek
wprowadzony w tryumfie

do domu siostry przez małego swego siostrzeńca.
Zrozumiano, że awanturowanie się z upartym wyrostkiem nie doprowadzi do niczego i przyjęto go bez żadnych wymówek.
Ale zgoda trwała zaledwie dni kilka, Josek bowiem wkrótce znowu hardo stawiać się począł, a o nowym jakimś "terminie" nawet i słuchać nie chciał. Pobito się więc znowu i Josek ponownie dom siostry opuścił, postanawiając żyć własnym przemysłem.
Próbował odtąd różnych zajęć, nigdzie jednak dłużej nie mógł się ostać.
Przy całej zaś biedzie, jaka mu nieraz doskwierała, rósł, jak na drożdżach.
Długi i cienki jak szparag, z twarzą jeszcze niemal dzie-cięcą, a już zapisaną licznymi przejściami, zwracał na siebie powszechną uwagę. Z Herszkiem jednak nie spotkał się wcale. Trawiony ciekawością, po długich rozpytywaniach dowiedział się tylko tyle, że dawny towarzysz z Bagna uczył się przez pewien czas w domu, a następnie oddany został do jakiejś szkoły, skąd mógł wyjść "nawet" na urzędnika.
Nie zazdrościł mu tego wcale, bo do nauki nie uczuwał nigdy wielkiej ochoty.
Natomiast, dorwawszy się nareszcie do kilku rubli, wziął się do handlu na własną rękę. Handel ów polegał wprawdzie tylko na faktorowaniu pomiędzy sprzedającymi a kupującymi; na asystowaniu przy licytacjach, wychwalaniu zalet ślepych i okulałych rumaków na końskim targu i tym podobnych zajęciach. Przynosiło mu to czasem niezłe zyski, czyli t. zw. "litkupy", tj. opłaty ze stron obydwu, od sprzedawcy i od nabywcy; nieraz jednak na tych interesach tracił wszystko, a przynajmniej, nagoniwszy się przez dzień cały, nic nie zarabiał.

W takich zaś chwilach przypominał sobie znowu o szwagrze i siostrze, oraz o zabranej przez nich schedzie po ojcu i nachodził ich mieszkanie z żądaniem zapomogi, poparcia lub przynajmniej pożyczania pewnej kwoty. Spotykał się wówczas ze współczuciem, radą, nauką, dawano mu nawet nieraz coś z obiadu lub wieszery, ale pieniędzy odmawiano stanowczo. Klął wtedy i złorzeczył, odgrażał się procesem lub skargą u rabina, czasem nawet pobito się wzajemnie, ale ostatecznie Jasek opuszczał dom szwagra, nic nie wskórawszy. Jak niegdyś z Herszkiem Kesslerem, tak i teraz nawiązywał często spółki z różnymi handlarzami, nawet znacznie starszymi, którym imponował ruchliwością, sprytem i mnóstwem świeżych pomysłów. Zawsze wiedział kiedy i jakiego towaru na targach było potrzeba i gdzie go najlepiej nabyć. Nie zapomniał też nigdy o żadnym terminie korzystniejszej licytacji i z tego względu wszyscy pamięć jego podziwiali. Słabą jednak stroną tych spółek było to, że nie mogąc w nie nigdy włożyć większego grosza, musiał też i znacznie mniejszym kontentować się zyskiem, chyba że który z mniej doświadczonych spółników dał się "naciągnąć". W ogóle mógł "żyć", choć o "dorobieniu się" nie można było myśleć. Ale przyszedł na niego zły rok jeden, w którym żaden interes nie chciał się udawać i nawet już "żyć" było ciężko. Z wiosny, wraz z kilkoma kompanami, zakupił sporo owocu w ogrodach podmiejskich, przewidując zły urodzaj, a tem samem i dobre w lecie ceny. Na oczekiwaniu złego

urodzaju nie zawiódł się wprawdzie, ale w łacie poczęłzanosić się na epidemii; pokup na owoce znacznie osłabł, a więc i ceny spadły bardzo nisko.

Można jednak było mimo tego zarobić na tym interesie, lecz należało poczekać z

owocem do zimy, a tymczasem spółnicy, dybiący na szybki i obfity zarobek,

poczęli cofać się wśród złorzeczeń, na Josku zaś, jako zawierającym większą

część kontraktów, spoczęła cała odpowiedzialność.

Stracił wszystko, co miał, a nadto poczęto go szarpać i ciągać po mirowych

sądach o dotrzymanie zawartej z wiosną umowy i zabranie

dojrzewającego owocu po

umówionej cenie.

Mógł sobie drwić" z tego, bo i co mu mogły sądy zrobić, kiedy nie miał nic,

oprócz postrzępionego i zatłuszczonego chałata na grzbiecie, starej czapki z

odartym daszkiem i koszlawych butów? Ale ciężko zdobyty grosz, wyłożony jako

zadatek, przepadł bezpowrotnie.

Szwagier i siostra odmówili zasiłku, jak zwykle, a koledzy, przekupnie,

zwłaszcza "naciągnięci", nie chcieli słyszeć o kredycie lub nowej pożyczce.

Josek za mądrym był dla nich; nie wierzono mu, gdy mówił, że nie ma co jeść.

Rodzina "waciarza", u którego mieszkał "kątem", była zbyt ubogą, aby mogła go

wesprzeć. Pierwszego i drugiego ranka podzielono się z nim wprawdzie trochę

strawy, ale trzeciego dnia zapomniano już o współlokatorze. I oto wieczór

zbliżał się, dżdżysty, ponury, długi jesienny wie-czór — a on nie miał nic w ustach, od wczorajszego ranka, od owego waciarskiego

poczęstunku.

Zgłodniały kręcił się przez pewien czas między przekupniami za Żelazną-Bramą,
ale interes żaden się nie trafiał i nikt się nie chciał zlitować.
Uczuwał czczość w żołądku, czczość, odbierającą mu siły i wywołującą na czoło krople potu zimnego. Zbierała go ochota usiąść na żelaznym pręcie, odgraniczającym świeżo ustawione nowe stoliki targowe — usiąść i zasnąć, aby zapomnieć o biedzie.
Siłą woli jednakże przewyciężył tę zgubną zachciankę. Wyprostował się, przeciągnął i jakby nagle strzeliła mu myśl jakaś do głowy, pobiegł do pobliskiego szynku przy rogu Zimnej ulicy, na którym firma "R. Ewest" wielkimi wypisaną była literami.
— Kieliszek wódki! — zawołał.
Nalano mu. Wypił, zagryzł jednym i drugim obwarzankiem i wtedy dopiero oświadczył, że nie ma czem zapłacić.
— Zapiszcie sobie, oddam jutro! — dodał.
Nawymyślano mu za ten nowy rodzaj kredytu, ale tego, że się posilił, nikt mu odebrać nie mógł.
Wódka ożywiła zarówno ciało jego, jak i usypiające myśli.
Wyszedł znowu na plac targowy i począł uwijać się pomiędzy przekupniami, sprzątajacymi produkty i zabierającymi je do domów. Wreszcie upatrzył sobie na uboczu handlarzkę drobiu, pakującą na ręczny wózek swój żywy towar i z determinacją, w której było nawet trochę rozpacz, zbliżył się do niej:
— Są kapłony? — zapytał.
Handlarka, znana powszechnie na tym targu żydówka, spojrzała na niego z ukosa i za całą odpowiedź odparła krótko:
— Cztery dwadzieścia, inaczej nie dam! Znaczyło to, że sztuka jedna ocenioną została na złotych cztery i groszy dwadzieścia.

— Potrzeba mi dwóch dla jednej pani w tej oto kamienicy — rzekł Josek, przyczem wskazał jeden z domów z lewej, strony targu.

— Dobrze! — odparła handlarka.

Josek począł wybierać żadaną parę, przyczem, udając znawcę, zrzedził i narzekał na chudość wskazanych mu sztuk.

A kiedy handlarka, przekonana właśnie owemi zarzutami o uczciwości zamiarów

kupującego, odwróciła się i schyliła nad kojcem dla wybrania tłustszych okazów,

Josek wraz z obydwoma kapłonami puścił się pędem ku Gościnnemu-Dworowi.

— Łapaj! trzymaj! — wołała handlarka, postępując parę kroków za uciekającym, to

znów zatrzymując się i oglądając z trwogą na wózek, który trzeba było pozostawić

bez opieki. Wreszcie wzgląd na doznaną już stratę przemógł i puściła się za rzezimieszkiem.

Josek wpadł w środek Gościnnego - Dworu.

Gdyby to było rankiem, wśród zwykłego ścisku targowego, mógłby bezwątpienia

utonąć w tem zbiorowisku kramów i ludzi i ocalić się przed pościgiem.

Teraz jednak, jak zwykle w godzinach poobiednich, więcej tu było sprzedających,

niż kupujących, a lwia ich część stanowili żydzi. Widząc uciekającego Joska,

który aż zanadto na żyda wyglądał, przepuszczono go swobodnie; dopiero gdy

spostrzeżono, że ścigającą jest także żydówka i do tego stara, poczęto mu drogę

zabiegać.

— Łapcie, dobrzy ludzie! — wołała tymczasem handlarka — moje kapłony! łapcie!

Atoli Josek zdołał już dopaść przeciwnej bramy halli targowej i w szalonym

pędzie skręcił na trotuar ulicy Gnojnej, kierując się ku Krochmalnej.

Tam jednak, przeskakując rynsztok, potknął się i padł jak długi tuż pod nogi jakiegoś eleganckiego młodzieńca, śpieszącego w przeciwną stronę. Młodzieniec ów cofnął się przestraszony, a przygniecione przez Joska kapłony żywo przeciw uciskowi zaprotestowały głośnym wrzaskiem, utrzymanym w rytmie najdokładniejszego staccato.

Upadek ten był dla uciekającego fatalnym. Zerwał się wprawdzie z ziemi dość szybko, wraz ze swą zdobyczą, ale stracił tyle czasu, że gromada przechodniów, przeważnie żydowstwa, otoczyła go ze wszystkich stron, a tymczasem dobiegli także ścigający i poszkodowana handlarka, która nie przestawała głośno zawodzić: "Złodziej, złodziej, moje kapłony". Josek począł się szarpać, gdy wtem wzrok jego padł na twarz owego eleganckiego młodzieńca, który wraz z innymi, zaciekawiony zbiegowiskiem, zatrzymał się w miejscu.

Patrzyli tak na siebie przez chwilę, obadwa niemi, aż wreszcie Josek jęknął:

— Hersz!

I ręka, w której dusił jednego ze skradzionych kapłonów, opadła mu nagle, a uciemiężony ptak spoczął na trotuarze.

Elegancki młodzieniec, nazwany Herszem, wytrzeszczał oczy przez chwilę;

widocznem było, że zbiera z trudnością myśli i szuka w pamięci, przyczem szepnął:

— Josek! to ty?!

Odezwanie się tego szykownego "pana" do biednego łapserdaka, obwinionego o kradzież i przychwyconego na gorącym uczynku, sprawiło w zbiegowisku niemałą sensację.

Wszyscy oniemieli, jedna tylko poszkodowana wrzeszczała bez przerwy.

Sensacya poczęła też przemijać. — Złodziej, ganef! ganef! — powtarzano znowu coraz głośniej.

A Josek, oszołomiony spotkaniem, stał nieruchomy, bez czucia, jakby te wszystkie

zarzuty i krzyki nie do niego się odnosiły. Widział przed sobą Herszka, tego

Herszka dawnego, kolegę z Bagna, przyjaciela, spółnika, tego samego, a przecież

do owego małego Herszka nie podobnego. Nie miał jeszcze czasu zastanowić się nad

przepaścią, jaka go teraz od dawnego znajomego dzieliła; nie zwrócił uwagi na

jego elegancki strój i na swoje łachmany, lecz zapatrzył się weń, jako w

zjawisko nagłe i nieoczekiwane; zapamiętał się ze szczętem.

Dopiero kiedy poczęto go coraz mocniej szarpać i kiedy ktoś z gorętszych widzów

zawołał: "Oddać go na policyę" — wtedy oprzytomniał i nie tłómacząc się wcale

ani otaczającym, ani handlarce, zwrócił się wprost do dawnego przyjaciela, jakby

jemu tylko winien był usprawiedliwienie i począł jąkać głosem przerywanym:

— Hersz... panie Hersz!. ratuj... jestem biedny... już drugi dzień nie jadłem... Ja nie chciałem tego ukraść... ja chciałem to wziąć na handel, a ona

głupia zrobiła takie wrzask... takie hałas...

Zagadnięty, stał niby na rozżarzonych węglach. Spotkanie to przywiodło mu na

pamięć ową przeszłość niemiłą, pełną przykrych wspomnień, od której już dziś był tak daleko, a która przecież stawała znów przed nim żywa, wraz z tym dawnym towarzyszem i jak dawniej — złodziejem!

Blisko dziesięć lat minęło — i napróżno!

W ciągu tego czasu myśl jego nieraz zwracała się mimowoli ku tym dniom smutnym,

nieszczęśliwym, okrutnym, a wówczas też nieraz zadawał sobie pytanie: gdzie ten Josek, gdzie ów kolega, spółnik, towarzysz?... Ale pchnięty na nowe tory życia, wśród nowych ludzi, w inne, lepsze sfery, odwracał szybko myśl od tych dni niedoli, od tego wszystkiego, co wspomnienia jego wiązało z fatalną ulicą Bagno, z handlem starego żelastwa i z Joskiem. Wszystko to stało mu się wstrętne. A tymczasem dziś, kiedy się tego najmniej spodziewał, przeszłość ta przyszła do niego sama, przez usta dawnego towarzysza rzekła doń: otom jest — i przez jego usta prosiła go — o co? o litość! Drgnął mimowoli i pragnąłby był uciec czempędzej i jaknajdalej od tego miejsca, od tego przypomnienia, a przecież nie mógł ruszyć się, w obawie, aby przeszłość ta nie krzyknęła za nim publicznie, na ulicy: "Panie Herman Kessler, zaczekaj pan, to ja, twoja spółniczka, a ten wychudły i zbiedzony żydek, to nasz towarzysz, nasz dobry znajomy!" A tymczasem Josek powtarzał swoją prośbę: — Broń mię pan, panie Hersz, ja byłem głodny!... Chwilkę tylko jeszcze się wahał i kiedy Josek z trudnością już, a coraz słabiej, oganiał się tłumowi, wołając: "Puśćcie mnie, puśćcie!" — wzbudziło się w dawnym jego towarzyszu coś, co pchnęło go w sam środek owego motłochu i kazało gardłować za sprawą obwinionego. Spryt i śmiałość pomogły mu w tym razie, a solidarność żydowska dokonała reszty. — Puśćcie go! ja jego znam! On chory! on to zrobił tylko tak, przez chorobę!...

Koguty są, więc o co idzie? Weź je pani sobie i idź z Bogiem!
Jakżeto? swojego
będziemy niszczyli, swojego na policyę oddawali? I za co? gdzie
krzywda? komu
krzywdę zrobił?
I zanim ów czarny, cuchnący, chałatowy tłum ochłonął na widok owej
interwencji,
pan Herman Kessler rzekł śmiało, a umyślnie w żydowskim żargonie:
— Jossele! kime mit! Biedny Josel, chodź!
I pociągnął za sobą wystraszonego Joska w ulicę Krochmalną.
Szli, a raczej biegli przez pewien czas w milczeniu. Hersz był
zamyślony i
widocznie niezadowolony, Josek zaś, postępując za nim, oglądał się
co chwilę za
rozchodzącym się powoli tłumem.
Dopiero na załomie Krochmalnej Hersz opamiętał się i
stanął. Przypomniawszy sobie, że droga jego nie w tę stronę prowadzi.
Zboczył umyślnie w tę
brudną, odrapaną uliczkę, aby tłumowi zejść z oczu: ale obecnie
należało wracać.
Teraz też dopiero spojrzawszy znów na ocalonego towarzysza.
Josek stał przed nim pokorny, cichy, w swoim zatłuszczonym chałacie
i w starej
czapce z naddartym daszkiem.
— No Jossel, co się z tobą stało? — zapytał Hersz.
Josek poskrobał się za uchem i twarz wykrzywił boleśnie.
— Niestety, parne Hersz! Nic mi się nie wie dzie! — odparł
płaczliwie.
A widząc, że Hersz chce coś przemówić, lecz szuka napróżno
wyrazów, dodał
szybko:
— Ale te przekupkę to ja nie chciałem okraść. Jaby m jej był odniósł
pieniądze,
cobym tak zdrowie miał! Ona, głupia, nie zna s ze na handel...
— Nie o to idzie — przerwał Hersz. — Podobnoś głodny? nie masz
pieniędzy?
— Nie mam... dziś tylko wódkę piłem na kredyt, za cały dzień! —
szepnął Josek.

Hersz spojrział na zegarek.

— No, mnie teraz pilno... Muszę iść do telegrafu... Ale masz tu dwa złote, idź

zjeść gdzie obiad, a potem przyjdź do mnie. Josek, biorąc dwa złote, zdjął czapkę z uszanowaniem.

— Przyjdę, panie Hersz! — rzekł.

— A wiesz gdzie mieszkam?

Josek zaprzeczył poruszeniem głowy.

— Elektoralna, , naprzeciw szpitala. Będę w domu za godzinę, o wpół do

piątej... Przyjdź, to pogadamy... Może ci co poradzę...

W niespełną godzinę później, Josek stał już przed bramą wspomnianego domu,

przestępując z nogi na nogę i zagryzając chleb, po którego kawałki raz po raz

wkładał rękę do obszernej kieszeni surduta, szczypiąc po odrobinie.

Zobaczywszy nadchodzącego Hersza, przestał gryźć chleb, a zdjął znowu czapkę.

— Jesteś już, to dobrze, chodźmy! — rzekł Hersz.

I powiódł dawnego towarzysza na trzecie piętro, do oficyny, gdzie zajmował dwa

malutkie, ale schludne pokoiki.

Josek, wszedłszy tam, stanął przy drzwiach w pierwszym, słabiej oświetlonym

pokoiku, onieśmielony, mnąc w rękach obtarganą czapkę.

— No, Josek, czegoż tam stoisz, no, chodź! — mówił Hersz.

Josek postąpił dwa kroki, a widząc, że Herszek zdejmuje kalosze, znowu się

zatrzymał.

— Buty... błoto! — szepnął, wskazując na czystą podłogę. — Ha, trudno! — zawołał Herszek wesoło — chodź, chodź!

O ile w pierwszej chwili niemiłym mu było przypomnienie przeszłości, jakie mu

Josek z sobą przynosił, o tyle teraz uczuwał pewną radość, widząc wrażenie,

jakie na dawnym koledze sprawiła dzisiejsza jego pozycja. Josek począł podbijać

go swoją pokorą, nieśmiałością i widocznym uszanowaniem, które go zdaleka od towarzysza lat chłopięcych trzymało. Usiadł na brzegu stołka, skulony, bez ruchu, niepewny, czy już czem nie zgrzeszył lub nie zgrzeszy przeciw takiemu elegantowi, jakim był teraz Herszek. Tego zaś bawiło to zakłopotanie i łechtało jego próżność. Przedewszystkiem jednak otwarło mu serce i zrobiło je naprawdę przystępnem dla opłakanej doli spotkanego po tylu latach towarzysza.

— A toś zbiedniał, mój Josku! — rzekł wreszcie, zdjawszy wierzchnie okrycie i ustawivszy w pierwszym pokoiku zmoczony parasol.

Josek westchnął tylko, zamiast odpowiedzi.

— Cóż ty porabiasz teraz? — badał dalej Hersz.

— Handluję...

— Czem?

Josek wzruszył ramionami.

— Czem się da! — odparł.

— Ale ci chyba jakoś nie idzie?

— Złe czasy! Nastąpiła chwila milczenia.

— A cóż twoja siostra, szwagier? Przypominam sobie, że miałeś z nimi jakieś interesa?

Josek poruszył się, jakby go ukąsiła gadzina.

— Bodaj zmarnieli! — szepnął z wściekłością.

Przypomnienie tej starej, a otwartej rany, zrobiło go jednak rozmowniejszym.

Nieśmiałość pierzchła, przestał się krepować, a natomiast zaczął szeroko rozpowiadać o swoich przejściach. i kłótniach z krewniakami. Należało mu się po ojcu, lekko licząc, około trzech tysięcy rubli. Doszedł do tego przekonania sam, a zresztą mówią to i ludzie, którzy widzieli, jak ojciec płacił posag siostry. Ale ten szwagier, to złodziej — on zgnije w kryminale — a

siostra, suka prawdziwa! Mają już pięcioro bachorów, takich złych,
jak sami,
bodaj ich Bóg pokarał! Co on nie robił, żeby tę schedę wydostać!
Zachodził do
nich nieraz i z prośbą, i z groźbą — nic nie pomaga!... Obiecał ich
nawet
procesować lub oskarżyć przed rabinem, no i pewny jest, że wygrałby
sprawę, ale
na to trzeba pieniędzy, a on niema nic... Miał już trochę grosza z
handlu rybami
przed Paschą, ale — a rajner Pech! — stracił na owocach... O! gdyby
mógł co od
siostry odebrać, wiedziałby, co robić... Opuściłby ten głupi kraj, a
pojechałbydo Ameryki... To wszystko bajki, co gadają, że tam już
niema dobrych interesów.
Tam można jeszcze zrobić wielkie pieniądze, ale trzeba wiedzieć
jak!.. A onby
wiedział... Tam pojechał przed dwoma laty jeden jego znajomy, także
handlarz, no
i on sobie tamte strony bardzo chwali i pisze: "Przyjedź Jossel"... No,
a jak tu
jechać?... Bez grosza?... A! ten szwagier, ten rozbójnik! Jemu-by nie
zrobiło
różnicy dać dziś i pięć tysięcy, nietylko te trzy po ojcu... On mądry...
On
teraz prowadzi dobry interes.... Na szyldzie przed bramą to on ma
napisane:
"Jubiler", bo on w tym fachu dawniej naprawdę pracował... Ale teraz?
Jaki on
teraz jubiler?... On jest passer, on kupuje od złodziei kradzione złoto i
srebro, potem smaży to wszystko w wielkim tyglu, robi kulki i blaszki
i
sprzedaje za granicę... To dobry zarobek! Ale on zgnije w kryminale,
nie może
inaczej być!...
Gadał w ten sposób długo, wypowiadając wszystko, co go bolało lub
nie dawało mu
spokoju, aż wreszcie zmęczony zamilkł.

A i Herszek milczał teraz, pogrążony w zadumie. Opowiadanie Joska na nowo popsuło mu humor i odebrało swobodę. Passer, złodzieje, oszustwa, kryminały, słowem, całe to koło, w jakim obracały się myśli i cele dawnego towarzysza, było dla niego teraz już obce, dalekie, obezwładniało go, jak obezwładnia nagła ciemność, dręczyło, jak dręczy wracające uparcie przypomnienie snu przykrego. Już w szkole handlowej zasmakował w towarzystwie porządnych chłopców, a obecnie od lat trzech obracając się w Banku, wśród ludzi zachowujących formy, odwykł od takiego "szczerego" traktowania brudnych spraw, jakim świeżo Josek go udarował. Czuł jednakże, iż na to obecnie już rady niema. Pojęcia Joska tak daleko pozostały w tyle po za jego pojęciami, że wszelka dysputa na nicby się już nie zdała. Należało wyprzeć się dawnego kolegi odrazu i odepchnąć go tam, na ulicy, przy pierwszym spotkaniu; teraz było to już dość trudnem. Zresztą trzeba mu dopomódz, a na pozbycie się go będzie jeszcze dość czasu, za tydzień lub dwa, choćby nawet przy pomocy pewnego okupu. Tymczasem niech się trochę pożywi, niech siedzi, póki mu się coś nie trafi, a przedewszystkiem niech stara się odebrać należącą mu się słusznie schedę po ojcu. W tem szczególniej potrzeba mu rady, pomocy, a któż mu jej udzieli?... Co innego, gdyby miał być ciężarem dla swego opatrnościowego opiekuna lub kompromitować go przed kolegami z Banku. Wtedy, przysięgał to sobie Herszek, powie mu, żeby sobie szukał innego schronienia — i wszystko się skończy...

Postanowił więc Joska przez pewien czas przy sobie zatrzymać, a przede wszystkim nastręczyć mu jednego z młodych a znajomych adwokatów do prowadzenia sprawy przeciw siostrze i szwagrowi o ojcowiznę, jeżeli przedtem nie nastąpi dobrowolna ugoda lub nie pomoże skarga przed rabinem.

— Ty już tam do nich nie chodź! — mówił do słuchającego pilnie Joska. — Niech za ciebie pójdzie adwokat, to będzie wymowniejsze. Wtedy siostra twoja przekona się, że to nie żarty i może się z tobą ułożyć... Josek nie posiadał się z radości.

— Bóg ci to nagrodzi, panie Hersz! — powtarzał kilkakrotnie. Wieczorem zasłał Herszkowi łóżko, a nazajutrz zrana, wstawszy wcześniej, zabrał się "z wdzięczności" do czyszczenia jego butów. Ledwie też Herszek zdołał mu wytłómaczyć, że czynność tę spełnia stróż za stałym wynagrodzeniem miesięcznym, a tem samem jego ochota i trudy są daremnemi. Tego też dnia nastręczyła się nowa trudność z zameldowaniem, okazało się bowiem, że Josek nie posiadał żadnych dowodów legitymacyjnych i nigdzie stale nie mieszkał, a przynajmniej nigdzie nie był zapisany. Herszek jednak miał pewne stosunki i pochodziwszy trochę, załatwił to pomyślnie.

Nie zwlekając też, wybrał się do adwokata, którego znał bliżej z interesów bankowych i otrzymał od niego przyrzeczenie, iż rozpatrzy sprawę Joska. — Jutro do niego pójdziemy! — rzekł, zawiadamiając o tem interesowanego.

Wtem spojrzął na niego.

— Słuchajno, nie masz lepszej jakiej garderoby? — zapytał nieśmiało.

— Nie mam! — odparł jeszcze nieśmieiej Josek. Hersz pomyślał chwilkę.

— No, to nic! — rzekł wesoło. — Dobierze się może co z mojej...

I łącząc natychmiast uczynek z zamiarem, wydobył z szafy zapasowy garnitur,
mówiąc:

— Chodźno, przymierz ten tużurek... Tużurek leżał wyśmienicie.

Josek pierwszy

raz w życiu miał na sobie tak wspaniałą sztukę. Do tużurka dobrały się też buty

i kapelusz wcale dobry. Wystrojony Josek przestał być podobnym do siebie, a stał

się podobnym do swego dobroczyńcy.

— Panie Hersz! — zawołał rozczulony — panie Hersz, czym ja się panu wywdzięczę!

— E! głupstwo! — odparł Herszek.

Uniesiony też widoczną wdzięcznością biedaka, miał mu powiedzieć, aby przestał

doń mówić: "panie Hersz" — a mówił "ty", jak dawniej. Nie wiedział jednak jak

zacząć, jak oświadczenie to sformułować, dał więc tym razem pokój, odkładając to

sobie na później.

Po wizycie u adwokata, nastąpiła znowu wieczorem scena, która Herszka jeszcze silniej ku Joskowi pociągnęła.

Oto, wróciwszy, zdjął z pokorą ofiarowane ubranie i zawiesił w szafie na dawnym

miejscu, prosząc tylko, aby pan Hersz był taki dobry i pożyczył mu jeszcze raz

tego pięknego ancugu, gdy będzie znowu trzeba iść do owego adwokata.

Herszek musiał mu wyraźnie oświadczyć i powtórzyć kilkakrotnie, że ubranie to

jest już jego na zawsze, zanim w to uwierzył.

A uwierzywszy, znowu się wielce rozczulił:

— Ja nie wiem już sam... jaki pan dobry... panie Hersz! — rzekł, płacząc.

I oto zawiązaną została nowa spółka, którą najpierw dostrzegł i określił

miejscowy stróż, obsługujący Herszka.

Mówił on do żony swej i kumoszek:

— Widzicie, jak to te żydy się wspólnie wspierają. Do tego mojego z trzeciego piętra, przyplątało się jakieś obskurne żydziątko, ni to pono brat, ni swat, a już chodzi w jego, za pozwoleniem, koszuli! Wszystko mu z grzbietu zdejmują, bo ano widzę, że już wdział i tę kapelusinę, na którą sobie robiłem oskome, że ją dostanę na kolendę. Bodaj go choroba ścisnęła! Gdzieby to ano sprawiedliwy katolik dał u siebie tak byle komu rządzić... Josek jednak nie był "byle kim", a zresztą dotychczas nie rządził jeszcze w Herszkoweni mieszkaniu, chociaż rządzić miał wcześniej, niż się to nawet przewidującym stróżowi zdawało. Tylko przez pierwszych parę dni nosił trochę nieśmiało Herszkowe ubranie; po tygodniu obracał się w niem z taką pewnością, jakby nigdy innych, odartych szat, nie miał wcale na sobie. Z bystrością, właściwą rasie, która go wydała, przyswoił sobie cały układ, wzięcie i ruchy Herszka, a chociaż w kopii tej było miejscami nieco śmiesznej przesady, przecież nikt w nowej skorupie nie domyśliłby się był zibiedniałego handlarczyka, obracającego się dotąd tylko między motłochem, końmi i targowymi przekupniami. Zaprowadzony raz jeden do znajomego Herszkowi adwokata, chodził już później do niego sam, traktując w odpowiedziach na zadawane sobie pytania sprawę sukcesyi po ojcu tak śmiało, jakby pieniądze z jej zrealizowania już w kieszeni posiadał. Herszek wspomniał coś, że adwokat może bezinteresownie proces ten przeprowadzi, Josek zaś już przy trzeciej wizycie oświadczył, że "darmo nie chce", że potrafi

ocenić zabiegi i starania, chociaż "chwilowo" łożyć na tę sprawę nie może.

Względem Herszka zmieniał też powoli, ale stopniowo, sposób postępowania. Z pokornego i pragnącego niemal uszy pochować, aby jak najmniej miejsca osoba

jego zajmowała, stawał się z każdą chwilą śmielszym i więcej wymagającym.

Gdy w pierwszych dniach, na jedno "skinienie swego "dobroczyńcy" biegł, jakby

chciał nogi pogubić i myśl jego każdą starał się zgadywać, po miesiącu, gdy

Herszek pewnego razu, pisząc w domu pilne wyciągi handlowe, prosił go o

przyniesienie papieru z sąsiedniego sklepu, powłókł się wprawdzie dla spełnienia

tej prośby, ale wybierał się dość długo, a wróciwszy, narzekał, że schody go

męczą, że mogłyby być wygodniejsze i trochę lepiej oświetlone.

Zbliżała się też zima i potrzeba było przywdziać cieplejsze okrycie.

Tym razem Josek sam o tem przypomniał.

— Zimno już! — rzekł.

A gdy Herszek oddał na jego usługi swój jesienny paltot, wprawdzie nie

wykwintny, ale wystarczający zupełnie dla chłopaka, który dotąd zimą czy latem

biegał w jednym i tym samym, wiatrem podszytym surducie, Josek przyjął ten

podarunek z godnością i bez zbytecznej radości, a przede wszystkim już bez

rozczulenia.

— No, trochę ciasne w plecach — rzekł, przymierzając — ale jakiś czas w tem

pochodzę...

To "jakiś czas" wymówione było znacząco i z przyciskiem, ale uszło jeszcze uwagi

Herszka, mającego głowę nabitą interesami i strudzonego

pracą. Dopiero, gdy w parę dni później, Josek przywitał wracającego po całodziennem

zajęciu "dobroczyńcę" wprost przez "ty", mówiąc do niego:
"Słuchajno Herman" —
uderzony tem Herszek zastanowił się i zrobił zdziwioną minę.
"Herman", jako ucywilizowana odmiana "Hersza", było jego obecnem imieniem. Tak
się teraz podpisywał i tak wołali nań koledzy z Banku.
— Słuchajno, Herman — mówił Josek dalej, nie zważając na zdziwienie Hersza —
pytał się tu o ciebie jakiś twój przyjaciel...
Herszek zapomniał na razie języka i dopiero po chwili odpowiedział:
— Wiem, widziałem się z nim, był u mnie w biurze...
Zdziwiony był tym objawem poufałości dlatego, że to spadało tak nagle, ale za
złe jej brać Joskowi nie myślał. Wszakże już w pierwszych dniach po spotkaniu
chciał sam zaproponować mu ten sposób zażyłości. Teraz wprowadzie Josek sam, z
własnej inwencji, prawo to sobie przywłaszczał, ale czyż nie był do tego,
upoważniony całym postępowaniem dawnego kolegi?
Począł też w tym sensie usprawiedliwiać Joska, aż usprawiedliwił go tak dalece,
że nawet wmawiał w siebie, iż kontent jest z tego objawu jego emancypacji.
— To nic nieszkodzi! Widać, że ma ambycję! — pomyślał, spoglądając z boku na
nabierającego ambycyi współlokatora. A przecież, mimo wszystkiego, z głowy ma "wyjść nie mogła ta zmiana i mimowoli
też wpadł na myśl, czy przypadkiem odebranie schedy nie jest już na ukończeniu.
— Mój Josku! — zapytał z widocznym zaciekawieniem i radością zarazem — a jakże
tam stoi sprawa ze siostrą? Nie widziałem się od pierwszej naszej wizyty z
Kaufmanem i nie wiem nic...
Kaufman było nazwisko następczonego adwokata.
— No, nie źle, jakoś to się zrobi! — odparł Josek z powagą.

A jednak sprawa wcale tak świetnie nie stała. Testamentu i opisu stanu majątkowego nieboszczyka ojca Joskowego, jak zwykle u żydów, nie było. Szwagier dostał "bez pisania" do ręki swój posag. Należało więc przynajmniej zebrać świadków wiarogodnych, którzyby mogli o ówczesnym stanie tego majątku dać rzetelne objaśnienia. Ale i świadków tych Joskowi brakło. Gdy ojciec umierał, był małym bębniem i przypominał sobie z tych czasów jedynie starego Aarona Grütznera, wielkiego przyjaciela i spółnika ojca. Ten Aaron Grützner mógł świadczyć, ale nikt nie wiedział napewno, gdzie się znajduje. Mówiono tylko, że jeżeli go nie ma w Radomiu, to mieszka "z pewnością" w Częstochowie, przy córce, albo w Koninie przy jednym z synów. A i wówczas, gdyby się go na-wet znalazło, któż mógł wiedzieć, o ile jego świadectwo przydać się będzie mogło?

Wobec tego adwokat nie taił przed Joskiem, że sprawa nie jest zupełnie prosta. Nie zaprzeczał on, że przy pomyślnych "okolicznościach, można było pożądaną rezultat osiągnąć, ale radził spróbować "nastraszenia" interesowanych procesem, albowiem mogło to równie skutecznie a znacznie prędzej doprowadzić do zamierzonego celu. Dopiero w razie nieudania się tego fortelu, należało szukać owego Aarona Grütznera.

Josek wysłuchał tego wszystkiego i nie z wielką przyjemnością i z niedowierzaniem. W jego przekonaniu, adwokat był od tego, aby najtrudniejsze sprawy rozwiązywał; mierząc zaś drugich według własnej miary, zwłaszcza

handlarskiej, był nieomal pewnym, że p. Kaufman umyślnie o trudnościach wspomina, aby tem większe mieć później prawo do wdzięczności, w razie wygrania procesu.

Przed Herszkiem też prawie zupełnie o następczących się trudnościach nie wspominał, a natomiast usłuchał rady adwokata i pewnego dnia, około obiadowej pory, udał się do mieszkania siostry.

Ustrojony w Herszkowe ubranie i jego najnowszy kapelusz, który wydobyl z pudełka bez pytania, wchodził tym razem śmiało, z głową w górę wyniesioną, z uśmiechem tryumfu na ustach i z miną co najmniej jakiego lorda. Wszystkie rozliczne obawy, z jakimi zwykle progi te przekraczał, ustąpiły teraz miejsca tej jednej myśli: jakie też wrażenie wywrze swoim zjawieniem?

Cała rodzina była właśnie zebrana przy obiedzie i wrażenie istotnie było olbrzymie.

Wszyscy mimowoli zerwali się z miejsc, jakby oczom własnym wierzyć nie chcieli.

Ogólne oniemienie przerwał dopiero szwagier, wrzasnąwszy przeciągle, z właściwym temu frazesowi akcentem:

— Kikste?...

A było w tem "kikste" i zdziwienie i radość i zarazem pewien rodzaj zapytania.

Josek zaś stał na środku izby, nie zdejmując kapelusza, aby tem więcej zwrócić na siebie uwagę obecnych.

Robił wrażenie gościa, który czeka, aby go poproszono siedzieć. Szwagier też pierwszy zbliżył się do niego.

— A co, Josele? — zawołał, oglądając go od stóp do głowy — widzisz, dobrze ci poszło!

I pociągnął przybyłego ku stolikowi, na którym zastawiony był obiad; przechodząc

zaś obok żony, szepnął:

— Okradł kogoś!...

Niestety, Josek szept ten dosłyszał.

— No, no, bardzo proszę, panie Machonbaum! — odezwał się z dumą. Pan Machonbaum zmieszał się i począł tłumaczyć:

— Nu, ja tylko tak żartowałem...

A zwracając się do dzieci, dodał:

— Idźcie przywitać się pięknie z wasz wujaszek!

Żydzieta istotnie sypnęły się tłumnie ku Joskowi, a wśród hałasu ogólnego

słysać było tylko głośne mlaskanie pana szwagra, jako dowód, że metamorfoza

Joska jeszcze go dziwiła.

To zaś zdziwienie zabrało mu tyle czasu, że dopiero po chwili dostrzegł badawczy

wzrok żony, która, jako niemająca w domu stanowczego głosu, zapytywała w ten

sposób, jak ma zachować się względem wyelegantowanego brata?

Rezultatem porozumienia było, że Joska posadzono natychmiast na najlepszym

miejscu i obdarzono sporym i dobrym kawałkiem mięsa.

Tego zaś czulego przyjęcia, tak niepodobnego do dawniejszych, nie myślał nikt

usprawiedliwiać. Dla tych ludzi było rzeczą najnaturalniejszą, że odpychali

dawniej hołysza, a gościli teraz chętnie "zbogaconego" krewnego.

Podczas obiadu skierowano umyślnie rozmowę na ostatnie przejścia, które mu tak

pięknie los odmieniły.

Ale Josek nie zdradził się z niczem i na wszelkie pytania odpowiadał niedbale:

— Tak, poszczyściło mi się trochę!... Wówczas siostra, która знаła jego marzenia o Ameryce, odezwała się żartem:

— No, to już teraz nie pojedziesz do Ameryki?

— Owszem, pojedę! — odparł seryo.

Słowa te wywołały wielkie zdumienie siostry i szwagra. Nie pojmowali oni, po co ma wyjeżdżać tak daleko ten, komu się i tu dobrze zaczęło powodzić? A Josek tymczasem ciągnął dalej:

— Pojadę, jak tylko ukończę jeden proces... Zdumienie rosło.

— Wi hajst? — zawołał szwagier, wielce zaintrygowany słowami Joska. — Jakto proces? jaki proces?

— No, jeden proces o pieniądze...

Szwagier, który nie podejrzewał nic złego, znowu mlasnął językiem z podziwienia i radości.

— Josele! — zawołał — niech ciebie kaczka dziobnie! Ty masz głowę na kark! Ty widać wymyślił coś bardzo dobrego!

— Tak, wymyśliłem, ale dla siebie, nie dla was! — brzmiała odpowiedź.

— Nu, czemu nie dla nas? — badano.

Wtedy Josek powstał, wyprostował się i chciał, postępując według rady adwokata, wygłosić z godnością: "Bo ja procesuję nie kogo innego, tylko was o schedę po ojcu..." Chciał to powiedzieć i pogrążając w przerażeniu nie-nawistną rodzinę, wyjść jeszcze pyszniejszym i dumniejszym, niż wchodził tu przed godziną.

A przecież coś ścisnęło go w tej chwili za gardło i zaparło mu oddech. Jakiś

instynkt szeptał mu do ucha, że takie postąpienie nie dobry przyniosłoby skutek.

Byłoby to zerwaniem nawiązanych świeżo stosunków z zamożnym szwagrem, a któż

mógł zaręczyć, że on procesu się zleknie?... I przyszło mu na myśl, że lepiej

pozory "zbogaconego" utrzymać do końca i w inny zupełnie sposób nową pozycję

swoją wyzyskać...

Kiedy więc szwagier, zniecierpliwiony przerwą, powtórzył natarczywie: "No,

powiedz, czemu dla siebie, nie dla nas?" — wtedy Josek, przybierając minę

obrażonego dzieciaka, odparł niby nadąsany:

— Bo wyście mi nie chcieli dopomóc, kiedy byłem biedny, to i ja nie potrzebuję

wam dać nic teraz, gdy jestem bogaty...

Ostatni frazes wymówił umyślnie przyciszonym głosem, nieśmiało, jakby się tego

swojego "bogactwa" wstydził.

Szwagrowstwo zamienili z sobą znaczące spojrzenie. Nie wątpili już teraz, że

Josek jakiś złoty interes wynalazł. Mało ich to obchodziło, o ile sumienie swoje

w interesie tym zaangażował; dość dla nich było, że miał pieniądze, a w to

wierzyli teraz święcie. Pierwszy więc szwagier począł się z zarzutu usprawiedliwiać.

— Nu, co było, to było! — rzekł.

A siostra dodała:

— Zkąd my mogli wiedzieć, że ty masz taki rozum, że ty będziesz porządnym?

— Dobrze powiedziała! — potwierdził naiwnie szwagier. — Zkąd my to mogli

wiedzieć? Ale teraz, kiedy wiemy już, to teraz co innego!

Joskowi zaświeciły się oczy. Ukrył jednak szybko wrażenie, jakie na nim wywarły

te słowa, a raczej zawarta w nich obietnica i udawał jeszcze nadąsanego.

Nagle też powstał i począł się żegnać.

— Muszę iść na giełdę, do moich interesów! — rzekł.

— Giełda? Dy Berze? na Królewskiej? Dy kenst dy Berze? Tyś tam już trafił? Mech

ciebie nie znam, Josel! — Wykrzykiwał zdumiony szwagier.

Josek o istnieniu giełdy wiedział zaledwie cośkolwiek od Herszka; widząc jednak

efekt, jaki ta wzmianka uczyniła, poprzysiągł sobie bliżej się w tej sprawie

poinformować.

Tymczasem zaś odparł:

— Tak, trochę, na początek mały interesik...

Poczęto go prosić, aby zaszedł do nich kiedy.

— Jak będę mieć czas, to przyjdę! — rzekł wyniośle.

Po tej pierwszej wżycie, umyślnie nie po-kazał im się przez czas jakiś, a kiedy nareszcie przyszedł po dniach paru, przyniósł z sobą torebkę cukierków dla dzieci.

Na cukierki te pożyczył pieniędzy od Herszka, a kupił je umyślnie w jednej z

lepszych cukierni.

Wiedział, że wrażenie tego daru będzie ogromne i nie omylił się wcale.

— Zbytki, kochany Josel, zbytki! — szepnął szwagier.

A kiedy dzieci pobiły się przy cukierkach i matka odebrała im torebkę, aby

"wszystkiego naraz nie zjadły" — Josek rzekł niedbale:

— Cóż to szkodzi! Niech jedzą! Jutro przyniosę im więcej...

Tego dnia krótko też bawił, tłómacząc się znowu interesami.

Odtąd wszystkie swoje starania wyteżył w tym jednym kierunku, aby pozyskać

zaufanie szwagra i siostry i utrzymać ich w przekonaniu o swoim bogactwie.

Raz więc tak się urządził, że oni go spotkali wchodzącego do cukierni z

Herszkiem. Innym razem zajechał przed ich mieszkanie w dorożce, mimo, że

tramwajowe wagony tuż pod samymi ich oknami przystawały. To znów, pożyczwszy od

"przyjaciela" kilkunastu rubli i jego wielkiego pugilaresu, nakrajał zwykłej

bibuły i ułożywszy z niej dwie wielkie paczki, okleił je delikatnie trzyrublówkami. Następnie, podczas wizyty u szwagra, wydobył z tego pugilaresu rubla "dla dzieci" tak, że niby nieumyślnie wyciągnął obok niego owe dwie paczki banknotów i upuścił na podłogę.

Zbierając zaś i ładując je napowrót do pugilaresu, udawał zakłopotanego, że

zdradził się z taką wielką masą pieniędzy.

A przy łakomstwie szwagra, który nie umiał się maskować, mógł Josek zawsze dowiedzieć się dość prędko, jaki efekt tą lub ową sztuczką osiągnął. Oto bowiem i teraz szwagier, pozerając chciwie oczyma ów pugilares, odprowadził

go na bok i szepnął mu w rodzaju troskliwej przestrogi:

— Po co ty nosisz tyle pieniędzy przy sobie, Jose! A jakbyś zgubił?

— E! mam często trzy razy tyle i nie gubię! Teraz mój kochany nie gubi się

pieniędzy! — odparł.

I oto w ciągu dwóch miesięcy doprowadził do tego, że siostra i szwagier daliby

się byli za niego porąbać. Wtajemniczyli go we wszystkie swe interesa, kłopoty i

nadzieje, zapoznali go z procederem "paserstwa", jego przykrościami i niebezpieczeństwami, słowem — otwarli mu wrota domu i serc swoich na roścież.

A on, przybierając minę protektora, raczył od czasu do czasu wyrazić swój pogląd

na tę lub ową sprawę. Między innymi zaś radził nie przetapiać "nabywanych"

kosztowności, lecz sta-rać się sprzedawać je za granicą w całości, bo na tem więcej można zarobić.

— A jak to urządzić? — pytał szwagier.

— Już my o tem pomyślimy — odparł Josek — tymczasem składaj na kupę, a nie przetapiaj.

Zawiązał więc nową "spółkę" z szwagrem, ale nie zrywał też i starej z Herszkiem.

Mieszkał ciągle w opłacanem przez niego mieszkaniu, ubierał się w jego

garderobę, jadał za jego pieniądze, a nadto pieniędzy tych coraz więcej od niego

pożyczał.

Pożyczając zaś, nie prosił już teraz, lecz żądał.

— Wiesz przecie, że ci nie przepadnie! — mówił, gdy Herszek ociągał się czasem

ze spełnieniem nowego takiego żądania. — Odbiorę swoje, to oddam ci wszystko sumiennie.

— Ale kiedy odbierzesz? — pytał Hersz.

— Już niedługo! — odpowiadał z niezachwianą pewnością siebie... Wtajemniczył też Herszka w część swoich zamiarów, ale nie powiedział mu

wszystkiego, a przede wszystkim nie powiedział prawdy.

W ogóle prowadził teraz grę potrójną.

Przy pomocy adwokata poszukiwał owego Aarona Grütznera i "na wszelki wypadek"

gromadził w cichości dokumenta do procesu; Herszkowi mówił, że i proces nieźle

stoi i układy dobrowolne ze szwagrem się toczą, że więc od niego samego będzie

zależało, którą z tych dwóch dróg wybrać; wreszcie siostrę i szwagra oślepił swoim obecnym powodzeniem i wielkim rozumem.

Po za staraniami w tych trzech kierunkach, nie robił nic zgoła i nieraz nudził

się nawet. Często bowiem wypadało mu z jego wyrachowali, aby przez dni parę nie

pójść do szwagrostwa, a zresztą, poszedłszy nawet, nie siadywał tam długo, bo

trzeba było udawać zajęcie mnóstwem interesów.

Miał więc dużo wolnego czasu i z nudów zrobił sobie sport taki, że całymi

godzinami siadywał przy piecu, w którym, niby westalka, ciągle utrzymywał ogień.

Skulony, z głową podpartą obu rękami, których łokcie spoczywały na kolanach,

patrzył w wijące się płomyki i strzelające od czasu do czasu iskry, a patrząc,

układał różne plany i marzył...

Plany dotyczyły sposobu wyciągnięcia od szwagra większej ilości pieniędzy,

marzenia zaś Ameryki, która nie przestawała być w jego myślach ziemią obiecaną,

tem więcej, że znowu świeży list ztamtąd z ponownem wezwaniem odebrał.

A marzenia takie spotrzebowywały dużo węgla i drzewa, na co też najpierw obsługujący stróż zwrócił uwagę i zakomunikował Herszkowi swoje spostrzeżenie.

Ze swej strony Herszek, w przystępie chwilowego rozdrażnienia, powiedział

Joskowi, iż za dużo "opału" wychodzi, trafił jednak na podobneż rozdrażnienie u współlokatora,

gdyż tenże hardo odparł:

— Cóż więc chcesz, żebym marzył? Ty sobie idziesz na cały dzień, to ci nic, a ja

tu muszę siedzieć!

Herszek pomyślał, że ostatecznie on mu tu "siedzieć" nie rozkazuje, ale przywykł

już powoli do wzrostu obecnych wymagań "przyjaciela", zmilczał więc, jak to

często teraz czynił w podobnych sprawach.

Widocznie zaś, wśród tych dumań samotnych około pieca, dojrzał w głowie Joska

jakiś plan, o którym autor rozmyślając, mimowolnie uśmiechał się do swych marzeń

i ręce zacierał.

— Gdyby się to udało! — szeptał.

I oglądał się z trwogą, dokoła, poczem znów uśmiechał się złośliwie.

Nie ulegało wątpliwości, że czeka tylko sposobnej chwili.

A tymczasem odwiedzał szwagra coraz częściej. Byli już z sobą na tak przyjacielskiej stopie, że zdawało się, iż nic tej zażyłości zerwaćby nie mogło.

Miewali nawet z sobą jakieś konszachty, do których pani

Machonbaumowej nie

przypuszczali. Pewnego razu tylko wpadło do jej ucha słówko:

"giełda" — innego

znów dnia dostrzegła, jak mąż obliczał się z Joskiem i dawał mu jakieś

pieniądze, mówiąc: "Ostrożnie, mój Josel, ostrożnie..." Nie podejrzewała jednak nic złego, owszem była pewną, że Josek, dorobiwszy się sam grosza, potrafi niejednym korzystnym interesem mężowi jej narać. Sama też, gdyby miała pieniądze, byłaby je bez wahania powierzyła teraz Joskowi na spekulację.

Nareszcie, gdy pewnego wieczora Herszek, wróciwszy z bióra, oświadczył, że nazajutrz wyjeżdża na trzy dni w interesach Banku do Zawiercia, Josek zdecydował się postawić ostatnią stawkę i kilkoma szybkimi krokami stanąć u celu.

— No, stało się! — szepnął.

Odprowadziwszy też Herszka na kolej, zaczął za powrotem do domu gospodarować, jakby sam także w długą wybierał się drogę.

Wyjął ze stolika zagraniczny paszport Herszka, powybierał z szafy co lepsze sztuki ubrania, upakował je w podręczną walizkę, szafę zamknął, a klucz od niej schował do kieszeni.

Następnie, zaciekawiony zawartością jednej szuflady, która była zamkniętą i do której nigdy dotąd nie zaglądał, zabrał się do jej otworzenia. Żaden "kluczyk" się nie nadawał, trzeba więc było przy pomocy noża zewnętrzną płytę podważać.

Szło to niesporo, chociaż "pracował" śmiało, albowiem drzwi od sieni zamknął przedtem na zatrask.

Wreszcie zamek puścił.

W szufladzie znajdowały się osobiste pa-piery Herszka, jego świadectwa ze szkoły handlowej, listy rozmaite i kilka małych pudełeczek. W jednym z tych ostatnich zobaczył kilkanaście złotych i

srebrnych monet. Począł im się pilnie przyglądać i próbować ich dźwięku. Nigdy

dotąd takich pieniędzy nie widział; z pewnością nie były to ruble, ale próba dźwięku dobrze wypadła. Zgarnął je też na dłoń bez ceremonii, owinał w kawałek papieru, aby się nie rozleciały i schował do kieszeni od kamizelki. W drugim pudełeczku była jakaś książeczka, której znaczenia nie mógł odgadnąć. Zabrał ją jednak także, a wraz z nią wziął i jakieś trzy spore arkusze, złożone w kilkoro, wyglądające niby na pieniądze, a przecież do nich niepodobne. Jeden był brunatny, dwa zaś blado zielone. Wpatrując się w nie, przypomniał sobie, że coś podobnego widział w oknie jednego z kantorów wekslarskich na placu Bankowym.

— Trzeba to sprawdzić — pomyślał.

Tymczasem zabrał jeszcze jakiś stary pierścionek, srebrny gruby łańcuszek z wielkim złotym kluczykiem i parę innych drobiazgów. Dokonawszy tego, zasunął szufladę, upakowaną walizkę z rzeczami postawił na dawnym miejscu obok łóżka Herszkowego i obejrzał się, po mieszkaniu.

Nic tu na oko się nie zmieniło; ubytku lub nieładu żadnego nie znać było wcale.

Mógł na-wet Herszek wejść teraz, a nie byłby się domyślił niczego. Odsapnął więc z zadowoleniem.

— Sis git! — szepnął.

Poczem raz jeszcze przyjrzał się dobrze owym wielkim arkuszom, zielonym i brunatnemu, wreszcie zamknął drzwi i wyszedł. Skierował drogę umyślnie ku kantorowi wekslarskiemu na placu Bankowym i stanął przed jego wystawowem oknem.

Omal nie krzyknął z radości.

Tam, za szybą, było kilka takich samych arkuszy.

— Proszę pana, co to za pieniądze? — zapytał jednego z przechodniów, wskazując

na papiery za szybą.

— Które? — zapytał zagadnięty.

— Ten zielony i brunatny?

— To nie pieniądze, ale tak jak pieniądze" bo papiery wartościowe...

Miej pan

takich kilkaset, to sobie tę kamienicę będziesz mógł kupić.

— Aleby przedtem trzeba je wymienić na pieniądze?

— O! o to najmniejsza, wymieni je każdy, a zresztą przyjętoby je i bez

wymiany...

Wiedział, co chciał wiedzieć i puścił się już. prosto ku mieszkaniu szwagra.

Nie było jeszcze dziesiątej. Nigdy tak ra-no nie przychodził, więc też nie spodziewano się go tu wcale.

Spotkał szwagra w sieni, na wychodnem.

— Wróc się! — rzekł — chcę pogadać z tobą. Szwagier przywykł już teraz słuchać

go we

wszystkiem, spełnił też bez szemrania jego żądanie.

— Wi gajc, Resia? — rzekł Jasek do siostry na powitanie, przechodząc przez

pierwszą izbę, która służyła zarazem za kuchnię.

I nie czekając na odpowiedź, jak również nie odpowiadając na powitanie dzieci,

posunął się za paserem do następnego pokoju i drzwi za sobą zamknął.

Był wyczerpany z sił, rzucił się też na krzesło z ochotą.

— Można dziś dobry interes na giełdzie zrobić! — rzekł przerywanym głosem, nie tracąc czasu na odpoczynek.

— Zdałoby się odbić to, cośmy stracili — rzekł nieśmiało szwagier. Jasek zachnął się gniewnie.

— Na giełdzie się nie traci — rzekł wyniośle — tylko się forszusuje.

Co jeden

dzień zabierze, to drugi wraca...

— Nu, niech wróci! — rzekł szwagier. — Przydałoby się...

— Wróci, z pewnością dziś wróci! — ciągnął dalej Jasek. — Ale trzeba jeszcze

pieniędzy...Szwagier pozwolił sobie skrzywić się z niezadowoleniem.

— Nu, ja już nie niani, nie mogę! Dałem czterysta rubli, wszystko, com miał,

żebym tak był zdrów!

— Ha! jak nie masz, to nie!.. Mnie na mój interes wystarczy, ale mam gotówki

tylko około dwustu rubli, a potrzebuję więcej...

To mówiąc, wyciągnął pugilares i począł liczyć pieniądze. W paczce, którą

pokazał, było istotnie blisko dwieście rubli.

Szwagier, patrząc na to, pomyślał, że to właśnie połowa jego pieniędzy,

utopionych, dotychczas na giełdzie za pośrednictwem Joska. Nic jednak nie rzekł,

a natomiast Jasek ciągnął dalej:

— Ale mam jeszcze papiery... Trzeba je wymienić...

I wydobył zabrane z Herszkowego stolika trzy owe arkusze, podobne do pieniędzy.

Szwagrowi oczy błysnęły.

Żyjąc dłużej od Joska na świecie i prowadząc rozliczne interesa, nie potrzebował

pytać nikogo o wartość tych papierów. Znał je dobrze,

— Nu, tak, co innego! — rzekł weselej, biorąc do ręki arkusze. — Tu masz na

czysto siedemset rubliów!

Jasek drgnął.

— Wiem o tem! — rzekł przyciszonym zewzruszenia głosem, a przecież z takim akcentem, jakby istotnie był o tem wiedział.

— No, to przecie tyle ci nie potrzeba? To szkoda wymieniać — mówił szwagier. —

Kiedy tak pilno potrzebujesz, to ja ci jeszcze mogę co dać... Dam dwieście rubli...

— Dasz, to dasz dla siebie, a ja na moje interesa potrzebuję siedemset zaraz i

dlatego przyniosłem te papiery.

Teraz już szwagier nie wątpił, że na owej giełdzie przygotowuje się jakiś wielki interes. Cóż znaczyły jego czterysta rubli i te dwieście, które jeszcze chciał dać, wobec tych kapitałów, jakimi Jasek musiał rozporządzać? Oto ma on w kieszeni dwieście gotówki, oprócz tego listy na siedemset i rozprawia o takich sumach, jakby o złotówkach.

Chytry człowiek został zupełnie podbity i przekonany. W mgnieniu oka też skoczył do kufra i wyciągając dwieście rubli, rzekł:

— Masz, to na mój interes! Reszta tego, co mam, jak szczęścia dzieci pragnę...

Ale ci wierzę! Tylko ostrożnie, mój Josel, ostrożnie!

— No, już się nie bój! — brzmiała odpowiedź. Ja wiem co robić!... Idzie tylko o to, że nie wystarczy mi czasu na wymianę tych papierów, bo na giełdę trzeba zaraz iść i interesu pilnować... Chyba ty mi pomożesz, co?

— Jakto ja? — No, wymienisz te papiery i gotówkę przyniesiesz mi na Królewską, pod giełdę...

Szwagrowi pochlebiało, że Jasek powierza mu taką sumę, a przecież jakaś wątpliwość rodzić się w jego umyśle poczęła.

— Słuchaj, Josel! ty się nie obraź! Ja wiem, co ty jesteś bardzo mądry, ale widzisz... ja... ja chcę wiedzieć, czy to dobre te papiery?

— Przecież oglądał?

— To co inszego... Ja się pytam, czy można z nimi iść do każdego kantoru śmiało?... Czy nie będzie jakie kram?... No, wiesz, co ja chcę mówić?... tylko się nie obraź!

Jasek przestał udawać, że nie rozumie.

— Nie bój się... możesz iść śmiało — odparł. Zresztą, jakby się pytali, to powiedz, że to są papiery pana Gesundheitsa, a już oni ci wypłacą bez kłopotu...

Mnie znają wszędzie!...

— Dobrze... lecę... A gdzie się spotkamy?

— Przecie wiesz, że ciebie na giełdę nie puszczą...

— No, wiem...

— Więc ja wyjdę ze środka za jaką godzinę i będę czekać na schodach między słupami... Ale pośpiesz się!

— Dobrze, pośpieszę się!

— Więc chodźmy...

— Chodźmy. v

W pół godziny później Jasek czekał już pod filarami gmachu giełdowego, rozglądając się trwożliwie dokoła. Dotąd siłą woli pokrywał wszystkie wzruszenia; teraz, im

bliżej był celu, opanowywała go tem większa trwoga i niepewność.

Czy szwagier wróci i czy z pieniędzmi? A może Hersz umyślnie włożył do tej

szuflady jakie niepewne papiery? Może wróci tu, ale nie sam, lecz z policja?

Wszak Herszek niedawno opowiadał o takim wypadku z takimi papierami?...

Te wszystkie myśli tłoczyły mu się kolejno do głowy, napawając go niepokojem.

Nie wiedział gdzie szwagier będzie wymieniał owe papiery i z kąd przyjdzie: czy

od Granicznej, czy też z głębi Królewskiej, od Marszałkowskiej? W obie więc

strony pilnie się rozglądał, przygotowany uciekać w razie, gdyby ujrzął zdala

szwagra, idącego w czyjemkolwiek towarzystwie...

Na giełdzie tymczasem rozpoczął się ruch codzienny. Poczęły go mijać rozmaite

indywidua, na które zwróciłby był każdej innej chwili swoją uwagę, zwłaszcza po

rozciekawiających infórmacyach Herszka. Ale teraz miał myśl tylko szwagrem zajęta.

Nareszcie z załamku od Granicznej wysunęła się dobrze mu znana postać pana Machonbauma. Szedł, a raczej biegł, sam, bez nikogo, trzymając dłoń prawą w kieszeni. Ostrożnośćwszelka była wobec tego zbyteczną i Josek wybiegł naprzeciw nadchodzącego.

— Masz? — zapytał głosem, któremu starał się nadać jak największą pewność.

— Mam! — brzmiała odpowiedź. — Alem się zgonił! Byłem w kilku kantorach...

— Czemu? czy nie chcieli zmienić?

— Coby nie chcieli? Ale nie mieli tyle gotówki... No, policz sobie! Pewność znowu w Joska wstąpiła.

— Na co mam liczyć? Ja tobie wierzę? — odparł wyniośle. — Daj!

— No, a spiesz się Josel i pilnuj także mojego interesu! Przecie to nasza spółka, pamiętaj!

— Nie bój się, grubo zarobisz! Nikt ze mną na spółce nie stracił... Idź do domu... Ja tam do was przyjdę zaraz, jak tylko interesa pokończę... O!...

słuchaj!... najlepiej wsiądź ty w ten tramwaj!... On cię dowiezie na Muranów!

Spiesz się!

— Nu, a przyjdź zaraz, pamiętaj!

— Przyjdę, przyjdę!

Szwagier wsunął się do wnętrza przebiegającego wagonu, a Josek udając, że wbiega na schody, przystanął po za filarem, dopóki tramwaj nie zniknął mu z oczu.

Wtedy wyprostował się i ściskając przyniesioną przez szwagra sumę, szepnął:

— Siedmset rubli!Przewyższało to jego marzenia. Dobił do celu.

Teraz pozostawało tylko ostemplować paszport i — w świat!

— Aaa! — odetchnął głęboko.

O trzeciej, już z paszportem gotowym da wyjazdu w kieszeni, dążył ku domowi,

pogwizdując zcicha, dla ulżenia przepełnionej radością piersi.

Wszystko udało się jaknajlepiej. Liczył wprawdzie wczoraj na to, że wyciągnie

jeszcze coś od szwagra, oprócz wybranych poprzednio rubli, ale nie przypuszczał, że znajdzie się w posiadaniu tak znacznego kapitału.

Pragnął

zebrać wszystkiego około rubli, tymczasem posiadał blisko , a nadto miał

upakowaną, w walizie garderobę Herszka.

Niespodziewane powodzenie oszołomiło go trochę, ale zarazem i ośmieliło.

Niechby mu teraz chciał kto przeszkodzić lub skarb osiągnięty odebrać! Zrobiłaby

się wtedy rzecz straszna — czuł to!

— Dostyc się nacierpiałem! — szepnął, zgrzytając zębami.

A była w tym szepcie skarga na przyrodę, ludzi i Boga, był jakby wyrzut jakiś

wielki, ciężki!... Gdyby kto chciał powiedzieć: "Macie mnie takim, jakiegoście

mnie wychowali" — w podobnym szepcie, pełnym jadu, musiałby to wyrazić. Nie wątpił teraz, że tylko parę godzin oddziela go od nowego zupełnie życia, od

swobody i szerokiego świata, o którym tak długo marzył. A już przez to samo

budziła się w nim ochota jakaś pokończenia rachunków, obejrzenia się za siebie

myślą, jak ogląda się okiem pielgrzym, który opuszczając dłuższy swój popas, nie

wie, czy kiedy jeszcze w te strony powróci.

I stało mu w oczach całe ubogie, a przecież ponętne jeszcze dzieciństwo,

zabawy muranowskie, zgon ojca, sklep z ulicy Bagno, przyjaźń z Herszkiem, smutne

rozstanie, tułaczka następna, nowa przyjaźń z Herszkiem i wreszcie wszystkie

wydarzenia dnia dzisiejszego.

A wśród tych różnobarwnych wspomnień, niby nic czarna, przewijały się postacie

szwagra i siostry — sprawców tej całej doli smutnej.

Znowu zgrzytnął zębami.

— O! popamiętajcie mnie! — szepnął.

I przyszło mu na myśl, że rachunek z nimi właściwie jeszcze nie skończony, że

miara zemsty jeszcze nie dopełniona.

Opanowywała go coraz większa ochota dalszego odwetu.

— To wszystko mało! Ja muszę im coś jeszcze zrobić, muszę! — powtarzał ze

wzrastającą zapalczywością.

Niedługo myślał i porwawszy za kapelusz, wybiegł.

W niespełna godzinę wrócił, lecz nie sam, tylko z dwoma jakimiś biednie ubranymi ludźmi, którzy przez podwórze chyłkiem skradali się za nim do Herszkowego mieszkania.

Zmrok już panował, ale Jasek nie palił światła i w ciemności z przybyszami rozmawiał.

— Pamiętajcież, żeby się to udało! — mówił.

— Co się niema udać! — odpowiedział jeden z zapytanych.

— A ino! Wesoła rzecz i galanta — potwierdził drugi.

Poczęli szeptać ciszej, poczem znów Jasek pytał dalej:

— Znacie dobrze mieszkanie?

— O wa! — brzmiała odpowiedź — albo to raz nosiliśmy tam naszą krwawą pracę!

Zaczęli się ciszej targować.

— Po piętnaście rubli, ani grosza więcej! — mówił Jasek.

— Mało!... za taką rzecz.

— Galanto, ale nie opłaci się!

— Dołożę, nie będę żałował — mówił Jasek.

— No, to jazda! idziem po czapki i pałasze do Chaima!

— Galanto!

— A gdzie się zdybiemy?

— Przyjadę tam, gdzie się będziecie ubierać... za godzinę.

— Będziem gotowi... Ale, a zadatek?

— Macie tu po pięć rubli tymczasem...I szepcząc jeszcze przez chwilę zcicha, wyprowadził na schody obu włóczęgów. Zamknął za nimi drzwi, zaświecił światło i zatarł ręce.

— No, zobaczmy! — szepnął.
Przeliczył ponownie pieniądze i zostawiwszy cząstkę małą w pugilaresie, zawinął resztę starannie w papier i wsunął za rozprutą w tym celu umyślnie podszewkę kamizelki; następnie obejrzał raz jeszcze paszport i upatrzywszy chwilę, gdy stróż poszedł świecić światło na schodach w przeciwległej oficynie, schwycił walizkę z rzeczami, obejrzał się po mieszkaniu, jakby żegnał je wzrokiem, zdmuchnął lampę, zamknął drzwi na zatrask i wysliznął się z bramy niepostrzeżony na ulicę. Tam wsiadł w pierwszą wolną dorożkę i kazał się wieźć na dworzec kolei wiedeńskiej, gdzie zostawiwszy walizkę u portyera i poinformowawszy się co do godzin odjazdu pociągu ku granicy, wrócił napowrót do miasta. W godzinę później zdyszany i zziębnięty, wpadł z łoskotem do mieszkania siostry i szwagra.

Ten ostatni, mając od południa obiecane jego odwiedziny, oczekiwał go z niecierpliwością.

— A! idziesz Josele! — zawołał z radością.
— Cicho! — odparł Jasek, przybierając tajemniczą minę i rozglądając się trwożliwie dokoła. — Cicho! Zarobiłeś na giełdzie grubo... Mam dla ciebie dużo pieniędzy... Ale czeka cię kram... Byłem w policyi, bo tam mam znajomych.... Słyszałem straszną rzecz... Zdradził cię jakiś złodziej... Przyjdą tu robić rewizję... Ja przyleciałem cię ostrzedz... I upadł na krzesło, wyczerpany, wystraszony, prawie bez duszy. Ale szwagier uśmiechnął się lekceważąco.

— Niech przyjdą! — rzekł. — Dobrze schowane... nie znajdują...
Josek zerwał się z krzesła.

— Znajdą, bo wiedzą o jakimś podwójnym dnie u szafy... Czy to
prawda, że u
ciebie jest takie dno?

Teraz szwagier porwał się za głowę.

— Aj! gwałt! — wrzasnął. — Zkąd oni to mogą wiedzieć? Ja
nikomu nie mówiłem!

Aj, gwałt!

Biedak zapomniał, że kiedyś, w przystępie serdeczności, zapoznał z tą
skrytką

Joska.

— Co robić, co robić? — jęczał.

— Ojojjoj! A sołeh mie misgłych! — wtórowała mu żona.

Oboje stracili odrazu głowę, ale nie stracił jej Josek.

— Cicho — wołał na zawodzących małżonków. — Cicho, sztyl!

Mogą nadejść... Może

już są blisko!

— Ażeby ich pokręciło!

— Ojojjoj! — Cicho! — powtórzył Josek. — Niech ich pokręci, ale
cicho! Trzeba radzić...

Musisz wynieść z domu wszystko i gotówkę także, bo mogą przy
rewizyi zabrać...

Teraz strasznie ostro z paserami!... No, dalej, tylko prędko, bo mają
przyjść o

siódmej, a teraz już po wpół... Prędej! wyjmij z pod tego dna

wszystko, spiesz

się!...

Pan Machonbaum, straciwszy zimną krew, pozostał jednak przy
słuchu. Skoczył też

spełnić rozkaz Joska i po chwili dno szafy, zarzucone różnemi
strzępkami

dziecinnych ubrań, zostało odkryte.

Ukazało się na spodzie kilka złotych zegarków, parę broszy, dwie
piękne kolje i

kilkanaście innych złotych i srebrnych przedmiotów. Były to
wszystko rzeczy

wyższej wartości, inne bowiem pan Machonbaum puszczał odrazu w kurs lub przetapiał bez ceremonii. Tu też znalazł się pakiecik z kilkudziesięciu rublami, które, jako przeznaczone na najcięższą godzinę, nie miały być nigdy tykane.

— Dalej! — komenderował Josek. — Niech Resia weźmie tego trochę w zanadrze.

I począł siostrze podawać niektóre lżejsze przedmioty.

— I to, i to! i jeszcze ten zegarek! Następnie przystąpił również, do ładowania swoich kieszeni.

— Resztę ja zabiorę... tak... tak!... Nie bój się, nic ci nie zginie! — mówił. — No, a teraz daj gotówkę, tak!., dobrze...

Pójdziemy z Resią do mojego mieszkania... tam szukać nie będą... A ty tu

zostaniesz... Jak przyjdą już, to powiesz: "Nie wiem o niczem!" Rozumiałeś?...

— Dobrze, powiem!... dziękuję tobie Josek! Idźcie, idźcie!

— Chodźmy! — rzekł Josek, zwracając się ku drzwiom.

— Zaraz, wezmę dziecko! — rzekła pani Machonbaumowa.

— Weź, a spiesz się!

I ruszył przodem, ale w chwili, gdy chwycił za klamkę i drzwi do sieni otworzył,

spotkał się oko w oko z dwoma znanymi dobrze mundurami policyjnymi.

— Co to jest? — wrzasnął.

Wówczas jeden z umundurowanych, mający czapkę mocno nasuniętą na oczy, wystąpił

naprzód i położył mu rękę na ramieniu.

— Co? to się pokaże, panie Manchonbaum! — rzekł zgrubiałym głosem.

— Pajdy! — mruknął drugi, poczem obaj poczęli szarpać we drzwiach

nieszczęśliwego Joska.

Próżno pan Machonbaum przyznawał się do swej osoby, próżno też Josek zaprzeczał

— nic nie pomogło.

— Wszystkich weźmiemy, ale najprzód tego! — wrzasnął jeden z przybyszów.

— Za co mnie? — bronił się Josek. — Biery! — brzmiała odpowiedź i Josek, wyniesiony prawie na rękach z izby, zniknął wraz z owemi jegomościami w słabo oświetlonej sieni. Przed domem stała dorożka. Wpakowano w nią Joska i konie ruszyły z kopyta.

Szwagier tymczasem szcękając ze strachu zębami, oczekiwał w trwodze na powrót tych panów, co Joska zabrali.

— Przyjdą i po nas... powiedzieli... przyjdą! — szeptał jak obłąkany.

— Przyjdą! — powtarzała żona, szlochając głośno.

Dzieci poczęły także płakać, a najmłodsze krzyczało z bólu, albowiem przy

szamotaniu się trzymającej je matki, w chwili aresztowania Joska, otrzymało

jakiś przypadkowy szturchaniec.

Sąsiedzi, zwabieni hałasem, cisnęli się też tłumnie z zapytaniami, słowem, cały dom wrzał lamentem.

Ale oczekiwani stróże bezpieczeństwa nie zjawili się wcale.

Czekano na nich prawie przez noc całą; czekano i nazajutrz do południa — nadaremnie!

Opieszalność ta nie dziwiła pana Machonbauma; umiał ją sobie wytłómaczyć.

— Mają już Joska i wszystkie moje rzeczy i resztkę pieniędzy, co im po mnie tymczasem! — powtarzał z bolesną ironią.

Nad wieczorem drzwi znowu raptownie się roztwarły, ale nie zjawiała się już w

nich mun-durowa czapka, lecz jakiś szykowny młodzieniec.

— Czy tu mieszka pan Machonbauin? — zapytał przybyły.

Zapytany zadygotał mimowoli.

— Tu — odparł bojaźliwie.

— Czy pan jest szwagrem Josła Gesundheitsa?

— Tak, a czego?

— Jestem Herman Kessler... byłem jego przyjacielem...
Mieszkaliśmy razem...
gdzież on jest?
Passer zrobił żalobną minę.
— Gdzie on? Josel? Gdzie nasz kochany Josel? — powtórzył. — O!
żebyś pan
wiedział!
— Chcę wiedzieć! Cóż się z nim stało?
— Poszwięcił się za nas biedak!... W kozie siedzi?...
Siostra na wspomnienie to poczęła łzy obcierać.
— Jako w kozie? — pytał przybyły.
— Aresztowali go wczoraj!
— To nie może być!
— Jako nie może być? W naszych oczach, tu... tu!...
Przybyły nie dał się przekonać.
— To nieprawda! — rzekł. — Dowiadywałem się na policyi... W tem
jest coś
innego!... On zabrał mój paszport i stemplował wczoraj nawyjazd...
On mnie całkiem okradł... On musiał drapnąć za granicę!
— Co pan mówi takie rzeczy!
— Nasz Josel był bogaty...
— On na giełdę robił szpekulacye...
— Ztąd go wzięło dwóch, policyantów...
— My widzieli! — wołali oboje małżonkowie, jedno przez drugie.
Przybyły trzepnął palcami, jak to czynią niektórzy, gdy im się uda
wpaść na
jakąś myśl nową.
— Aha! — zawołał — teraz już wiem wszystko. To był jego kawał!
On się chciał
już dawno zemścić na panu... no i na pani... Prowadził nawet proces...
Teraz
rozumię, jak to było!... Aresztowano wczoraj w nocy jakichś dwóch
drabów, co się
przebierali za policyantów i popili w szynku... To musieli być oni!...
Ale na co
jemu to było potrzebne?... Chyba, że on państwa także okradł?
— Nas? — i oboje spojrzeli na siebie przerażeni.
Pierwsza oprzytomniała kobieta i zwróciła się do męża:

— Ajajaj! A mówiłam ciębie: nie wdaj się ty z ten Josel, z ten ganef, z ten

złodziej z pod ciemnej gwiazdy!

Nie mówiła tego wcale, zwłaszcza w ostatnich czasach, ale to jej nie przeszkadzało być żoną, jak wiele innych. — A żeby on zmarniał do kości! Żeby jemu nogi uschły! Zniszczył mnie! zrabował!

— jęczał paser.

Herszek począł wypytywać o szczegóły, a wreszcie rzekł:

— Wiele państwo stracili?

— Wszystko! wszystko! Koło tysiąc rubli!

— Ja także tyle! — odparł Herszek.

I pomyślawszy chwilę, szepnął jakby do siebie:

— No, aleśmy się go pozbyli i na zawsze! Obok rezygnacyi, brzmiało w jego

głosie nawet jakieś zadowolenie.

Odetchnął też szeroko, wolno, swobodnie, jakby ciężar jaki spadał mu z piersi.

— Dobrze, że to były moje pieniądze, a nie kasowe! — szepnął.

Poczem, biorąc za kapelusz, zwrócił się do małżonków:

— Może co usłyszemy o nim z Ameryki!... Do widzenia z państwem!... Żegnam!...